

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/420**

**1982**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**SOCJUSZ : TEZY I WYMIARY POLSKICH SPRAW**

**M. POLESKI : 21 UWAG O DIALOGU Z TERRORYSTĄ**

**M. BROŃSKI : OBSZARY MROKU**

**L. UNGER : ZNOWU O JEDEN NARÓD ZA DUŻO...?**

**J.J. LIPSKI : ODPOWIADAM NA ZARZUTY**

## SPIS RZECZY

—	<i>Konkurs</i> .....	3
Redakcja „Kultury”:	<i>O Nagrodę Pokoju Nobla dla Wałęsy</i> .....	4
Socjusz:	<i>Tezy i wymiary polskich spraw</i> ....	5
Krzysztof Pomian:	<i>Porozumienie czy kapitulacja?</i> .....	17
Maciej Poleski:	<i>21 uwag o dialogu z terrorystą</i> ....	22
Tomasz Mianowicz:	<i>Polska: kilka uwag</i> .....	30
M. Broński:	<i>Obszary mroku</i> .....	51
<b>WIERSZE</b>		
Witold Wirpsza:	<i>Przypomnienie Hioba</i> .....	66
Henryk Grynberg:	<i>Zimne pomniki...</i> .....	67
Anna Frajlich:	<i>Miłość jest...</i> .....	68
Marek Jaroszuk:	<i>Uciekać morzem</i> .....	68
Lothar Herbst:	<i>Nie będzie przebaczenia</i> .....	70
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	73
Dominik Morawski:	<i>Kościół ukraiński widziany z Rzymu</i> .....	85
<b>POLEMIKI</b>		
Jan Józef Lipski:	<i>Odpowiadam na zarzuty</i> .....	91
Muzia Sierotwińska:	<i>List do Andrzeja Zagrody</i> .....	99
<b>KRAJ</b>		
Maria Górska:	<i>Wizyta w Polsce</i> .....	101
M. R.:	<i>Wł. Gomułka o „Solidarności”</i> .....	106
<b>SĄSEDZI</b>		
—	<i>Solidarność „Russkiej myśli”</i> .....	109
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	110
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	117
Ks. F. Blachnicki:	<i>List do Redakcji</i> .....	121
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i> .....	121
Włodzimierz Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i> .....	123
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Sally Boss:	<i>Slawistyka nierosyjska w USA</i> .....	125
—	<i>Pisma i Biuletyny „Solidarności” na Zachodzie</i> .....	132
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Stanisław Barańczak:	<i>Roman Jakobson (1896-1982)</i> .....	135
—	<i>Nagroda im. Janiny Ławruk ze Starzyckich</i> .....	138
—	<i>Nagroda Pisarska SPK (Londyn)</i> ..	139
<b>KSIĄŻKI</b>		
Bogdan Czaykowski:	<i>Wypisz, wymaluj</i> .....	140
Hanna Świdarska:	<i>Polonistka w mundurze</i> .....	148
Witold Ryser-Szymański:	<i>Rządy na wygnaniu</i> .....	153
Danuta Mostwin:	<i>Zofii Kozarynowej świat przełamany</i> .....	155
—	<i>Kanadyjska książka o Polsce</i> .....	157
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	158
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki amerykańska, australijska, kanadyjska</i> .....	162
—	<i>Z ostatniej chwili</i> .....	170
◆		
S. Grocholski, St. Kossowska, J. Mondry, A. Polowiec, T. Terlecki:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	171

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ      Wrzesień - Septembre      1982

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Adam Bojko, Gernersheim (RFN) .....	F. 137,81
Roman Buch, Libertyville, Il. (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00	F. 55,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00 .....	F. 270,00
Bogdan Górski, Eizendorf (Austria) — Szyl. A. 100,00 .....	F. 40,00
Jan i Kamila Halpernowie, Kolonia (RFN) — dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna w pierwszą rocznicę Jego śmierci	F. 200,00
Dr Franciszek Kałuża, Pretoria (Afryka Płdn.) — zamiast kwiatów na grób śp. Alojzego Arletowicza, zmarłego w Jo- hannesburgu 16 czerwca 1982 r. ....	F. 100,00
K. L. z Lidingo (Szwecja), po raz 2-gi .....	F. 250,00
Allan Kosko, Montpellier — zamiast kwiatów na grób Anki i Piotra Rawiczów .....	F. 100,00
Księgarnia Polska w Adelajdzie i Klub Czytelników <i>Kultury</i> i <i>Pomostu</i> (Australia) .....	F. 310,00
Tadeusz D. Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 4-ty .....	F. 50,00
W. Łuszczak, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz 9-ty ....	F. 310,00
Krzysztof Pomian, Paryż — F. 800,00 i DM 50,00 .....	F. 935,00
Irena Strutyńska, Knutange-Milwange (Francja), po raz 6-ty	F. 100,00
W. Szwed, Melbourne (Australia) — \$ A. 20,00 .....	F. 159,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 37-my .....	F. 500,00
Dr Józef Zorski (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób Maji Wróblewskiej, która zginęła w wypadku samochodowym na szosie Częstochowa-Sosnowiec .....	F. 100,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — zamiast kwiatów na grób śp. Wandy Borkowskiej .....	F. 100,00
Anonimowo z Niemiec .....	F. 100,00
Anonimowo złożone w Libelli .....	F. 50,00
Bezimiennie z Thonon-les-Bains (Francja) .....	F. 39,20
Bezimiennie z USA, po raz 19-ty .....	F. 4.670,00

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Anonimowo z Austrii — Sch. A. 50,00 .....	F. 20,00
A.T. (USA) — \$ 298,00 .....	F. 2.080,00
Bezimiennie z Hamilton, Ont. (Kanada) — \$ can. 25,00 ....	F. 130,00
Bezimiennie z Lailly-en-Val (Francja) .....	F. 100,00
Bezimiennie z Polski — \$ can. 10,00 .....	F. 52,00
Bezimiennie z Polski — \$ can. 30,00 .....	F. 156,00
Bezimiennie z Polski — \$ can. 10,00 .....	F. 52,00

(Dalszy ciąg *Wpłat* na str. 175)

## Konkurs

Jak informowaliśmy w numerze lipcowo/sierpniowym, Redakcja *Kultury* i Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa postanowiły ogłosić wspólny *Konkurs na pamiętnik z ostatnich siedmiu lat w Polsce*, ze szczególnym uwzględnieniem Solidarności i stanu wojennego.

Prace konkursowe powinny być nadsyłane na adres *Kultury*: 91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 Maisons Laffitte.

Sugerowany rozmiar pamiętnika: 20 do 50 stron maszynopisu. Przy ocenie pamiętników brana będzie pod uwagę ich wartość dokumentalna. Pamiętnik powinien być spisany na maszynie lub wyraźnym piśmem ręcznym, jednostronnie na kartkach rozmiaru znormalizowanego papieru maszynowego. Prace powinny być podpisane godłem. Do każdej należy dołączyć zapieczetowaną kopertę na której wypisane jest godło; wewnątrz koperty należy umieścić nazwisko i adres autora. Autorzy, pragnący zachować anonimowość przy ogłaszaniu ich pamiętników drukiem lub przez radio, powinni to wyraźnie zaznaczyć. Należy też podać sposób przekazania ewentualnej nagrody lub honorarium.

Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie prawo odpowiednio honorowanego ogłaszania wszystkich nadesłanych prac.

Nagrody: pierwsza — 10.000 franków francuskich, dwie drugie — po 5.000 franków, trzy trzecie po 2.500 franków. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Jury Konkursu: Gustaw Herling-Grudziński, Jakub Karpiński, Tadeusz Nowakowski, Grażyna Pomianowa, Wiesław Wawrzyniak.

Ostateczny termin nadsyłania prac: 31 stycznia 1983 r.

## O Nagrodę Pokoju Nobla dla Wałęsy

Z różnych krajów świata płyną od przedstawicieli kultury i nauki, od działaczy religijnych i działaczy związków zawodowych listy do Oslo, do norweskiego Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla, których autorzy wysuwają do niej w tym roku kandydaturę Lecha Wałęsy. Nie ma ani powodu, ani potrzeby ukrywać, że inicjatywa zawdzięcza sporo *Kulturze*. Nie warto też trwonić słów dla uzasadnienia, że przyznanie Wałęsie, a w jego symbolicznej już osobie wszystkim działaczom NSZZ i całej w ogóle „Solidarności” tego wysokiego odznaczenia byłoby jedną z najsprawiedliwszych decyzji norweskiego komitetu. W ciągu półtorarocznego zaledwie istnienia Solidarność przeprowadziła zdumiewającą, budzącą powszechny podziw i powszechną nadzieję walkę *pokoju* o wolność swego kraju i o godność ludzkiej pracy. Nie przelano ani jednej kropli krwi, nie wzywano nigdy do przemocy i gwałtu, świat zobaczył spokojną, stanowczą, uczciwą, czystą twarz milionów ludzi; tę samą twarz, którą miał okazję przelotnie ujrzeć podczas podróży Jana Pawła II do Polski. Krew, żołdacką przemoc, policyjny gwałt przyniósł dopiero dzień 13 grudnia 1981 roku. I widmo wojny przeciw własnemu narodowi. Kto zatem godny jest dzisiaj noblowskiej Nagrody Pokoju bardziej od przywódcy robotników polskich, więzionego przez reżym wojskowy? Kto bardziej był jej niegdyś godny od Ossietzky'ego, więzionego przez wojenny reżym hitlerowski? Jeśli słowo „pokój” ma zachować jakiś sens, inny od sensu nadawanego mu przez Moskwę i jej etatowych „pacyfistów” na Zachodzie, sędziowie w Oslo nie zawahają się w swym wyborze.

Apele, petycje, listy należy kierować do połowy września bieżącego roku na adres: Comité Nobel Norvegien, Drammensveien 19, Oslo 2, Norwegia.

REDAKCJA „KULTURY”

16 sierpień 1982 r.

## Tezy i wymiary polskich spraw

Obecna sytuacja w Polsce jest tak niezwykła, tak odmienna od wszystkiego, co się zdarzyło wcześniej i gdzie indziej — że stosowanie do jej analizy wypróbowanych modeli, analogii, prawidłowości prowadzi szybko na manowce. Oczywiście, i przed dwoma laty Polska była niepodobna ani do swoich sąsiadów, ani do krajów Zachodu. Ale to, co się od tej pory stało — wyrzuciło nasz kraj na orbitę kosmicznego zda się eksperymentu. Jedynym w swoim rodzaju ruchem społecznym była i pozostaje Solidarność; i jedyne w swoim rodzaju metody zastosowano, aby jej rozwój zahamować, aby odwrócić potężny strumień przemian, którego bieg wytyczała.

Niezwykłość sytuacji utrudnia jej zrozumienie, ale nie zwalnia od obowiązku zastanawiania się nad nią możliwie najwyszczepniej. Nie wolno nam ani ulegać stereotypom, ani zdawać się na żywioł samoczynnego rozwoju wydarzeń. Poniższe uwagi są przede wszystkim próbą uporządkowania zagadnień. Próbą wskazania, gdzie mieszczą się główne problemy i sprzeczności interesów; jakie czynniki mogą wpłynąć na rozwiązanie konfliktów; jakie stają przed Polakami podstawowe decyzje. Wszystko to z konieczności bardzo schematycznie — łącznie z paroma praktycznymi wnioskami.

Sprawa polska rozgrywa się dzisiaj na trzech płaszczyznach, w ramach trzech układów stosunków — powiązanych zresztą wzajemnie i nawet hierarchicznie od siebie zależnych, Rozróżnienie tych trzech płaszczyzn — czy trzech wymiarów — będzie podstawą tej próby uporządkowania problematyki. Widzimy więc:

1. Stosunki między aparatem władzy a całością społeczeństwa.

2. Stosunki między grupą rządzącą w PRL a kierownictwem ZSSR.

3. Układ stosunków międzynarodowych, wyznaczający zakres samodzielności państwowej Polski.

### 1.

Przyczyn, dla których stosunki między władzą a społeczeństwem są dziś w Polsce fatalne, jest wiele — i trudno powiedzieć, która oddziałuje najsilniej. Czy gwałtowne i nagłe przejście od prawdy (choćby hamowanej) do narzucanego i bezczelnego kłamstwa; czy masowe poniżanie godności ludzkiej, czy powszechne poczucie oszukania, czy katastrofalna sytuacja gospodarcza, czy nagromadzenie wieloletnich frustracji, czy gniew znieważanych młodych pokoleń — te wszystkie czynniki są ogromnie ważne i zarazem trudno wymierne. Można jednak wymierzyć czynnik rzeczywistego udziału w sprawowaniu władzy, tj. podejmowaniu decyzji i kontrolowaniu ich wykonania. I można obliczyć, że nigdy od czasów Władysława Łokietka w sprawowaniu władzy nie brała udziału tak drobna cząstka ludności państwa polskiego, jak dzisiaj. Nawet w okresie stalinowskim rządząca (a przynajmniej upoważniona przez Moskwę do rządzenia) partia reprezentowała większy procent społeczeństwa, niż dzisiejsze sfery decydujące — które w dodatku rekrutują się wyłącznie z zawodowców partyjnych i wojskowych. Żadna więc grupa czy klasa społeczna, poza wąską sferą decydentów, nie czuje się przez nich reprezentowana. I niezależnie od tego, czy i w jakim stopniu społeczeństwo ten prosty fakt sobie uświadamia — on sam przesądziłby o tym, że władza jest uważana przez przytłaczającą większość narodu za coś obcego. I gdybyż społeczeństwo było przynajmniej syte, spokojne i czuło się bezpiecznie. Ale nie jest; i wytworzona mieszkanka ma wszelkie cechy wybuchowości.

Nie ma co ukrywać, że przez pierwsze dni, może nawet tygodnie, po wprowadzeniu stanu wojennego generał-sekretarz-premier Wojciech Jaruzelski miał szanse wyłamania władzy z izolacji. Część oszołomionego, osłupiałego, pozbawionego przywódców społeczeństwa mogłaby przyjąć ofertę jakiegoś nowego otwarcia. Była ta szansa dla Polski na dłuższą metę bardzo niebezpieczna: gdyby ją WRON-a wykorzystała, rozbiłaby jedność narodu. Wytworzyłyby się podziały, powstałaby możliwość gigantycznych nieporozumień i wzajemnych pretensji. Ale Jaruzelski z szansy nie skorzystał, oferty współuczestnictwa w rządzeniu krajem przy ubezwłasnowolnieniu Solidarności — nie rzucił. Dla-

czego? Pewnie czuł się za słaby. Za osłoną militarnego pancera kryła się rozbita, skłócona partia. Ostatecznie to nie co innego niż rozpad partii było głównym powodem chwycenia się za środek tak rozpaczliwy, jak wojskowo-milicyjny zamach stanu.

Szansa była — już jej nie ma. Społeczeństwo jest bardzo niezadowolone (najłagodniej mówiąc) z sytuacji i ma zarazem poczucie, że nie jest za nią w najmniejszym stopniu odpowiedzialne. Już od dawna przyjął się wygodny, ale wykluczający zdrowe funkcjonowanie państwa podział na „my” i „oni”; nigdy przedtem podział ten nie był tak ostry — i tak uzasadniony.

Co może sprawić, aby ten stan rzeczy uległ zmianie? Na dobrą wolę władz, albo na ich rozumne rozpoznanie, że kompromis z narodem leży w ich własnym interesie — nie ma co liczyć. Po pierwsze dlatego, że tzw. sfery rządzące są nadal podzielone i zajęte wewnętrznymi rozgrywkami. Po drugie dlatego, że zastosowane w ramach stanu wojennego metody „rządzenia” przy użyciu nagiej przemocy władze uznały za skuteczniejsze i wygodniejsze, niż jakiegokolwiek inne. Nie widać, dlaczego by miały z nich dobrowolnie rezygnować, skoro dają rządzącym poczucie względnego bezpieczeństwa. Są to metody oparte na zastraszaniu i szantażu; ich trzon stanowi przymus gospodarczy, terror psychiczny, bicie i — w razie potrzeby — strzelanie do ludzi. Metody te polegają więc na stwarzaniu dystansu między władzą a społeczeństwem. Cała zatem kokietująca strona zabiegów propagandowych jest bezsensowna i nieskuteczna z tego choćby powodu, że jest zasadniczo, strukturalnie sprzeczna z postępowaniem władz. Można oczywiście powiedzieć, i takie sygnały nadają tzw. umiarkowani członkowie grupy rządzącej, że kto inny jest odpowiedzialny za bicie, a kto inny zapewnia społeczeństwo o dobrej woli. Jednakże dobra wola, wyrażana w niejasnych deklaracjach, musi przegrać w konkurencji z pałkami ZOMO i wyrzucaniem z pracy.

Na płaszczyźnie stosunków między władzą a społeczeństwem jedyną nadzieję na przełamanie impasu stwarza ciągły, nieustający nacisk na rządzących. Celem tego nacisku powinno być zmuszenie władzy do układów i kompromisu. Właśnie: kompromisu. Mówi się nadal i pisze o „ugodzie społecznej” albo „porozumieniu narodowym”. Sądzę, że jest to już w obecnej chwili nazewnictwo mylące, niezależnie od tego, czy stosowane jest w dobrej czy złej wierze. Ugoda lub porozumienie zakładają istnienie jakiejś wspólnej płaszczyzny. Idea „dogadywania się Polaka z Polakiem” została przez Wojciecha Jaruzelskiego i jego ludzi podeptana. Jeżeli nie zniszczono jej na zawsze — jest internowana, razem z Lechem Wałęsą i kierownictwem „Solidarności”.

Zamach stanu 13 grudnia był może istotnie mniej krwawy, niż zakładano — ale jego skutkiem było gwałtowne i trwałe odpolsczenie stosunków politycznych w Polsce. Mogą sobie generałowie WRON-y i ich rzecznicy powtarzać, że ocalili kraj przed „większym złem”, może sobie premier Jaruzelski czarować zagranicznych dziennikarzy swoimi arcy-polskimi tradycjami rodzinnymi — ale partyjno-wojskowa junta wprowadziła do naszego życia metody postępowania rzadkie nawet w najgorszych okresach powojennej historii. Masowe zmuszanie do zapierania się własnych poglądów, otwarte stosowanie przemocy wobec wszystkich grup społeczeństwa, nagminna brutalność władz bezpieczeństwa, jawna gloryfikacja donosicielstwa, a wreszcie prewencyjne bicie — przede wszystkim młodzieży, ale także bezbronných aresztantów — to są metody typowo sowieckie, w Polsce przedtem na taką skalę i tak długo nigdy nie stosowane.

Nasyciły one serca nienawiścią w stopniu aż zaskakującym dla kogoś kto, jak piszący te słowa, nie zetknął się bezpośrednio z rzeczywistością pogrudniowej Polski. Nie przypominam sobie, aby w okresie stalinowskiego terroru nienawidzono tak namiętne Bieruta czy Cyrankiewicza. Ludzie, którzy zarzucają dziś Polakom brak rozsądku czy romantyzm, powinni sobie uświadomić, że w tej sytuacji rozbudzonej nienawiści — jakże bliskiej słusznemu gniewowi — społeczeństwo i jego niezależni przywódcy wykazują ogromny umiar i rozwagę, nadal nawołując do kompromisu, nadal przeciwstawiając się odwetowi.

Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że w ramach takiego kompromisu społeczeństwo jest obecnie skłonne ustąpić tylko z jakiejś części swoich żądań, które wyrażało w okresie jawnego działania „Solidarności”; kompromis ze strony narodu polegać może na rezygnacji z niektórych roszczeń. Natomiast władza musi ustąpić w sensie całkiem realnym: oddać część tego, co zagarnęła politycznie, i to wszystko, co wydarła policyjną przemocą. Tylko w dziedzinie gospodarczej społeczeństwo zdaje się gotowe do ustępstw, przed rokiem nie do pomyślenia. Przyjmie zapewne bez dalszych protestów dokonane obniżenie się stopy życiowej — ale pod warunkiem uzyskania wglądu w decyzje, pod warunkiem przekonania się, że ponoszone ofiary nie będą znowu roztrwonione.

Ale i ten kompromis, tak zdawałoby się oczywisty, wydaje się niezmiernie trudny do osiągnięcia. Świadczą o tej trudności losy tak reklamowanej przez ekipę Jaruzelskiego reformy gospodarczej, która z tygodnia na tydzień ulega rozmontowaniu element po elemencie, napotykać na opór ludzi i struktur, zażarcie broniących swoich interesów. I dzieje się tak w warunkach niebywałej wszechwładzy ośrodka kierowniczego. Sekretarz-pre-

mier i WRON-a mają w rękach władzę niemal absolutną i korzystają z niej zawzięcie, oszołomieni możliwością wydawania dekretów i rozporządzeń, projektowania ustaw i redagowania uchwał, powoływania rad i komitetów. Ludziom tym brak niesety podstawowej władzy politycznej. Powinni zdawać sobie sprawę, że najbardziej nawet oświecony absolutyzm ma szanse powodzenia wyłącznie wówczas, kiedy jego decyzje poddane są swobodnemu sprawdzeniu w praktyce. Dotyczy to również oświeconego absolutyzmu ekonomicznego: może on dawać dobre rezultaty w warunkach gospodarki rynkowej, kiedy rynek osądza szybko i bezstronnie sensowność wydanych na szczycie zarządzeń. W gospodarce odgórnie kontrolowanej i przy monopolu władzy politycznej złe skutki błędnych decyzji mogą być, i z reguły są, bardzo długo ukrywane przez dbałą o własny interes — a więc przede wszystkim o dobre stosunki z decydującą górą — administrację. A kiedy skutki te wyjdą na jaw — jest już za późno na korekturę. I ten błąd, tyle już razy popełniany, obecna ekipa popełnia znowu, nie dopuszczając do stałej kontroli społecznej swoich poczynań — kontroli, która zastąpiłaby nieistniejące mechanizmy rynkowe.

Postulaty, określające warunki możliwego kompromisu — takie na przykład, jakie sformułowała Rada Społeczna przy Prymasie Polski — trzeba ustalać, biorąc pod uwagę wszystkie trzy płaszczyzny, na których rozgrywają się polskie sprawy. Właśnie pomijanie jednej czy dwu z tych płaszczyzn powoduje często nie-realność albo minimalizm postulatów. Wróć do tej sprawy przy końcu rozważań. Podsumowując teraz krótko sytuację na płaszczyźnie władza - społeczeństwo sądzę, że przekonanie władz, iż wielomiesięczne trwanie stanu wojennego i postępująca, ich zdaniem, „normalizacja” doprowadzą do zrezygnowania społeczeństwa polskiego z jego postulatów i aspiracji wolnościowych — jest niebezpiecznym złudzeniem. Polityka WRON-y, polityka jednoczesnego mydlenia oczu i bicia, gołosłowie i prowokacji, braku programu i zalewania kłamstwem, ta polityka wykluczyła możliwość takiego porozumienia, w którym władza mogłaby ustąpić tylko trochę. Aby osiągnięty kompromis mógł przetrwać dłużej, niż tygodnie — władze muszą ustąpić wyraźnie i znacząco. Także i dlatego, że układ, jeżeli się dokona, będzie musiał pociągnąć za sobą duże zmiany personalne w aparacie państwowym. Teraz przyciąga ten aparat do siebie ludzi najgorszych, najbardziej skompromitowanych, pozbawionych zupełnie zaufania. I ten aparat będzie, rzecz jasna, najważniejszym i najsilniejszym czynnikiem, sprzeciwiającym się wszelkiemu sensownemu dialogowi, wszelkiemu rzeczowemu kompromisowi. Będzie bronił swojej pozycji bardziej zażarcie, niż kiedykolwiek przedtem w dziejach

PRL. Dlatego też „rozwiązanie wewnętrzne”, rozwiązanie bez ingerencji z zewnątrz, wyłącznie na płaszczyźnie stosunków władza - społeczeństwo, wydaje mi się dzisiaj mało prawdopodobne.

## 2.

Czy grudniowi wyścigowcy ZSSR działali w dobrej czy złej wierze, to jest czy rzeczywiście chcieli uchronić naród polski przed „jeszcze większym” złem — to w tej chwili praktycznie obojętne. Nie będzie obojętne dla przyszłego historyka, nie jest obojętne dla psychologa — ale jest bez znaczenia dla zniewolonego narodu. A w dodatku, jeżeli nawet działali w dobrej wierze — to działali głupio, bo zapchali nas wszystkich w położenie jeszcze gorsze.

Za wytworzoną sytuację, za obecny kształt konfliktu między niechcianą władzą a opornym społeczeństwem, konfliktu trwającego od trzydziestu siedmiu lat, ale nigdy tak jak dzisiaj ostrego — odpowiedzialne jest przede wszystkim kierownictwo KPZS. Sowiety odpowiedzialne są głównie dlatego, że prowadząc od początku żąrtę kampanię przeciwko niezależnym związkom zawodowym utrudniały porozumienie, pogłębiały i przyspieszały rozpad partii i radykalizowały nastroje mas. Twierdzę, że kompromis — nie chwilowy, ale na czas dłuższy — był na jesieni 1980 roku możliwy. Chciał go nowopowstający związek, chciała poważna część doradców, chciał Kościół, chciały masy partyjne i część działaczy. Nie chciał go Kreml. Dlaczego? Ze strachu, a także z braku długodystansowej wizji politycznej.

Strach i brak wyobraźni paraliżowały też kierownictwo PZPR. Tłumaczono nawet Stanisławowi Kani, aby przestał zwodzić Breżniewa, że oto jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a opanuje sytuację, ale aby powiedział otwarcie: towarzysze, postaramy się sytuację opanować, ale musicie jawnie pójść na ustępstwa. Kania jednak tego nie zrobił, zwłóczył i kluczył, mamił i Sowiety i Polaków. Teraz spektakl się powtarza. Jaruzelski prawdopodobnie zapewnia Moskwę, że za miesiąc czy dwa Polska będzie „znormalizowana”. Sowiety już raz wpadli w irytację, kiedy na początku maja okazało się dobitnie, że do normalizacji daleko. Czy obecnie Jaruzelski sam daje się zwodzić pozorom, czy tylko zwodzi innych — trudno powiedzieć. Rosjanie mają dość swoich agentów, aby sami wiedzieć, jak się rzeczy mają. Być może jednak znowu, jak za Gierka, na samą górę docierają tylko miłe wiadomości...

Gdybyż zawodowy oficer, Wojciech Jaruzelski, posiadał przynajmniej tyle odwagi cywilnej, ile wykazali w roku 1956 Edward Ochab i Władysław Gomułka, gdyby zamiast uciekać się do aluzji i mętnych pogroźek powiedział otwarcie, że między Moskwą a Warszawą istnieją sprzeczności interesów i poglądów, gdyby postawił sprawę jasno: oto musimy uzyskać szerszy margines swobód, a za tę cenę postaramy się osiągnąć spokój wewnętrzny — miałyby spore szanse zbudowania narodowego kompromisu. Ale rządzącej PRL ekipie nadal brak zarówno śmiałości jak i wyobraźni politycznej. Te fatalne braki naród polski zastępować musi własną odwagą i determinacją.

Naciskając na WRON-ę, PZPR i rząd PRL — naciskamy pośrednio i na kierownictwo sowieckie, z którymi się one ostentacyjnie solidaryzują i które musi je żyrować. Im bardziej się rządząca ekipa kompromituje — politycznie, gospodarczo, moralnie — tym wyższe będą koszty popierania jej przez Moskwę. A więc na płaszczyźnie stosunków między grupą rządzącą w PRL a kierownictwem na Kremlu za bezpośredni cel nacisku społecznego w Polsce należy uważać zmuszenie władz PRL — nawet wbrew ich własnym obawom i chęciom — do uzyskania od Moskwy większego marginesu swobody działania. Albo też — nakłonienie Moskwy do dopuszczenia do władzy w Polsce takiej ekipy, która pójdzie na wyraźny kompromis z narodem. Może np. Ludowe Wojsko Polskie — pohańbione, sfrustrowane, wyzyskiwane przez aparat partyjny i aparat bezpieczeństwa — odkryje w sobie dotychczas nieujawnione rezerwy?

Starając się wywierać ten pośredni nacisk na Moskwę nie należy ulegać złudzeniu, że kierownictwo KPZS odstąpi wyraźnie od głoszonych zasad ideologicznych; że np. jawnie zrezygnuje z wymagań, by w Polsce rząd sprawowała partia. Są to moim zdaniem mrzonki, oparte na błędzie traktowania imperium sowieckiego jako normalnego imperium militarno-ekonomicznego. Podstawą dotychczasowej trwałości tego imperium jest bowiem powiązanie potęgi wojskowej i ogromnego potencjału gospodarczego — z ideologią, która dostarcza i kośćca strukturze rządzenia państwem i fasady, zasłaniającej jego wady. Bez uzasadnienia ideologicznego — które w jakimś stopniu akceptuje większość ludności ZSSR — któżby znosił cierpliwie nędzę, wszechobecność policji, odcięcie od zagranicy, ograniczenia praw i swobód? Niby to banały, ale jakoś się o nich zapomina. Perswadowanie Sowietom, jak to czyni Stefan Kisielewski (którego bardzo szanuję), aby zrozumiały nareszcie, że w ich interesie nie leży zmuszanie Polaków do przyjmowania obłędnego systemu komunistycznego — jest bardzo racjonalne, ale zupełnie nieprak-

tyczne. Jest bowiem namawianiem KPZS do popełnienia zbrojowego samobójstwa.

Podobną mrzonką, o której już parokrotnie pisałem, jest idea rozmów polsko-sowieckich ponad głowami partii, czy też z jej pominięciem. Równałoby się to zrezygowaniu przez Sowiety z jednej z fundamentalnych zasad ideowo-politycznych systemu: tam, gdzie partia komunistyczna — chorąży postępu i wyraziciel praw historii — raz obejmie władzę, nie może być mowy o dobrowolnym ustąpieniu. Ustąpienie byłoby sprzeniewierzeniem się obiektywnej misji dziejowej. Tak więc zdezawuowanie przez Sowiety prawa PZPR (ich własnego tworu!) do reprezentowania Polski byłoby nie tylko przyznaniem się do olbrzymiej klęski politycznej, ale wyrzeczeniem się jednego z dogmatów leninizmu. Poza tym — rozmowy takie stawiałyby stronę polską w pozycji petenta. Nie przypominam sobie, aby ZSSR potraktował dobrotliwie jakiegokolwiek petenta. Liczy się natomiast z determinacją — przykładem Finlandia. Wyszadzany polski romantyzm jest może w tej sytuacji najwyższą formą realizmu. Zważmy, że Sowiety nawet w Afganistanie muszą się liczyć z opinią międzynarodową i dbać o pozory.

Nie rozmowy więc, ale nacisk, nacisk na władze PRL, na polską partię, która ma i możliwości polityczne i uprawnienia doktrynalne, aby stwierdzić, że oto specyficzne warunki polskiej drogi do socjalizmu wymagają, aby itd. Wywieranie takiego nacisku jest oczywiście niebezpieczne, jak zresztą wszelkie działania polityczne, zmierzające do rozszerzenia zakresu swobód Polaków. Nacisk musiałby bowiem utrzymać w naszym kraju sytuację tak niestabilną, tak politycznie kłopotliwą a gospodarczo nieobiecującą — że przed ZSSR stanąłby wybór: albo dopuścić do uspokojenia na zasadzie kompromisu między partią a społeczeństwem polskim, albo ponieść ogromne koszty polityczne i gospodarcze, które pociągnęłaby za sobą otwarta interwencja. Aby alternatywa zarysowała się wyraźnie w zmętniętych oczach obecnych władców Kremla — nacisk musiałby być i silny i długotrwały. To mogłoby nas bardzo drogo kosztować.

### 3.

Opór i nacisk społeczeństwa polskiego na władze PRL, a pośrednio i na władze ZSSR, umiędzynarodowiają sprawę polską. (Niestety: także i w tym sensie, że stanowią jawny zamach na sowiecki prestiż. O tym trzeba pamiętać, bo utratę twarzy uważają władcy ZSSR za niebezpieczeństwo nie mniej groźne, niż

możliwość masowego głodu własnej ludności). Różni partyjni i bezpartyjni pisarze w PRL — a czasem, o dziwo, i za granicą — twierdzą, że światowe reakcje na „Solidarność” a następnie na wojenną próbę jej zdławienia, były podsycane i koordynowane przez jakiś antypolski spisek. Warto przypomnieć, że analogiczny charakter miały reakcje na wojny wyzwolenicze w Algierii czy Indochinach, a ostatnio na wydarzenia w Afganistanie. Po prostu żywiołowy protest wywołuje dziś na całym świecie odbieranie prawa do niepodległości jakimkolwiek narodowi. Każdy bezstronny obserwator musiał zauważyć, że na wypadki w naszym kraju reagowały przede wszystkim i najsilniej społeczeństwa — nie zaś rządy, i że propolskie nastawienie opinii publicznej było i bardziej konsekwentne i trwalsze, niż poczynania organów państwowych. I to musimy brać pod uwagę: sprzyjają nam bardziej nastroje ludzi, niż wyliczenia, strategie i plany polityczne rządów.

Poza ogromną falą sympatii i rozległą pomocą humanitarną główną reakcją Zachodu były tak zwane sankcje gospodarcze. Nazwa trochę myląca, bo chodziło nie tyle o kary, co o odmowę dalszych przywilejów kredytowych, licencyjnych i innych. Sankcje miały być potężnym a pokojowym środkiem nacisku, mającym przynieść odwołanie stanu wojennego. Miały — ale ich rola i skuteczność zostały podwójnie ograniczone. Po pierwsze kraje Zachodu nie potrafiły zdobyć się na zgodne postępowanie. Partykularne interesy, często bardzo krótkowzroczne, wzięły górę nad deklarowaną tak chętnie wspólnotą ideową tak zwanego „wolnego świata”. Podobnie jak w 1939 roku w Anglii — opinia publiczna okazała się bardziej bojowa, niż rządy. Po drugie, sankcje zastosowano głównie wobec samej Polski, co było ławiejsze, niż karanie Sowietów. Karano, *nomen omen*, ślepy miecz a nie rękę. Sankcje wobec PRL okazały się dość skuteczne ekonomicznie; na ocenę skuteczności politycznej jest jeszcze za wcześnie. Ale już teraz można powiedzieć z pewnością, że znacznie bardziej skuteczne byłoby skromniejsze nawet ograniczenie kredytów dla ZSSR i innych Demokracji Ludowych.

Skądinąd restrykcje kredytowe wobec PRL mają tylko częściowy i dość luźny związek ze stanem wojennym. Państwa Zachodu też przeżywają kryzys ekonomiczny (jak na nasze warunki bardzo luksusowy), więc trudno by im było usprawiedliwić wobec podatników dalsze przelewanie funduszy do niewypłacalnej polskiej kasy.

Za mało się przy okazji sankcji pisze o ich odwrotnej stronie: o ofercie Zachodu szerokiej współpracy i dużej pomocy gospodarczej, gdyby w Polsce zdołano osiągnąć porozumienie między



władzą a społeczeństwem. Myślę, że rząd Stanów Zjednoczonych, który taką gotowość obwieścił (szkoda, że dopiero tak późno), traktuje sprawę całkiem poważnie. Inne rządy uważają zapewne, iż ugoda społeczna w Polsce jest tak mało prawdopodobna, że warunkowe obietnice można bezpiecznie składać. Nie lekceważyłbym jednak tych gestów, bo rządy zachodnie muszą się liczyć z nastrojami swoich narodów, które w wypadku pomyslnego rozwoju sytuacji w Polsce wywierałyby z pewnością presję na udzielenie pomocy naszemu społeczeństwu.

Cała sprawa sankcji, chociaż tak głośna i kontrowersyjna, tak narzucająca się uwadze, jest mniej istotna, niż powolne rozszerzanie się świadomości kryzysu pojałtańskiego układu stosunków międzynarodowych. Ta świadomość, której dał wyraz w głośnym wystąpieniu prezydent Mitterrand, będzie miała znaczenie kluczowe. Jeżeli bowiem społeczeństwa i rządy Zachodu zrozumieją, że dopóki utrzymuje się w Europie siłą podział na blok państw ściśle zależnych od moskiewskiego hegemonu i zbiorowość państw swobodnych w swojej polityce zagranicznej, dopóty sytuacja na naszym kontynencie będzie nabrzmiewała niebezpieczeństwami, ryzyko zbrojnego konfliktu będzie maleć lub zwiększać się, ale pozostanie stale obecne, a współpraca gospodarcza najeżona będzie pułapkami. Nie ma spokoju i nie ma stabilizacji bez zasadniczej zmiany systemu pojałtańskiego.

Krytyka układów jałtańskich jest przez oficjalną propagandę PRL uważana za równoznaczną ze zdradą narodową. Twierdzi się, że kwestionując Jałtę kwestionuje się zarazem polskie granice zachodnie, niweczy gwarancje, ba — nawet podważa „suwerenność”. Nie warto by polemizować z tymi bzdurami, których psychologicznym uzasadnieniem jest lęk przed utratą moskiewskich protektorów, gdyby nie to, że są one zazwyczaj podpierane argumentami o niebezpieczeństwie niemieckiego rewizjonizmu. Mrzonkami tych Niemców, którym marzy się państwowy powrót do Gdańska czy Wrocławia, też nie warto się przesadnie przejmować. Dość będą mieli, gdy przyjdzie co do czego, zajęcia z reintegracją NRD. Ale prawdziwe niebezpieczeństwo niemieckie polega na czym innym: na skłonności wielu Niemców zachodnich do starań o rozwiązanie ich kwestii narodowej, to jest zjednoczenia kraju, bez zasadniczego naruszenia systemu pojałtańskiego. Zjednoczenie miałyby nastąpić na zasadzie specjalnego aktu łaski Sowietów, szczególnej dyspensy, udzielonej zneutralizowanym Niemcom, przy zachowaniu istniejącego podziału na bloki. Byłaby to próba utrwalenia tego, co w obecnym układzie najgorsze. Dla Polski oznaczałaby zagrożenie gospodarcze i szczególnie zamknięcie perspektyw politycznych. A że dla Niemiec

stanowiłoby to wydanie się w ręce sowieckie — o tym przekonaliby się za późno.

Kiedy mówimy o potrzebie wyjścia z systemu pojałtańskiego — chodzi nam o samą zasadę podziału na strefy wpływów. Nie o to, czy Stalin dochował przyrzeczenia wolnych wyborów, ale że w ogóle miał prawo coś w sprawie Polski przyrzekać, zamiast dać jej spokój. (Francuzi na przykład nie przyrzekali, ani przyrzekać nie musieli, że Belgowie uszanują prawa językowe Flamandów). Czy dążymy do demontażu, podważania, rozwalania? Problem postawiony jest fałszywie: chodzi w istocie o to, że ZSSR jest anachronizmem politycznym i gospodarczym, obcym ciałem w dzisiejszym świecie. Jego rządy nad Europą środkowo-wschodnią są sprzeczne z naturą: z historią i aspiracjami tych narodów, z całym kierunkiem rozwoju dziejów najnowszych. Gdyby w ogródkach na warszawskim Żoliborzu zamieszkał nosorożec — mieszkańców tej dzielnicy, którzy chcieliby się go pozbyć nie oskarżano by przecież o zoologiczną dyskryminację czy brak poszanowania dla środowiska naturalnego.

Koniec systemu pojałtańskiego będzie jednocześnie końcem imperium komunistycznego takiego, jakie znamy. Bowiem podział Europy na strefy wpływów (też fałszywa formuła: z jednej strony hegemon, z drugiej dobrowolnie zrzeszające się grona) jest zarazem — dla komunistów — podziałem na kraje zwycięskiego socjalizmu i chylącego się do grobu kapitalizmu. Zniesienie tego politycznie brutalnego, moralnie bezprawnego, ekonomicznie nonsensownego i filozoficznie absurdałnego podziału — będzie więc odebraniem legitymizmu komunistycznej ideologii państwowej. I w takiej dopiero sytuacji byłoby miejsce na owe rozmowy z Rosją, o które apeluje Kisiel.

Jednakże na tej trzeciej, najszerzej płaszczyźnie, na której rozgrywają się polskie sprawy, Polacy mają najmniejszy wpływ na tok wydarzeń. Mogą tylko i *muszą* zadbać o to, aby się na tej płaszczyźnie utrzymać, aby sprawa polska nie stała się, jak bywało na dziesięciolecia w XIX wieku, jak bywało okresami po drugiej wojnie światowej, wewnętrzną sprawą sąsiadującego imperium.

## 4.

Wszystko toczy się teraz, jak w złym śnie: złowrogo — i zbyt szybko. Przytłoczeni ciężarem zawiedzionych nadziei, roznamiętnieni goryczą, wstrząśnięci tysiącami ludzkich tragedii, rozgrywających się na naszych oczach — nie mamy prawa stracić świadomości, że dzieją się rzeczy przeogromnie ważne. Rozstrzy-

gają się losy żyjących i najbliższych pokoleń. Ciśnienie historii jest straszliwe, jej wymogi — nadludzkie. Przypominają się słowa, które Kazimierz Wierzyński włożył w usta Piłsudskiemu: „Skazuję was na wielkość — bez niej zewsząd zguba”. Istotnie, jesteśmy skazani na wielkość. Cały nasz naród, jeżeli chce przetrwać, jeżeli chce sobie samemu, swoim tradycjom, najdroższym wartościom, pozostać wierny, musi się zdobyć na wielkość. A wielkość — to dzisiaj nie tylko zapał i poświęcenie. Wielkość to dzisiaj przede wszystkim — wytrwałość.

## S O C J U S Z

## Porozumienie czy kapitulacja?

Za naruszenie przepisów o stanie wojennym: prowadzenie działalności związkowej, wydawanie ulotek i biuletynów, organizowanie strajków — sądy w PRL skazały, do kwietnia br. łącznie, co najmniej 298 osób na dwa lata więzienia lub więcej. Z tego:

- 42 na dwa lata lub dwa i pół roku,
- 155 na trzy lata lub trzy i pół roku,
- 46 na cztery lata lub cztery i pół roku,
- 34 na pięć lat lub pięć i pół roku,
- 13 na sześć lat lub sześć i pół roku,
- 5 na siedem lat,
- 2 na dziewięć lat,
- 1 na dziesięć lat.

Najwyższe wyroki zapadły na Śląsku i na Wybrzeżu. To właśnie Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni skazał Ewę Kubasię na 10 lat, a Jerzego Kowalczyka i Władysława Trzcieskiego — na 9 lat. Z 55 wyroków orzekających 5 lub więcej lat więzienia, 25 przypada na Wybrzeże Gdańskie, 20 — na Śląsk, 3 — na Warszawę, 2 — na Łódź, po jednym — na Bydgoszcz, Gorzów, Rzeszów, Szczecin i Zieloną Górę\*. Ale pogłębione badania geografii represji, która jest zarazem geografii oporu, nie są jeszcze możliwe. Nie znamy dokładnej liczby skazanych na mniej niż dwa lata więzienia, nie wiemy, ile wymierzono wyroków z zawieszeniem, ile kar aresztu i grzywien. Co ważniejsze, przywołane dane dotyczą wyłącznie ofiar pierwszego, zimowego starcia między władzą a Solidarnością. A przecież każde następne

\* Obliczenia na podstawie list skazanych ogłoszonych w pierwszych dwóch numerach miesięcznika *Kontakt*.

powodowało nową falę aresztowań i oskarżeń. Ilu uczestników manifestacji majowych czeka w więzieniu na proces?

Sprawa skazanych wymagała wysunięcia na czoło, bo jest im najciężej. A tymczasem mówi się o nich i pisze stanowczo zbyt mało. Jak gdyby władzy udało się uczynić z internowanych osobistości swego rodzaju ekran przesłaniający inne kategorie przeszładowanych. Jak gdyby opinia, zwłaszcza emigracyjna i zagraniczna, była tak przejęta losem znanych intelektualistów i działaczy, że zabrakło jej pamięci dla tych, których nie chroni rozgłos — choć słaba to tarcza — i którym najbardziej potrzeba pomocy. A więc — dla skazanych właśnie. I dla więźniów bitych lub wręcz torturowanych przez milicję, jak to się ostatnio zdarzyło w Gdańsku. Dla internowanych robotników, urzędników, chłopów, studentów, stanowiących znaczny ułamek tych z górą 600 osób, które — wedle zaniżonych na pewno danych urzędowych — przebywają nadal w „ośrodkach odosobnienia”. Dla młodych opuszczających po przesłuchaniach komisariaty MO z poważnymi obrażeniami cielesnymi, jeśli nie są z nich — bo i takie wypadki miały miejsce — wywożeni do kostnic, gdzie ich zwłoki znajdują rodzice. Dla zakładowych działaczy Solidarności wyrzucanych z pracy, szantażowanych, straszonych śmiercią lub okaleczeniem ich samych albo najbliższych, i zmuszanych w ten sposób do porzucenia kraju. Dla dziesiątków tysięcy wtrąconych w bezrobocie i nędzę.

Pamięć o nich wszystkich staje się z każdym dniem coraz ważniejsza. Nie tylko z uwagi na upływ czasu i naturalną skłonność do skupiania się na sprawach bieżących i na najbliższym otoczeniu. Również ze względu na politykę władzy, o wiele bardziej przewrotną niż w ciągu pierwszych sześciu miesięcy stanu wojennego. Ze zniesienia wielu dokuczliwych ograniczeń wprowadzonych 13 grudnia, a zwłaszcza z wypuszczenia 1.200 internowanych, choć części z nich tylko warunkowo, można się cieszyć bez zastrzeżeń. Ale towarzyszy temu tworzenie pozorów normalności, które musi budzić nieufność. Oto ukazuje się książka znanego pisarza, od lat związanego z opozycją demokratyczną, a zapowiadane są książki i artykuły innych, w tym nawet — internowanych. Instytucje naukowe Warszawy i Krakowa unikają czystki, której wszyscy się spodziewali, a wychodzący z „ośrodków odosobnienia” naukowcy podejmują pracę, jak gdyby wracali z urlopów. Wydaje się paszporty kilku czy kilkunastu osobom, nie zważając na ich udział w różnych akcjach protestacyjnych. Związek Literatów pozostaje wprawdzie zawieszony, ale nie został rozwiązany i uważa się, że do tego nie dojdzie.

Takie i podobne decyzje budzą zadowolenie, jak każde ustępowanie władzy, każda, choćby znikoma, poprawa warunków życia.

Ale zarazem wydają się podejrzane z uwagi na ich wybiórczość: dotyczą wyłącznie środowiska inteligenckiego, a i w nim — tylko niektórych osób i instytucji. Nie ma podstaw, by widzieć w nich zapowiedź zmiany kursu, otwarcie perspektywy dialogu zdolnego doprowadzić do porozumienia. Jawią się raczej jako próba nadania jakiejś wiarygodności urzędowej retoryce, której wykwitem jest Deklaracja w sprawie Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, zadziwiająca wyłącznie pleonastyczno-bombastyczną nazwą tegoż — czyżby mógł istnieć Antypatriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego? — poza tym zaś będąca tandetną próbą wypracowań Frontu Narodowego w jego kolejnych wcieleniach. Oraz jako zaliczka, za którą junta generała Jaruzelskiego pragnie otrzymać z początku życzliwą neutralność, a następnie — głośne poparcie naukowców i twórców.

Dramat generała polega bowiem na tym, że jego ostentacyjny patriotyzm i afiszowana narodowość nie zostały uwierzytelnione przez jedyne instancje, które przeważająca większość Polaków uważa za uprawnione po temu: przez Solidarność, przez Kościół, przez świat nauki i kultury. Scenariusz zamachu stanu przewidywał uzyskanie takiej legitymacji. Wystawić ją miał, w pierwszej odsłonie, Lech Wałęsa, składając zarazem generałowi w ofierze swych „ekstremistów”; inspirowane artykuły w prasie zachodniej przedstawiały to w połowie grudnia jako fakt. Właśnie dlatego, że Wałęsa wyłamał się z roli, krzyżując przeto plany strategiczne sztabowców generała Jaruzelskiego, trzymany jest, z przerwami na wizyty rodziny, w odosobnieniu: Więzień Stanu, Żelazna Maską. Pozostaje jego historycznym osiągnięciem, że Solidarności nie zdołano zdezorientować i rozbić, i że opór robotników, złamany czołgami i ogniem, zniweczył rojenia o zapisaniu przez naród 13 grudnia 1981 obok 25 maja 1926. Generał ma na mundurze pełno orzełków, ale ludziom migają w oczach czerwone gwiazdy.

Również od Kościoła chciano otrzymać błogosławieństwo, aby pozbyć się piętna, które przeszkadza i na wewnątrz, i w polityce zagranicznej. Nie ofiarowano mu jednak w zamian nic prócz gołosłownych oświadczeń. Trzeba było czekać kilka miesięcy na spełnienie prośby Prymasa o zwolnienie internowanych kobiet. Wnioski Episkopatu w sprawie amnestii dla skazanych i uwięzionych oraz zwolnienia internowanych zostały po prostu odrzucone. Tym samym władze wojskowo-partyjne storpedowały wizytę Papieża w Kraju, której nie zastąpi mianowanie p. Ozdowskiego wicemarszałkiem Sejmu, a p. Komendera — wicepremierem. O nastrojach środowisk katolickich świadczy wymownie ostatnia pielgrzymka do Częstochowy; jej wymarsz z Warszawy stał się kolejną manifestacją w obronie Solidarności. W tym

klimacie trwającej izolacji junty i kolaborantów zaczęto umizgać się do środowisk naukowych i twórczych Warszawy i Krakowa.

Dziwne to umizgi. O żadnych istotnych ustępstwach nie ma mowy. Pozostają internowani liczni pracownicy naukowcy i pisarze, ze wymienną, dla przykładu, z pierwszych: S. Amsterdamskiego, B. Geremka, Al. Labudę, K. Modzelewskiego, L. Nowaka; z drugich: A. Drawicza i W. Woroszyńskiego. Dr Ryszard Herczyński, matematyk, skazany został kilka tygodni temu na dwa lata więzienia za „szkalowanie Polski Ludowej”; wyrok nie jest jeszcze prawomocny, gdyż odwołania złożyli i obrońca, i prokurator. Równocześnie władze wykonały kilka gestów, które nie kosztują ich nic zgoła, nadto zaś poniechały — na jak długo? — czystki na uczelniach i w PAN oraz rozwiązania ZLP. Ale poza Warszawą i Krakowem wyrzuca się z posad pracowników naukowych i dydaktycznych; mówi się, że w Katowicach i we Wrocławiu ofiary tej operacji idą w dziesiątki, jeśli nie w setki. A co się dotyczy ZLP, to drużyna pisarzy-ZOMO-wców, na czele z K. Koźniewskim, który od 13 grudnia pisze pałką maczaną w gazie łzawiącym, czeka tylko rozkazu, by przystąpić do działań. Pokazując naukowcom i pisarzom kawałek marchewki, władza demonstruje zarazem swą gotowość użycia bata, jeśli uzna to za potrzebne.

W porównaniu z końcem grudnia lub początkiem stycznia stan wojenny uległ niewątpliwemu złagodzeniu. Nie znaczy to jednak, że dokonały się jakiegokolwiek zmiany polityczne rokujące nadzieję na zastąpienie, we względnie krótkim czasie, wojskowo-partyjnej dyktatury przez system sprawowania władzy, który by umiał zaspokoić najważniejsze potrzeby narodu. Generał Jaruzelski zapowiedział zresztą w swym przemówieniu sejmowym z 21 lipca br., że nawet jeśli WRON „wystąpi do naczelných organów władzy państwowej o zawieszenie stanu wojennego”, to „równocześnie konieczne będzie zabezpieczenie interesu państwa i narodu w drodze czasowego przekazania Radzie Ministrów szczególných uprawnień” (*Życie Warszawy*, 22.07.1982). Innymi słowy, zawieszenie stanu wojennego połączone będzie z czasowym — ale nic przecież nie jest wieczne — przyznaniem Radzie Ministrów tych uprawnień, jakie posiada obecnie WRON. Albo jeszcze inaczej mówiąc, większość przepisów dekretu o stanie wojennym z 12 grudnia 1981 pozostanie w mocy pod inną nazwą.

Tego samego dnia Sejm wysłuchał również wicepremiera Rakowskiego, który wygłosił jedno z najbardziej cynicznych i podłych przemówień w swej długotrwałej karierze. Był to frontalny atak na Solidarność, jej przywódców i doradców, jej statut, założenia programowe i politykę od pierwszej chwili istnienia po dziś

dzień. Rakowski nie powiedział, czy należy do tych, którzy uważają, że „ruch związkowy, jaki wyłonił się z lipcowo-sierpniowych strajków 1980 roku trzeba potraktować jako zamknięty rozdział w historii Polski Ludowej i przejść do tworzenia całkowicie nowej struktury”. Nie ulega jednak kwestii, że takie właśnie jest jego stanowisko. Widać to jasno w opowiedzeniu się za branżową organizacją przyszłych związków czyli za powrotem do CRZZ pod inną nazwą. I widać to również w stwierdzeniu, że „zarówno statuty jak i codzienna działalność związków winny się opierać na [...] uznaniu kierowniczej roli PZPR w społeczeństwie i państwie” (*Życie Warszawy*, 22.07.1982). Nie wdając się w długie egzegezy, zauważę, że Rakowski przekreśla tym zdaniem porozumienie gdańskie, które ogranicza kierowniczą rolę PZPR wyłącznie do państwa. Ale prawdę mówiąc, uwaga ta jest bezprzedmiotowa, gdyż 13 grudnia 1981 władze uznały oficjalnie porozumienie gdańskie za świstek papieru.

Mówiąc o działaczach i doradcach Solidarności, którzy „w różnych deklaracjach komunikują o swej gotowości do zawierania kompromisów”, Rakowski oświadcza m.in. „Wydaje się, że ludzie ci przyjęli także fałszywy punkt wyjścia polegający na tym, że postanowili być wysoką układającą się stroną”. Zdanie to jest nie tylko odrzuceniem propozycji przedstawionych przez przywódców podziemnej Solidarności. Jest również jasnym i dobitnym stwierdzeniem, że WRON i PZPR nie mają zamiaru negocjować czegokolwiek z kimkolwiek; każdy, kto by chciał z nimi negocjować, zamierzałby przecież być wysoką układającą się stroną czyli przyjmowałby fałszywy punkt wyjścia. Stwierdzenie to powinni przemyśleć ci wszyscy, którzy wciąż jeszcze wierzą w możliwość jakiegoś „porozumienia narodowego”, wieńczącego pertraktacje między przedstawicielami dwóch stron: władzy i społeczeństwa. Szukając warunków takiego porozumienia, które by były do przyjęcia dla władzy, narażają się bowiem na niebezpieczeństwo sprzeniewierzenia się własnym ideałom i wyrzeczenia się wszystkiego, czemu porozumienie miało służyć: Solidarności, wolności dla skazanych, więzionych i internowanych, pracy dla wyrzuconych na bruk, a nawet — zniesienia stanu wojennego. I wtedy dopiero, gdy już zgłoszą akces do Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, Jaruzelski, Rakowski i inni zgodzą się, że porozumienie zostało zawarte. Nie będzie to jednak żadne porozumienie. Będzie to po prostu bezwarunkowa kapitulacja.

Krzysztof POMIAN

8 sierpnia 1982 r.

## 21 uwag o dialogu z terrorystą

1) 13 grudnia 1981 państwo napadło na społeczeństwo i wzięło mu zakładników. Aparat wojskowo-policyjno-partynoadministracyjny przyjął taktykę terroryzmu, ponieważ reprezentując znikomą mniejszość społeczeństwa nie mógł narzucić swoich koncepcji większości. Jej jedynym wiarygodnym rzecznikiem była i jest „Solidarność”.

Terrorysty, którzy porwali zakładników proponują nam teraz: zwolnimy ich i przestaniemy wam grozić użyciem broni, jeśli odstąpicie od waszych działań, idei, przywódców. Słowem: terroryści wyrzekną się terroru, jeśli my wyrzekniemy się siebie. Odpowiedź nasza musi być prosta i jasna: żadnych rokowań, żadnej ugody z terrorystą.

2) Do osiągnięcia kompromisu nie trzeba woli kompromisu, trzeba woli walki. Kompromis powstaje ze starcia sił, a nie z negocjowania społecznych racji. Z pistoletem przytkniętym do skroni nie zawiera się kompromisu, można tylko poddać się. Nie ma jednak powodu do kapitulacji. Ta wojna jest także wojną nerwów. Widać już, że terrorysta boi się strzałów nie mniej niż my.

Maksymy: Vegetiusa „Kto pragnie pokoju, niech się gotuje do wojny” i Clausewitza „Wojna jest dalszym ciągiem polityki prowadzonej innymi środkami” powinny wisieć nad łóżkiem każdego działacza „Solidarności”.

3) Po siedmiu miesiącach wojny z narodem widać już wyraźnie, że taktyka władzy sprowadza się do powtórzenia pojałtańskiej farsy.

Stopniowo wycofując się z rygorów stanu wojennego władza chce nas skłonić do ujawnienia się i rezygnacji z oporu w zamian

za obietnicę nierepresjonowania. Jest to groteskowa kopia stalinowskiej akcji ujawniania AK, by... przystąpić do jej likwidacji. Zastosowano cały zestaw działań. Najpierw zamknięto w obozach czołówkę działaczy, których udało się zaskoczyć. Ze sporadycznych polowań na pozostałych ukrywających się rezygnowano w momencie ujawniania się poszukiwanych. Na wolności, czyli w więzieniu zewnętrznym, którym stał się kraj, groźbą i szantażem wymuszano lojalność. Następnie zaczęto zwalniać internowanych, zastępując ich aresztowanymi i skazanymi.

Taktyka ta jest jasna: izolować elitę ruchu „Solidarności”. Rozbroić naród pozbawiając go przywódców. Nie represjonować za bierne członkostwo „Solidarności”, karać za podziemną aktywność.

4) Kościół rzucając w tej sytuacji, sytuacji narodu terroryzowanego przez państwo, hasło ugody społecznej, sprowadził dyskusję na manowce. Ugoda sugeruje dobrowolne ustępstwa z obu stron na określonych warunkach. Jest to fikcyjna dobrowolność: jedna ze stron wypowiedziała wojnę domową i ją prowadzi. Dopóki tylko straszymy odpowiedzeniem ciosem na cios i powstrzymujemy się w imię nadrzędnych racji — terrorysta nie ustąpi. Jacek Kuroń ma więc rację wzywając do niegubienia „złotego rogu”.

Polska samoograniczająca się rewolucja skończyła się, gdy przeciwnik nasz przestał się samoograniczać. Kuroń ma rację: tylko uderzeniami na ośrodki władzy i przemocy możemy zmusić przeciwnika do ustępstw. Dla ocalenia programu reform nie musimy iść na żadne kompromisy. Władza uwłaszczy nas chcąc nie chcąc, jak carat polskich chłopów po 1863 roku. Koncepcja autonomii jest nie tyle owocem naszych samoograniczeń, co samoograniczeń zaborcy, który musi zrezygnować pod wpływem buntu i oporu z pewnych form dyktatu. Na tym polega wyższość kompromisów niepisanych nad zapisanymi.

5) Nic groźniejszego w obecnej sytuacji niż uproszczenie myślenia o organizacji: góra ustala CO robić, a doły precyzują JAK. Jest bowiem dokładnie na odwrót: rolę Tymczasowej Komisji Krajowej jest ustalić, JAK wywrzeć na władzę presję silniejszą niż kolportaż bibuły czy bojkot prasy, radia i TV, JAK uderzyć w aparat przemocy. Nie możemy bez końca spierać się o zdobycie władzy, która trzyma nas na muszce karabinu. Możemy natomiast ustalić, JAK będziemy jej wydierać ten karabin. Centrum oporu może i musi określić, JAK odpowiemy na to, że terrorysta wypuścił większość zakładników, a trzymać będzie bezprawnie, powiedzmy, dwustu internowanych sugerując, że o dwu-

stu ludzi nie ma się co spierać, a reszta to przecież *skazani*. Odpowiedź na pytanie „JAK?” brzmi moim zdaniem następująco: na ograniczony terror trzeba odpowiedzieć ograniczonym odwetem, odwetem, który nie przybierze jednak charakteru kontrterroru.

Należy niszczyć materialną bazę aparatu przemocy i symbole tej przemocy, należy powołać sądy społeczne i piętnować ich wyrokami kolaborację wśród społeczeństwa. Na poziomie makropolityki pytanie podstawowe brzmi: JAK? Natomiast na poziomie kilkuno- i kilkudziesięcioosobowych grup pytanie podstawowe brzmi: CO? Nie ma bowiem sensu budować organizacji dla organizacji, siatek dla systemu siatek. Struktury powstają do zadań, a nie same dla siebie. Organizacje społeczeństwa podziemnego nie powinny się więc skupiać na dyskusowaniu metod walki, kwestii programowych, czy subtelności technicznych. Nie taktyka czy metody, a konkretna, z sukcesem wykonana akcja przeciw terrorystom stanowi o identyfikacji i sile grupy, pomaga jednostce opanować strach przed wszechwładnym, zdawałoby się, aparatem przemocy.

6) A więc JAK walczyć z Rosją i jej Wielkim Księciem Jerozolimskim? Tu trzeba siły. Trzeba odzyskać naszą armię, trzeba pomóc jej się zorganizować od wewnątrz. Powstanie? Nie, po co! Wystarczy sparaliżować pacyfikatorów, pozbawić ich woli walki ze społeczeństwem. Nie występować przeciw wojsku, prowadzić pracę wewnątrz armii. Nie — liczyć na odruch świadomości narodowej w momencie próby, gdy rozkaz stawia żołnierza polskiego na wprost robotnika. Wyprzedzać każdy taki moment, popierając wzrastające w kadrze oficerskiej nastroje frustracji, związanej z rolą okupanta.

7) Gdy parę miesięcy temu Kuroń wezwał z więzienia do zmiany taktyki i powiedział, że trzeba na siłę odpowiedzieć siłą, wyglądało to na oderwanie od rzeczywistości. W atmosferze przygnębienia ta myśl wydawała się absurdalna, nie przystająca do sytuacji. Tymczasem jest to myśl celna i dalekowzroczna. „Solidarność” wpadła w tę samą pułapkę, co niegdyś rewizjoniści: próbowała wraz z całym społeczeństwem pokojowymi środkami walczyć o socjalizm o ludzkiej twarzy tak, jakby taki kiedykolwiek istniał dłużej, niż trwał nacisk w kierunku liberalizacji systemu. I jeśli dziś po raz kolejny nagim terrorem przypominano nam, że Moskwa chce nad Wisłą realnego socjalizmu czyli faszyzmu o ludzkiej twarzy, to nie można już wierzyć, że przekona się terrorystę perswazją czy tylko groźbą użycia siły.

Siła użyta przeciw terrorystyce nie jest kontrterrorem, jest normalną samoobroną, bez której naród skarleje.

Jeśli państwo-terrorysta wbrew konstytucji wprowadza stan bezprawia, więzi i maltretuje obywateli, to czynne, metodami siły utrudnianie takiego sprawowania władzy (cóż, że z drugiej ręki) nie jest aktem gwałtu, a działaniem w obronie koniecznej.

8) Nie wolno nam bronić się dziś na pozycjach, na których nas zaatakowano. Walczyć dziś w imię „realizmu” o niezależne samorządne związki zawodowe w zależnym i niesamorządnym kraju, w tej polskiej zonie obozu, otoczonej drutami bratnich państw to minimalizm, który wikła nas w sprzeczności słów i działania. Skoro Moskwa boi się solidarności narodów podbitych bardziej niż solidarności samych Polaków, akcentujmy tym mocniej tę pierwszą i szerzymy zarazę wolności poza polskie druty. Między Niemcami a Rosjanami, narodami od dwustu lat coraz potężniejszymi i liczniejszymi od nas, dla Polski, samej Polski niepodległej nie znajdziemy miejsca. Żaden — choćby na krótką metę zwycięski — strajk generalny nie przeniesie naszego kraju z granic między Odrą a Bugiem. Finlandyzacja Polski to złudzenie podobne dziewiętnastowiecznym marzeniom o autonomii zaboru rosyjskiego. Alternatywa jest inna: albo Europa Wschodnia będzie wolna, albo sfinlandyzowany zostanie Zachód.

9) Koncepcja polityki posierpniowej sprowadzała się do milczącego uznawania, że władze polskie są władzami niezależnymi; przyjmowano, że możemy rozmawiać jak Polak z Polakiem. Pora zmienić ton. To, o co teraz wypada nam walczyć, to o rewolucję w obozie, a nie polską pokojową i odpowiedzialną drogę do demokratycznego społeczeństwa. W bezruchu, jaki zdaje się tworzyć sowiecki szantaż kryje się nadal szerokie pole manewru. Powtarzam: Rosjanie mają receptę na powstania narodowe (patrz: Budapeszt 56), nie mają natomiast sposobu na pacyfikowanie „pełzających kontrrewolucji”. Zwłaszcza inicjowanych przez socjalistów wrogich komunizmowi.

10) Kolejną odpowiedzią na pytanie: JAK walczyć?, jest uświadomienie sobie przez podziemną „Solidarność”, że możemy iść równoległe z Kościołem, ale nie możemy po prostu iść razem, harmonizując na co dzień nasze wysiłki. Cele Kościoła są wieczne, nasze — ziemskie. Kościół trwać ma przez pokolenia. Polska, by przetrwała, każde pokolenie na nowo musi spełniać ofiarę. Pokorą i miłością można walczyć o wolność religii chrześcijańskiej. Ale cywilizacja chrześcijańska broniła się zawsze ogniem i mieczem.

Nie można mieć Kościołowi za złe, że broni swej potęgi i swych interesów wielkiej społecznej instytucji. Ale nie możemy rezygnować w imię jedności działania z samodzielności naszego ruchu społecznego. Nie możemy — tendencje te były i są nieraz bardzo silne — podporządkować się Kościołowi. Musimy być niezależni, bo cele polityki niepodległościowej są inne niż cele polityki Kościoła. Kościół dąży do stworzenia takiej sytuacji, w której nie tracąc nic ze swoich wpływów uzyska niekwestionowany rząd dusz. Może go uzyskać tylko za cenę powstrzymania społeczeństwa od walki — taki był wydźwięk kazania prymasa Wyszyńskiego na Jasnej Górze w przeddzień podpisania porozumień gdańskich i taki jest sens działań prymasa Glempa. Jeśli Kościół zachowa umiar a my radykalizm, to obie strony działając niezależnie a równolegle w tym samym kierunku utrudnią władzy politykę terroru.

11) Stojąc na wprost terrorysty wbrew pozorom nie jesteśmy bezbronni: nasze więzienie jest też jego więzieniem. Terrorysta jest silny, dopóki ulegamy jego szantażowi. Jego celem nie jest zabijać i więzić, jego celem jest panować nad tymi, którzy godzą się na terroryzowanie jednostek, by ocalić „siły narodu”. Determinacja w odważnym niewycyfywaniu się, spiskowanie, gdy tylko terrorysta nie może nas osiągnąć, zadawanie mu ciosów zniemacka, szarpanie z ukrycia, utrudnia rządy strachu. Nam mdleją ręce od trzymania ich w górze, ale on też musi trzymać karabin. To rozważa a nie brawura dyktuje nam w tej sytuacji odwagę.

12) Nie wierzymy w dobrych i złych terrorystów. Terrorysta jest liberalny, gdy musi takim być. Jeśli władze przyjęły, że liczba aresztowanych jest koncesjonowana, że trzeba gospodarować pulą represji, bo to się bardziej opłaca, to postępujemy tak, by ta liberalna koncepcja jak najmniej im się opłacała. Pamiętajmy, że liberałowie nigdy sami z siebie nie zdołali zliberalizować komunizmu, ich liberalizm ujawniał się w chwili upadku kolejnej ekipy.

13) Trzeba sobie jasno powiedzieć: pół Polski może knuć spiski, ale konspirować naprawdę nie może 10 milionów. Konspiracja nigdy nie była masowa. Np. zaprzysiężeni żołnierze Armii Krajowej stanowili około 1% społeczeństwa. Obecny ruch, jeśli nie będzie ruchem kadrowym — ulegnie rozbięciu. Nie łudźmy się i nie pochlebiajmy społeczeństwu, w wychodku, w którym przyszło nam żyć, nie ma aż tak wielu odważnych. Istotne, by ustrzec się obustronnej mitomanii, by znaleźć miejsce w ruchu na miarę swoich sił. Z każdym działaczem podzie-

mia muszą współpracować dziesiątki współobywateli „na powierzchni”. Obie strony muszą być świadome ograniczeń swej działalności. Jedni nie zrobią wiele bez drugich. Najważniejsze, by działania kadrowych grup konspiracyjnych nie rozmięły się ze społecznymi oczekiwaniami. Tak było zaraz po wojnie, gdy WiN strzelał do komunistów odpowiadając na ich czerwony terror, a komuniści będąc panami sytuacji kierowali równocześnie odbudową kraju. To stawiało podziemie na straconej pozycji: ludzie chcieli budować kraj, a dość już mieli przelewu krwi.

Jedno podobieństwo tej i tamtej wojny pozostaje: na Polskę Walczącą musi pracować cała Polska Solidarna.

14) Czymś, czego bronić musimy rzeczywiście aż do zwycięstwa jest nasze podwójne życie. Musimy wygrywać w każdym konkretnie proces odgórnego liberalizacji stanu wojennego. To nasza konspiracja wymusza na władzy ustępstwa. Choć konspiruje pół Polski, niewielu z nas działać musi na fałszywych papierach. Z wyjątkiem kręgu najbliższych nasza aktywność jest anonimowa. Tego nie możemy właśnie stracić. Jeśli tajna pozostanie struktura i osoby, nasze stopniowe wynurzanie się na powierzchnię nie grozi nam dekonspiracją.

Życie pod powierzchnią zachować musimy za wszelką cenę: wtedy to my naszym drugim życiem trzymać będziemy czerwonych w rękę. By nasze „rozczapierzone palce”, które tak drażnią Jaruzelskiego, mogły zawsze zawrzeć się w pięść.

15) Przystępując do tego CO różne organizacje Podziemnej Solidarności mają robić, by zrealizować określone powyżej drogi do tego JAK osiągnąć demokrację i niepodległość, trzeba sobie powiedzieć, czy rzeczywiście niekontrolowany wybuch społecznego gniewu jest tym, czego powinniśmy się najbardziej obawiać. W sytuacji, gdy mamy centralny ośrodek polityczny podziemnej „Solidarności” wybuch spontaniczny nie jest już zagrożeniem. Centrum może poprzeć lub nie rodzące się działania. Nawet zupełnie zaskakujący swą siłą wybuch, jak demonstracja 3-majowa tego roku, może być — tym razem, niestety, nie był — zdyskontowany politycznie. Warto pamiętać, że niekontrolowany wybuch, to nie ten, który spontanicznie wybucha, a ten, który nie znajduje właściwie sformułowanego i osiągalnego doraźnie celu.

Niejedyn polski zryw (jak choćby Powstanie Listopadowe) trafił w ślepy zaułek tylko dlatego, że zabrakło zdecydowanych przywódców, którzy umieli ukierunkować spontaniczny wybuch i wpisać go w szerszą koncepcję walki. Strajki sierpniowe były też spontanicznym wybuchem (w tym sensie, że nie proklamo-

wało ich żadne centrum dyspozycyjne). Tyle, że władza była do niego gorzej przygotowana niż opozycja.

16) Strajk, a tym bardziej strajk generalny o charakterze okupacyjnym, był czym innym w początkach samoorganizowania się społeczeństwa, czym innym jest dziś. Wówczas służył tej samoorganizacji, pozwalał wyłonić ludzi zdeterminowanych, szereg oddziaływać nielicznej opozycji. „Strajk generalny — mówią autorzy opracowania „Stan wojenny i opór masowy” — nawet wtedy, gdy uda się do niego doprowadzić — *nie paraliżuje władzy, ponieważ nie uderza w jej podstawowe narzędzie — aparat przemocy*”. 13 grudnia wyznacza wyraźną granicę skuteczności strategii strajku generalnego. W sierpniu żołnierz i milicjant nie strzelali, bo nie miał  *kto*  wydać im rozkazu. Władza była sparaliżowana, nie było ośrodka politycznego, który mógł wydać decyzje operacyjne.

Do strajku można się odwoływać, ale nie — mówiąc: generalny i aż do zwycięstwa. Podobnie nie strzela się aż do zwycięstwa, tylko do wyczerpania amunicji. Jeśli chcemy walczyć aż do zwycięstwa, nie możemy zaczynać od końca: od wystrzelania w jednym starciu generalnym całej amunicji. Można śpiewać „Bój to będzie ostatni”, ale nie można tego planować.

17) Samo nasze trwanie jest dla władzy zagrożeniem. Siła ustroju totalitarnego polega na zawładnięciu środkami społecznej komunikacji, polega na atomizowaniu społeczeństwa i uniemożliwieniu mu oddolnego, bez wiedzy i zgody władzy, zorganizowania się. „Papierowa amunicja”, o której śpiewał Kelus, jest warunkiem koniecznym choć niewystarczającym budowy społeczeństwa i państwa podziemnego. Niezależna kultura okazała się pożywką, na której wyrosła kadra działaczy Sierpnia. Szukając odpowiedzi na pytanie CO ma robić podziemie, nie zapominajmy o tej odpowiedzi znanej i wciąż sensownej. Ma robić bibułę, której jest wciąż za mało. Której zabrakło w początkach sowiezacji Polski lat 44-48.

18) Strajk generalny ma dzisiaj sens tylko jeśli odbywać się będzie pod hasłem bardzo konkretnym i trudnym dla władzy do odrzucenia. Gdybyśmy zorganizowali ogólnopolski strajk lub inną masową publiczną demonstrację przeciw niewpuszczeniu Papieża do Polski — byłby to cios trudny do odparowania propagandowo. Represjonowanie uczestników takiego protestu stawałoby juntę w sytuacji niezwykle kłopotliwej. Fakt, że nikt nie podjął takiej inicjatywy umożliwił kunktatorskie przesunięcie wizyty Papieża na rok przyszły. Z wyjątkiem sytuacji tak kon-

kretnych i oczywistych, gdzie możemy być pewni, że poderwiemy społeczeństwo do walki, należy unikać starć frontalnych. Działajmy jak partyzantka, zaskakujmy przeciwnika, a nie wydawajmy mu otwartej bitwy. O trwałości naszego ruchu zadecydują takie akcje jak audycje radio „Solidarność”, wmurowanie granitowej płyty pamięci zabitych górników Kopalni Wujek na Placu Zwycięstwa w Warszawie, lanie sprawione 13 czerwca wrocławskim ZOMO-wcom, czy porwanie ze szpitala postrzelonego Janka Naroźniaka.

19) Podwójne życie pozwoli nam realizować nie tylko ethos walki, ale także ethos pracy. Pozwoli współtworzyć program pozytywny z wszystkimi, którzy chcieliby swoją pracą nie utrwalac istniejącego porządku, a budować elementy przyszłego. Indywidualni rolnicy, prywatni przedsiębiorcy, spółdzielcy, rzemieślnicy muszą czuć, że ich działania opozycja popiera jako budowę gospodarczej niepodległości.

20) Już opozycja przedsierpniowa udowodniła jak wiele może zależeć od niewielu. Dla kogoś, kto widzi emancypację polskiego społeczeństwa jako proces, a nie jako jednorazowy fakt, okres „Solidarności” był nagłym skokiem wznoszącego się w górę wykresu. Dziś temperatura nastrojów opadła. Niemniej, z przedsierpniowej perspektywy, obecna sytuacja może być oceniana tylko jako bardzo dobra. Mamy szerokie wpływy we wszystkich warstwach. Mamy elitę przywódczą społeczeństwa.

Jeśli przed Sierpniem KOR-owski *Robotnik* jako pismo ogólnokrajowe ukazywał się (w pokojowych czasach) w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy, to dziś tylko nakład regularnie ukazującej się prasy Mazowska jest dużo wyższy. Wygraliśmy już bitwę o wolne słowo.

21) MILCZENIE MORZA jako odpowiedź na wrzaski terrorysty ma nie tylko znaczenie moralne. Milczenie 10 milionów jest też formą dialogu. Jedyną formą dialogu z władzą jaka jest dziś możliwa.

I jedyne porozumienie społeczne jakie jest nam teraz potrzebne, to nasze wewnętrzne: jak i czym zamierzamy walczyć z państwowym terroryzmem. O negocjacjach i ofertach pokojowych będziemy myśleć po wygranych bitwach.

Maciej POLESKI



## Polska : kilka uwag

### 1.

Na temat tego, co działo się w Polsce od sierpnia 1980 roku powstanie kiedyś wiele książek, ale już teraz kształtuje się obraz tych wydarzeń, który zostanie utrwalony przez historiografię. Większość tekstów o Polskim Sierpniu szkicuje schemat nieco wyidealizowany, co jest oczywiście następstwem emocjonalnego zaangażowania autorów. Trudno wyeliminować zupełnie ten czynnik, niemniej jednak można wskazywać fakty, które — nieproporcjonalnie do swej ważności — spychane są w niepamięć.

Wielkie wydarzenia historyczne mają to do siebie, że uczestniczą w nich miliony ludzi, z drugiej zaś strony decyzja czy postawa jednostki bądź małej grupy może wywołać następstwa wręcz epokowe. Czy przejdzie do historii dyrektor gdańskiej stoczni Gniech, który podjął decyzję o wyrzuceniu z pracy Anny Walentynowicz i później — wbrew decyzji sądu pracy — wydał dyspozycje, aby nie wpuszczać jej na teren zakładu? Właśnie te represje były bezpośrednią przyczyną strajku w stoczni. A czy w annałach znajdzie się miejsce dla młodego człowieka (no właśnie — jak brzmi jego nazwisko?), który uratował gdański strajk, pomimo tego, że Lech Wałęsa ogłosił jego zakończenie po uzyskaniu 1500 zł podwyżki i przyjęcia p. Walentynowicz do pracy? I czy będzie się pamiętać o tym, że strajki, które trawiły Polskę od początku lipca 1980 roku miały charakter czysto ekonomiczny, czyli że szło o przysłowiową kiebasę? Fakty te zostaną zapewne pominięte w przyszłych kronikach i analizach; pamięć historyczna jest selektywna, bowiem naród — podobnie jak jednostka — tworzy swój obraz poprzez układ odniesienia do zadowolonego w zbiorowej świadomości ideału. Jest to zjawisko zu-

pełnie naturalne i pozytywne; tożsamość historyczna wspólnoty narodowej — tak zagrożona w warunkach komunizmu — może przetrwać dzięki pamięci o niepodległościowych zrywach, gotowości poświęceń, wspólnej nadziei. Ale jeśli prawdziwa jest łaćcińska maksyma *historia magistra vitae*, to złym nauczycielem będzie zapis dziejów pomijający momenty tragicznych rozczarowań, błędów politycznych czy wreszcie wydarzenia pozornie nieistotne, które jednak przy głębszej analizie ukazują swoją niepoślednią rolę. My Polacy podchodzimy do wielu problemów dziejów narodowych w sposób nadmiernie emocjonalny i irracjonalny, wskutek czego powstają mity i schematy uswięcone przełaną krwią i kolejnymi ciężkimi doświadczeniami zawinionymi przez Historię. Lecz Historia to splot przyczyn i skutków, konkretnych decyzji podjętych przez konkretnych ludzi, polityki władzy, postawy społeczeństwa, taktyki przywódców. Najnowsze dzieje Polski — od 1939 roku — to pasmo klęsk, ofiar, daremnego wysiłku milionów ludzi, jałowych zrywów i tragicznych rozczarowań. Tak, to wszystko prawda, lecz jeśli do naszej historii podchodzić będziemy w nabożnym uniesieniu, jak do ołtarza, to może przeżyjemy chwile mistyczne, lecz nie zrozumiemy przyczyn tych wszystkich nieszczęść.

Przypomnijmy reakcję czytelników na opublikowany swego czasu w *Głosie* artykuł L. Jeżewskiego o 17 września 39 r. (autor skrytykował postawę Rządu R.P., który po agresji sowieckiej nie ogłosił stanu wojny z ZSSR): niemal wszystkie listy do redakcji pały świętym oburzeniem. Podobna postawa emocjonalna kształtowała recepcję filmu Wajdy „Człowiek z żelaza”; nikt nie chciał uwzględnić racji K. Kłopotowskiego — autora jedynej krytycznej i — jak miemam — trafnej recenzji. Niezależna publicystyka okresu „Solidarności” również przyjęła ton jednolity, artykuły trzeźwe, dostrzegające także zagrożenia i niebezpieczne aspekty rozwoju sytuacji można policzyć na palcach jeśli nie jednej, to najwyżej obu rąk. A czyż to właśnie nie owa emocjonalna atmosfera ułatwiła władzom sprawne przygotowanie pacyfikacji i sukces zaskoczenia?

Reakcje uczuciowe dominują po Czarnej Niedzieli 13 grudnia i oczywiście sam im również ulegam. Będziemy kiedyś mówić, że raz jeszcze Historia ciężko nas doświadczyła. Ale ta Historia zbyt natrętnie przypomina mi bolszewickie wywody o prawach dziejowych, które są „uniwersalne”, „nieziemne” a przede wszystkim „obiektywne”, czyli nikt nie ma na nie wpływu. Historię tworzą jednak żywi ludzie.

Trudno zdobyć się obecnie na spokojną i trzeźwą analizę. Spróbujmy jednak zapytać: dlaczego znów kolejni polegli, których ofiara jest daremna? Dlaczego wysiłek i poświęcenie milio-

nów ludzi przyniosło obecnie udrękę tysięcy aresztowanych, cierpienia rozerwanych rodzin, strach przed terrorem władz? Czy i jak można odpowiedzieć na te pytania? Gdzie szukać dróg wyjścia i jakie wskazywać cele?

Wybitny psychiatra i psycholog śp. Eugeniusz Brzezicki napisał kiedyś, że Polak to typ skirtotymiczny. Zapewne uczony się nie mylił — to co przeżywamy obecnie to klasyczny przykład owej psychicznej skirtotymii. Jednak charakter narodowy jest w znacznej mierze determinowany przez duchową tradycję, dziedzictwo kulturowe, sposób myślenia o własnej historii. System zainstalowany w Polsce po drugiej wojnie światowej te właśnie elementy zbiorowej świadomości poddaje surowej próbie. Celowo użyłem słowa „system”, a nie politologicznego terminu „ustrój” (polityczny), bowiem sowietyzm we wszelkich odmianach to przede wszystkim *system oddziaływania na duchowość człowieka*, struktura polityczna państwa jest rzeczą wtórną, podporządkowaną zespołowi czynników, których celem jest wypracowanie określonych postaw jednostki. Jak kształtowały się te postawy przed Sierpniem i po nim? Odpowiedź na to pytanie może ujawnić wiele luk w politycznym myśleniu, taktycznych rachubach i sporach. Ale w ten sposób możemy również szukać metod i celów działania, te bowiem istnieją zawsze, nawet w warunkach zwielokrotnionej opresji.

## 2.

Rewolucja... To słowo powtarzano ciągle i chyba po raz pierwszy od wielu lat nabrało ono dla nas pozytywnego znaczenia. Rewolucja — wielka przemiana, z którą miliony łączą swoje nadzieje. Ten właśnie termin był wyrazem zbiorowych emocji. To prawda — Polska przeszła rewolucyjną przemianę. Jeśli jednak chcemy zrozumieć, co rzeczywiście stało się w Polsce, to pojęcie „rewolucji” okazuje się akurat zupełnie błędne. Nie było bowiem w Polsce przemocy — koniecznego warunku rewolucji. Stąd też tworzono pojęcia wewnętrznie sprzeczne — „rewolucja pokojowa” czy „samoograniczająca się rewolucja”. Zatem nawet w tym wypadku — szukania właściwego słowa — mieliśmy do czynienia raczej z projekcją własnych emocji. Łatwo można to zjawisko wytłumaczyć, jeśli tylko zdamy sobie sprawę, że sowietyzm jest zjawiskiem zasadniczo nowym, pozbawionym precedensów a co więcej — język jest główną domeną, którą ten system zawłaszcza. Na dodatek Polski Sierpień i powstanie niezależnych od władzy związków zawodo-

wych — to również ewenement bez precedensu w ponad 60-letniej historii systemu sowieckiego. Jednak aby zrozumieć, analizować, poznać mechanizmy i ich skutki — trzeba skończyć z zakłębieniami o „pokojowej rewolucji”.

Uważam, że w punkcie wyjścia do racjonalnej refleksji nad polskim fenomenem musi leżeć uświadomienie sobie zasadniczej przemiany duchowej, jaką miliony ludzi przeżywało w Polsce przez 16 miesięcy.

Dla refleksji nad politycznym charakterem przemian w Polsce (choć — podkreślam — analiza politologiczna daleka jest od wyczerpania problemu) najważniejszy wydaje mi się termin użyty przez A. Smolara — *desowietyzacja*. Odejście od reguł systemu, destrukcja mechanizmów sowietyzmu — to właśnie dokonywało się w Polsce w tempie iście zawrotnym. Mówienie o desowietyzacji chroni nas także przed grząskim terenem polityczno-propagandowych sformułowań; czy w Polsce jest socjalizm czy komunizm? Czy działały „siły antysocjalistyczne”, czy — wprost przeciwnie — „naprawiacze” socjalizmu? „Socjalizm”, „komunizm” — słowa te mają tyle niemal znaczeń, ile jest partii politycznych, które używają ich w swej propagandzie. W Polsce rzadko mówiono o komunizmie (co zrozumiałe, bo słowo to wywołuje u wszystkich niemal Polaków odruch automatycznej niechęci), raczej o „budownictwie socjalistycznym”. Posługuję się tutaj terminem „sowietyzm” aby podkreślić, że rozważamy zjawisko cywilizacyjne, kulturowe (czy raczej antykulturowe), a nie ustrój polityczny. I może warto zwrócić uwagę na fakt, że komunizm wymyślono na Zachodzie, o czym dzisiaj wszyscy niemal zapomnieli. Ale — nie łudźmy się — nie ma wyjścia z tej językowej matni, od czasu kiedy monopol na nadawanie znaczeń słowom posiada władza sowiecka.

## 3.

W zachodniej prasie, która daleka jest od zrozumienia polskiej problematyki, mówi się ciągle o „zamachu stanu”. Typowy przykład stosowania *clichés*, wykształconych w recepcji puczów wojskowych dokonywanych w Trzecim Świecie. Ale Polska to nie Afryka. 13 grudnia nikt władzy nie stracił i nikt jej nie przejął — pozostała ona w tych samych rękach. Ustąpił jeden minister i „spadło” dwóch czy trzech wojewodów. To wszystko. Wszelkie organy władzy państwowej zachowały się „w granicach normy”, z organem najwyższym — Sejmem — na czele.

Egzaltowanie się 6 postaciami, którzy nie poparli ogłoszenia stanu wojny, jest typowym objawem zachwiania właściwych proporcji. Władzom przyświecał określony cel psychologiczny i działały one wedle logicznego schematu.

Jeszcze przed „zamachem stanu”, a znacznie częściej po nim w zachodniej prasie pojawiały się sądy, jakoby „Solidarność” poszła za daleko”. Abstrahując już od sporej dozy cynizmu zawartego w takich opiniach, stwierdzić trzeba, że to kolejny typowy przykład ignorancji w sprawie społecznej rzeczywistości sowieetyzmu. „Solidarność” ani nie poszła za daleko, ani za blisko, po prostu dlatego, że nigdzie indziej pójść nie mogła. W warunkach systemu sowieckiego jest rzeczą niemożliwą kierowanie masowym ruchem społecznym niezależnym od władzy. Strajki, protesty, wiece były przeważnie samorzutne i spontaniczne (pamiętamy zapewne, że większość prób ograniczenia strajków, podejmowanych przez kierownictwo związku, kończyła się niepowodzeniem). Oczywiście wszystkie żądania i protesty społeczne były słuszne. Ludzie, wyzwoleni z więzów samookupacji i skrzepowania balastem strachu i nienawiści, chcieli po prostu chleba i wolności. Wojewoda X. w mieście Y znany był ze skrajnej korupcji, sekretarz N. w czasie polowań ze swą świtą tratował chłopskie zagony, braki w zaopatrzeniu w K. przekraczały granice ludzkiej wytrzymałości, w P. zamordowano kilku aresztantów w lokalnej komendzie milicji — tak było w całej Polsce — strajki musiały wybuchać. Tak jest w całym obozie sowieckim, ale tylko w Polsce można było otwarcie protestować. Postępował paraliż władzy. Ta władza nie mogła rządzić społeczeństwem, które zrzuciło kaftan zniewolenia. I — dopowiedzmy myśl do końca — komunistyczna władza, która nie może rządzić — zaczyna strzelać.

„Wywrotowe” wypowiedzi przywódców „Solidarności”, cytowane obecnie z lubością przez oficjalną propagandę, były tylko konstatacją sytuacji, która powstawała niejako sama przez się. Władzy odbierano kolejne dziedziny życia społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego. Podobnie kariera KPN-u była wynikiem coraz dalszego zasięgu rewindykacji społecznych — osiągnęły one poziom zbieżny z hasłowo sformułowanym programem konfederacji, która zresztą w momencie swego powstania niewiele mogła zaproponować, prócz frazeologii odwołującej się do narodowych emocji.

Aparat państwowy wszedł w fazę praktycznego paraliżu. Trudno nie dostrzegać ujemnych następstw takiego stanu rzeczy. Jednak „rozwiązanie”, które wybrały władze, pociągnęło za sobą tragedię. Czy mogło być inaczej?

4.

Uważamy (my — Polacy), że Moskwa zdusiła kolejny zryw wolnościowy naszego narodu. Zrobiła to wprawdzie polskimi rękami, ale siłą sprawczą jest rzecz jasna Związek Sowiecki. Otóż rozumowanie tego typu jest według mnie — z jednej strony — intelektualnym eskapizmem, a z drugiej projekcją — zupełnie zresztą zrozumiałej — nienawiści do Sowietów. Wątpliwe to jednak przesłanki dla rzetelnej analizy dramatu z 13 grudnia. Co więcej, takie postawienie sprawy natrętnie przypomina model propagandowych kampanii we wszystkich niemal momentach ostrych kryzysów politycznych w Polsce. W 56 roku wszystkiemu winni byli agenci imperializmu, w 68 roku — syjoniści itd., itp. Zawsze rzecz jasna działała CIA, Wolna Europa, ośrodki antypolskie na Zachodzie, zachodnioniemieccy rewanżyści, czyli czynniki zewnętrzne, na które my — Polacy — nie mamy żadnego wpływu. 13 grudnia wszystkiemu winni byli Sowietci, uosabiani przez emisariusza Breżniewa — marszałka Kulikowa.

Policyjno-wojskowej juncie Jaruzelskiego bardzo zależało i zależy na uwiarygodnieniu takiej właśnie genyzy wprowadzenia stanu wojny. Na tym odcinku władze osiągnęły sukces niemal stuprocentowy. Głównym narzędziem stymulowania antysowieckich emocji był departament dezinformacji.

13 grudnia rozeszła się po Warszawie wiadomość, że Kulikow powiedział Jaruzelskiemu: „Jeśli wy tego nie zrobicie, to my to zrobimy”. Istnieje też druga, równie popularna wersja, wedle której sowiecki marszałek przywiózł pisemne ultimatum Breżniewa. Później rozchodziły się jeszcze plotki o przebranych sowieckich żołnierzach, o tym, że co piąty milicjant w Warszawie nie mówi po polsku, o deportacjach do Rosji.

Przytoczony „cytat” z Kulikowa można traktować jako chwyt literacki, bo trudno uwierzyć, aby warszawska ulica słyszała rozmowę marszałka z Jaruzelskim. Ale powszechnie i bezkrytycznie przyjęto wersję o wyłącznie sowieckiej genyzie tragedii z 13 grudnia. Widocznie było to po coś potrzebne. Władzom chodziło o wpojenie ludności przekonania, że ogłoszenie wojny jest mniejszym złem, chroni bowiem przed sowieckim najazdem („nie mogliśmy inaczej, towarzysze radzieccy kazali”). W wypadku społeczeństwa natomiast wersja owa broni przed racjonalizacją pełnego wymiaru tragedii, czyli faktu, że w Polsce pod władzą komunistyczną Polacy znowu zabijali Polaków. Mamy zatem do czynienia z „tłumaczeniem”, które kompensuje wiele psychicznych urazów, po wtóre zaś jest „wyjaśnieniem” uniwersalnym i kompletnym („nie mogło być inaczej, no tak, Moskwa

czuwa"). Z takiego myślenia wynika jeszcze jeden wniosek, według mnie i fałszywy, i szkodliwy — że w Polsce nic się zmienić nie da. Wszystko to jednak skutecznie oddala nas od zrozumienia mechanizmów systemu sowieckiego i jednej z głównych jego zasad — *samookupacji* (przyznam, że nie spodziewałem się, aby fenomen ten można było oglądać w tak klarownej postaci, jaką jest obecna sytuacja w Kraju — Polska jest okupowana przez Polaków).

Czemuż tak łatwo przyjęto wersję o sowieckim ultimatum? Wszak przygotowania do ogłoszenia wojny trwały od kilku miesięcy i były dokonywane przez polskie władze — w tej chwili jest to poza wszelką dyskusją. Utrwalony schemat rozumowania — zwalanie całego zła na Sowiety (Rosję) — wiąże naszą myśl polityczną niewidzialną siecią i wtrąca ją w błędne koło. My, Polacy — emocjonalnie żyjemy cały czas w XIX wieku, a w najlepszym razie w roku 1944. Po wojnie jednak zainstalowano w Polsce — oczywiście z woli Kremla — zupełnie nowy system, który uruchamia mechanizmy samozniewolenia i raz wprowadzony — nierychło ustąpi. Polskie programy niepodległościowe są niczym ślepiec, któremu powiedziano, że ma dojść do niezawisłości, i słusznie, tyle że on — nieszczęsny! — nie widzi dobrze, na czym polega jego niewola. „Sami siebie wzięliśmy za mordę i trzymamy za kratami?” — pyta bohater „Małej apokalipsy” przesłuchującego go oficera bezpieczeństwa. Otóż to właśnie — system sowiecki dokładnie okalecza — by użyć stereotypowego określenia — ludzką duszę. Zakłęcia o niepodległości — wzniósłe i szlachetne — nie na wiele się zdadzą, jeśli nie uświadomimy sobie, na czym polega system, w którego kierat nas wepchnięto. Trzeba dokonać zasadniczej rewizji stylu myślenia o programach politycznych i społecznych. Podchorążowie, Traugutt, Piłsudski — wszystkie te sabaty narodowych cieni — dobre dla zbiorowej egzaltacji — w rzeczywistości typu sowieckiego nie mają żadnego zgoła zastosowania. Piśzę to wszystko, bo znów zapał i wysiłek milionów ludzi zakończyły się zbiorową tragedią. Jeśli nie dokonamy tego elementarnego kroku — właściwej i racjonalnej analizy rzeczywistego przeciwnika — systemu sowieckiego, będą dalsze zrywy i dalsze klęski, kolejne daremne ofiary i zmarnowane szanse.

Próbą myślenia we właściwych i realistycznych kategoriach o sytuacji Polski pod władzą komunistyczną była większość tekstów Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Analizowano w nich rzeczywistość życia codziennego przeciętnego obywatela i wskazywano, co tenże obywatel konkretnego może zrobić, aby poszerzyć zakres dostępnej mu wolności. PPN zamiłk

przed kilkunastu miesiącami, mam jednak nadzieję, że nie na zawsze.

Innym przykładem wyjścia poza tradycyjne szablony była publicystyka polityczna Stefana Kisielewskiego. Artykuł o geopolityce, traktowany przez autora jako „ćwiczenie umysłowe”, odrzucał dogmat, wedle którego uzależnienie od Rosji jest najgroźniejsze dla polskiej tożsamości narodowej. Kisielewski postulował analizę społeczno-duchowej treści ustroju komunistycznego, wskazywał, że uruchomiona po wojnie przez ZSSR systemowa machina działa już dalej samoczynnie, „realizuje się przez nieświadomie często działających Polaków — następuje autosowietyzacja”\*. Ta autosowietyzacja czy samookupacja — to zaiste szatański wynalazek, ale czy 16 miesięcy polskich przemian nie pokazało, jak słabe są przyczyny tego zniewolenia, w jak znacznym stopniu polegają one na bezwolnie zaakceptowanej konwencji życia duchowego i społecznego. Artykuł Kisielewskiego spowodował dyskusje tyleż burzliwe, co niemerytoryczne; raz jeszcze psychologiczny stereotyp wzięł górę nad postulatem trzeźwej analizy.

Podobnie jest z szerokim rezonansem, jaki wywołał tekst wystąpienia J. Rajskiego, publikowany w *Kulturze* pt. „Współpraca gospodarcza Polska - ZSRR”. Z artykułu tego wynika, że winni klęski gospodarczej PRL są Sowieci, wprowadzili oni bowiem tzw. rubel transferowy. Jako antidotum na myślenie tego typu polecam 2 artykuły: J. Kuśmierka „O handlu z Rosją” i prof. Cz. Bobrowskiego „O gospodarce krajowej” (oba teksty również publikowane w *Kulturze*).

Jaka jest rola Moskwy w polskim dramacie? I na to pytanie trzeba w końcu spróbować odpowiedzieć. Odpowiedź musi być rzecz jasna niepełna, tyle że proponuję opierać się na faktach, a nie na plotkach, domysłach i emocjach. Jaki był stosunek Kremla do Sierpnia i jego następstw — nie trzeba przypominać. Sowietom oczywiście zależało na radykalnym położeniu kresu polskiej zaradzie. Cel Jaruzelskiego był akurat taki sam. Decyzję uzgodniono wspólnie. Obecność Kulikowa — w sytuacji ogromnej operacji wojskowej dokonywanej wszak siłami Układu Warszawskiego — jest zupełnie zrozumiała. Kilkanaście

\* Najlepszą ilustracją duchowych realiów systemu sowieckiego w Polsce jest paradokumentalny film M. Łozińskiego „Jak żyć?” (gorąco polecam!). Uczestnicy obozu dla młodych małżeństw w sposób zupełnie naturalny, nieprzymuszony przyjmują konwencję wzajemnych przeszeptań, podsłuchów i donosów, a jedyny uczestnik turnusu, który zachowuje się inaczej, zostaje dotkliwie i — by tak rzec — spontanicznie pobity. Gdybyż to widzieli krytycy Zinowiewa! A film nakręcono w roku 1976 — miesiąc po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie.

dni przed 13 grudnia odbyły się dwa znaczące spotkania: ministrów spraw zagranicznych i ministrów obrony państw bloku sowieckiego. Z wielu plotek na temat roli Moskwy jedna wydaje się prawdopodobna: „eksport” polskich mundurów do ZSSR miał zapewne na celu przygotowanie sił sowieckich do interwencji, w wypadku gdyby zawiodło polskie wojsko. Spisało się ono jednak w sposób zadowolający, zwłaszcza, że strzelało tylko ZOMO i UB.

W kołach politycznych Francji pojawiła się taka wersja: Jaruzelski wolał, żeby dokonali tego Sowieci, ci ostatni zaś właśnie w Jaruzelskim upatrywali radykalnego „normalizatora” sytuacji w Polsce. Teoria taka przedostała się być może kanałami dyplomatycznymi z Moskwy i Warszawy i oto jej wymowa: biedny Jaruzelski nie chciał, ale zmusił go do tego Breżniew! Sowieci natomiast zachowali „powściągliwość”, bo w końcu operację przeprowadzono polskimi siłami (ostatnie artykuły w prasie sowieckiej potwierdzają tę wersję). I wilk syty i owca cała.

Przyjęło się twierdzić, że Jaruzelski podjął swą decyzję w interesie Moskwy. Nic w tym odkrywczego, bo od prawie 40 lat komunistyczna władza w Polsce działa na korzyść Związku Sowieckiego. Ale Jaruzelski podjął tę decyzję przede wszystkim w swym własnym interesie, w interesie władzy, której wymknęło się uwolnione z więzów autoniwelacji społeczeństwo. Artykuły w *Prawdzie* i w *Izwiestiach*, które przywołuje redakcyjna opinia *Kultury*, dowodzą jedynie, że Moskwa wiedziała co ma się stać w Polsce i stąd propagandowe przygotowania całej operacji (dokładnie taki sam, preliminaryjny charakter, miała linia *Trybuny Ludu* i *Żołnierza Wolności*).

Na emigracji pojawiają się głosy, że Sowieci muszą wreszcie zrozumieć, że albo zezwolą na liberalizację w Polsce, albo kryzysy polityczne będą tutaj powtarzać się permanentnie. Sowieci nie tylko nie muszą niczego zrozumieć, ale i nie rozumieją. Zrozumieć natomiast musimy my sami i bez czekania na metamorfozę Breżniewa bądź jego następców stosować politykę faktów dokonanych. Ta bowiem jest możliwa, jeżeli rozezna się mechanizmy systemu i reguły postępowania władz. System w Polsce zachował się logicznie i konsekwentnie. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski.

## 5.

Wspomniałem już, że w warunkach systemu sowieckiego nie jest możliwe kierowanie masowym ruchem społecznym, niezależnym od władzy. Nie można wszak utrzymać twierdzenia, że roz-

wój sytuacji w Polsce przed 13 grudnia był konsekwentną realizacją planu wytyczonego przez władze związku. To, co chcę poniżej napisać, należy zatem traktować jako „ćwiczenie umysłowe”; hipoteza moja opiera się na szeregu warunków, które z określonych względów nie były spełnione. Chcę jednak wskazać pewne luki i fałszywe schematy myślowe, których odrzucenie jest koniecznym krokiem do budowania realistycznych programów wolnościowych.

Przeegraliśmy kolejną wielką Sprawę, a najtragiczniejsze jest to, że przeegraliśmy ją bez walki. Płacimy haracz za przyjęcie dwóch fałszywych dogmatów. Po pierwsze, że trzeba za wszelką cenę uniknąć przelewu krwi; sakramentalne „dogadać się jak Polak z Polakiem” odmieniano ciągle w różnych wersjach. Niestety, krew się polała i była to krew ofiar daremnych. Zaś drugi emocjonalno-myślowy aksjomat, to przyjęcie za największe niebezpieczeństwo możliwości sowieckiego najazdu. Przygotowano instrukcje na wypadek obcej inwazji, nikt jednak nie brał pod uwagę ewentualności brutalnego terroru ze strony władz rodzimych. Starałem się już wskazać na przyczyny takiej postawy: myślowy stereotyp, przypisujący całe zło minione, teraźniejsze i potencjalne Sowietom, ma wiele zalet psychologicznych, tyle że w praktycznych działaniach okazuje się zawodny.

Przejdźmy jednak do mojej „robotycznej hipotezy”. Cóż należało zrobić 13 grudnia, jak odparować brutalny cios władz? Odpowiadam: należało się bić.

Od 1949 roku władza komunistyczna w Polsce nigdy nie była tak słaba. Ferment sięgnął nawet policji, prokuratury i wojska. Tę władzę można było zlikwidować w błyskawicznym tempie. Można było, gdyby... Tu oczywiście dochodzimy do zespołu warunków, które musiałyby być spełnione. Gdyby zabezpieczono dostęp do składów broni, środków transportu, komunikacji i środków informacji. Gdyby wreszcie istniał konspiracyjny ośrodek, który mógłby pokierować akcją. Jak miałby to zrobić, oczywiście trudno sobie wyobrazić. Jak rozwiązać elementarny problem „rzucenia hasła”? W dobie rakiet, komputerów i telewizji bicie w dzwony na trwogę nie może rzecz jasna wystarczyć.

Naturalnie jest to czysta fantazja. Chodzi mi jednak — co podkreślam raz jeszcze — o wskazanie odmiennej perspektywy myślenia o sprawie narodowej. System zniewala przede wszystkim duchowo i intelektualnie. Po Sierpniu ciągle powtarzano zaklęcia o — jak to nazywała patetyczna frazeologia — „historycznym porozumieniu” i hipnotyczny zabieg „dogadywania się jak Polak z Polakiem”. Warto może przypomnieć, że owe poro-

zumienia z 31 sierpnia '80 w sensie prawnym są świstkiem papieru. I tak też potraktowała je władza.

Można dostrzec ciekawą historyczną analogię. Potęgą systemu sowieckiego opiera się głównie na słabości jego ofiar. Z regularnością matematycznego prawa powtarza się pewien schemat: kiedy komuniści słumią zbrojny opór, na zawsze zanika myśl o podjęciu ponownej walki. Tak było w Polsce i dokładnie tak samo w państwie sowieckim, gdzie wprowadzie wybuchło spontaniczne powstanie w 1941 roku (pamięć o tym stopniowo ulatnia się z kart podręczników historii), ale potrzeba było doń zewnętrznego konfliktu.

W obecnych czasach konsekwentny antykomunizm traktowany jest jak aberracja umysłowa. Nie zamierzam tu zatem rzucić żadnych hasel ani nawoływać do walki. Warto jednak pamiętać o tym, że aby zlikwidować system sowiecki, trzeba zapłacić ofiarę krwi. Twierdzę tak jako chrześcijanin.

W mojej hipotezie dostrzec można podstawową lukę. Gdzie się podziali Sowietci? Czy zbrojny opór nie ściągnąłby natychmiast Armii Czerwonej?

Otóż — skoro pozostajemy w porządku potencjalnych wariantów — uzupełniam swoją teorię. Uważam, że nawet w tym wypadku Sowietci nie musieliby interweniować militarnie — nie dlatego, że są tacy dobrzy, a wprost przeciwnie — dlatego, że są tacy zli. Właśnie obecnie dokonuje się proces najważniejszy dla sowieckiego panowania nad światem — neutralizacja Europy Zachodniej (tragiczny paradoks polega na tym, że polityka Reagana wydatnie proces ten przyspiesza: ostatnie kilkanaście miesięcy zupełnie obnażyło polityczną i moralną nędzę zachodu Europy). Stworzenie ze Starego Kontynentu zaplecza technologicznego, finansowego i żywnościowego oraz konsekwentne „połykanie” krajów Trzeciego Świata — to święty cel Moskwy. A *sacrum* ma to do siebie, że nie można go naruszyć. Najazd na Polskę — nawet przy obecnym stanie Zachodu — na długie lata zniweczyłby misterny sowiecki plan pokojowych podbojów. Ośmielam się twierdzić przeto, że możliwy — teoretycznie — był taki wariant: szybkie obalenie władzy komunistycznej w Polsce (im szybsze — tym większy stopień prawdopodobieństwa teorii) i natychmiastowe rozmowy z Moskwą — stosowne gwarancje polityczne, militarne i gospodarcze. I niechby Polska nazywała się dalej „socjalistyczna” (*vulgo* „ludowa”), niechby się nazywała Bóg wie jak jeszcze, grunt, że mogłaby być inna.

Czy to, co tu naszkicowałem — mogło się wydarzyć? Oczywiście nie. Czy może wydarzyć się w przyszłości? Nie wiadomo.

6.

Zachodnia prasa określa 13 grudnia mianem „puczu wojskowego”. Mówi się też o zastąpieniu partii przez wojsko. Tymczasem optyka tego typu jest zupełnie fałszywa. Wojsko zastąpiło czy uzupełniło jedynie struktury administracyjne, wykonawcze. Właściwy ośrodek decyzyjny pozostał nienaruszony. Władza zrealizowała pewien logiczny i konsekwentny zamysł i trzeba przede wszystkim zrozumieć jego założenia.

Celem grupy rządzącej nie było żadne przejmowanie władzy (to już zupełny nonsens), czy zastępowanie partii wojskiem. Celem całej operacji było faktyczne zlikwidowanie „Solidarności” i udało się to przeprowadzić w znacznym stopniu w ciągu kilku zaledwie godzin w nocy z 12 na 13 grudnia. W następnych dniach brutalnie tłumiono izolowane ogniska oporu. Najwyższe organy władzy państwowej spisały się „na medal”: Rada Państwa wydała dekret o stanie wojny, Sejm wszystko potulnie zaklepał. Starano się przeprowadzić całą akcję w majestacie prawa zgodnie z konstytucją, przeocząc wprawdzie taki drobiazg, że Rada Państwa ma prawo wydawać dekrety wyłącznie w okresie między sesjami Sejmu PRL; ponieważ sesjowa sesja trwa nadal — dekret o stanie wojny jest nielegalny.

Zachodnie środki przekazu często powtarzały błąd o „stanie wyjątkowym”, który przecież w PRL *de iure* nie jest możliwy. Wszelako ogłoszenie „stanu wojny” — przez swoją grozę — najlepiej pasowało do psychologicznego planu całej operacji. Bo właśnie psychologiczny schemat akcji Jaruzelskiego jest najważniejszy.

A zatem wojsko, które symbolizować ma ład i dyscyplinę, zamiast chaosu i rozkładu. A że wojsko to jest z d y s c y p l i n o w a n e, PRL-owska telewizja serwuje migawki z przysięgi, składanej przez młodych żołnierzy o drewnianych twarzach. Ślubują „wierność socjalistycznej ojczyźnie” — widz ma zrozumieć, że „w obronie socjalizmu” będą strzelać. Ład i dyscyplinę miała też sugerować poprawa zaopatrzenia sklepów, osiągnięta dzięki rezerwom zawczasu przygotowanym (starczyło tego raptem na kilka dni). Ten sam cel ma zapowiedź procesów przeciwko Gierkowi i towarzyszą („oczyszcimy Polskę z brudów”). Gdyby takie procesy miały być rzeczywistym wymierzeniem sprawiedliwości, w pierwszym rządzie ław oskarżonych powinien siedzieć Jaruzelski.

Oficjalna propaganda zapewnia o przekraczaniu planów, bądź ich wykonywaniu przed terminem, o rekordowej produkcji cukru i energii elektrycznej, o wzroście dyscypliny pracy, o postępują-

cej normalizacji. Fantazja zaiste godna podziwu, ale trzeba pamiętać o tym, że jeśli mieszkaniec Białegostoku dowiaduje się z telewizji o wykonaniu przed terminem planu w elektrowni Połaniec, to — w sytuacji blokady komunikacyjnej — nie może tego sprawdzić. Z tejże samej telewizji dowiaduje się, że strzelano do strajkujących górników na Śląsku, a organizatorzy strajków w innych częściach Polski dostają po kilka lat więzienia. Chodziło oczywiście o złamanie ducha oporu, o pokazanie, że tylko posłuszne podporządkowanie się nakazom władz może poprawić położenie obywatela. Ujmując rzecz bardziej generalnie — chodziło o ponowne uruchomienie tych swoiście sowieckich mechanizmów zniewolenia, z których społeczeństwo wyzwoliło się na skutek Sierpnia (samookupacja, równowaga strachu i nienawiści).

Wszelako podstawową rolę w planie psychicznego terroru odgrywa departament dezinformacji. W każdym państwie bloku sowieckiego komórka ta jest jednym z głównych czynników manipulowania świadomością społeczeństwa. Departament dezinformacji specjalizuje się w rozpowszechnianiu wiadomości fałszywych bądź półprawdziwych, poza kanałami rządowej propagandy. Wykorzystuje się przy tym powszechną nieufność do środków masowego przekazu; ponieważ prasa kłamie, wieść szeptana, pochodząca z rzekomych przecieków „z góry”, nosi wszelkie znamiona prawdopodobieństwa. Biuro plotki ujawnia niekiedy fakty prawdziwe, choć nieznanie opinii publicznej, a nawet rozpowszechnia dowcipy polityczne, zwłaszcza gdy chodzi o przygotowanie upadku któregoś z partyjnych bossów.

Po usunięciu sowieckiego ambasadora Piłotowicza po Warszawie rozeszła się wiadomość, że jest to zasługa Gierka, bowiem ambasador zbyt nachalnie ingerował w sprawy polskie. Chodziło rzecz jasna o ratowanie resztek prestiżu I sekretarza, przy wykorzystaniu emocjonalnych elementów nacjonalizmu i antysowiectwu.

Usunięcie Jaroszewicza ze stołka premiera było przygotowane wiadomością o jego rzekomej śmierci. W kilka tygodni później Jaroszewicz, zaliczony już przez szeptaną pogłoskę w poczet nieboszczyków, poniósł rzeczywistą śmierć — polityczną.

Oczywiście można przytoczyć dziesiątki takich przykładów z przeszłości. Jak jednak działał departament dezinformacji w ostatnich miesiącach? Przede wszystkim sprytnie i niestety skutecznie budował społeczny prestiż Jaruzelskiego. To właśnie on miał być w sierpniu 1980 roku głównym przeciwnikiem użycia wojska przeciw robotnikom. Eskalacji kryzysu towarzyszyły pogłoski, że Jaruzelski „chce dobrze” (przypomnieć trzeba choćby list Bratkowskiego, który był rzecz jasna ofiarą, a nie autorem

tych plotek). Manewr spotkania z Prymasem i Wałęsą poprawił pozycję Jaruzelskiego w oczach części opinii publicznej, zachodnich obserwatorów i Radia Wolna Europa. Inny członek WRON-y — adm. Janczyszyn — w sierpniu '80 miał znajdować się w areszcie domowym jako zbyt radykalny przeciwnik rozwiązania „siłowego”.

Pomijam w tym miejscu sposób budowania wersji o sowieckim szantażu, bo była już o tym mowa. Oczywiście to również robota departamentu dezinformacji, bardzo potrzebna Jaruzelskiemu.

Jak działało biuro plotki w planie terroru psychicznego? Po 13 grudnia rozeszły się wieści o śmierci T. Mazowieckiego, L. Wałęsy (według innego wariantu miał on przejść zawał serca), złamanym kręgosłupie A. Michnika (wariant „B” — odbite nerki), krytycznym stanie J. Kuronia. Cel szeptanej propagandy był oczywisty: jeśli nawet czołowi działacze zostali już zamordowani bądź zmasakrowani, co może czekać szarego obywatela, który odważy się stawiać opór? W dodatku za niestawienie się do pracy w zmilitaryzowanym zakładzie grozi kara śmierci. Tę samą wymowę symboliczną miały wieści o setkach tysięcy aresztowanych (liczba — nawet przy najbardziej ponurych szacunkach — mocno przesadzona).

Prasa zachodnia, żadna jak zawsze sensacji a niewiele rozumiejąca, bezkrytycznie powtarzała te wiadomości. Wiarygodnie przyjmowało je także polskie uchodźstwo (w Paryżu odprawiono mszę za duszę Mazowieckiego), czemu się w końcu nie dziwię, bo większość emigracji to ludzie Zachodu, którzy Polski komunistycznej nigdy nie widzieli na oczy. Uwierzyła i Wolna Europa, która o działalności departamentu dezinformacji nie zająknęła się ani słowem a akurat taka analiza słuchaczowi w Polsce byłaby bardzo potrzebna.

Z zachodnich reakcji na te wstrząsające wieści robiły wtórny użytek warszawskie gadzinówki. Także tow. Marchais nie omieszczał wykorzystać propagandowo wiadomości o śmierci Mazowieckiego.

Na jeszcze jedną rzecz trzeba tu zwrócić szczególną uwagę. Chodzi mi o wersję o relatywnym liberalizmie Jaruzelskiego, zagrożonego rzekomo przez czyhających za jego plecami „jastrzębi”. Już 13 grudnia rozeszła się po Warszawie pogłoska, że Olszowski i Grabski znajdują się w areszcie domowym. Jaruzelski miał w ten sposób bronić się przed najtwardszymi dogmatykami, którzy byli żądni krwi i wsparcia sowieckich czołgów. W prasie zachodniej pojawiły się głosy, że Wolny Świat winien zmienić swój stosunek do Jaruzelskiego, bo jeśli Olszowski, Grabski i Siwak wezmą górę — to będzie jeszcze gorzej (wiemy już zatem,

po co władze „odblokowały” zachodnich korespondentów). Jaruzelski — liberał — chce jednak doprowadzić do dialogu ze społeczeństwem i Kościołem, „jastrzębie” szykują krwawą rzeź. Nie mogę się oprzeć pokusie zacytowania wiersza R. Krynickiego „Podobno”: „Podobno w Biurze Politycznym / rządzą teraz sami liberałowie. / Brakuje im tylko silnej ręki, / żeby swój liberalizm wprowadzić w życie”. Zatem Jaruzelski to „liberał” silnej ręki i aby swój liberalizm wprowadzić w życie, nie zawahał się wtrącić do więzień tysięcy ludzi i strzelać do strajkujących robotników. W czasach gierkowskich prasa zachodnia kreowała na liberałów... Grabskiego i Olszowskiego. Zaiste, kłamstwo komunistyczne to rzecz doskonała.

„Przejęcie władzy partii przez wojsko” wygląda w praktyce w ten sposób, że cała rządząca ekipa trzyma się — mówiąc brzydko — w zwartej kupie. I kogóż tam nie ma! „Liberał” Jaruzelski, „jastrząb” Olszowski, „złotousty” Rakowski, „katoлик” Ozdowski, „prezydent” Jabłoński, „pragmatyk” Barcikowski.

Generalną przyczyną powstawania tych wszystkich nieporozumień jest stosowanie zachodniej optyki do zupełnie niezachodniego systemu sowieckiego. Okcydentalna tradycja polityczna i jej język zacierają tylko realia sytuacji.

Oczywiście było wiele innych akcji dezinformacyjnych. W okresie całkowitego odcięcia Polski od świata zachodni dziennikarze oblegali lotniska i dworce. „Jedna pani” wysiadłszy w Wiedniu z ekspresu „Chopin”, podała informację o ekstremistach „Solidarności”, którzy chcą wysadzić w powietrze Hutę Katowice. Natychmiast poszły w ruch agencyjne telexy. W tym samym czasie tę samą „wiadomość” podała sowiecka TASS.

Pod koniec grudnia władze ponownie uruchomiły rozgłośnię „Radio Polonia”, która nadaje programy w 11 językach. Jej celem jest dezinformowanie zachodniej opinii publicznej i polskiej emigracji.

Psychologiczny wymiar ma też manewr z gigantyczną podwyżką cen. Jej ogłoszenie miało na celu skupienie uwagi społeczeństwa na problemach bytowych, i tak już ekstremalnych, a nie na walce o wolności związkowe. Szwedzka telewizja pokazała reportaż z Warszawy, nakręcony w dzień po zapowiedzi podwyżek. Ludzie mówili tylko o cenach. Były i takie głosy: „te ceny są wysokie, ale będziemy musieli jakoś żyć; chyba nie było innego wyjścia”.

Korespondent telewizji francuskiej F. Gault swój pierwszy reportaż z Polski stanu wojny poświęcił przedstawieniu podsłuchu telefonicznego w Warszawie. Wykręcał różne numery i zawsze włączał się automat „rozmowa kontrolowana”. Władze ogło-

siły, że wszystkie rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane. Chodzi po prostu o to, aby ludzie bali się swobodnie rozmawiać; sam zabieg jest technicznie niewykonalny.

Jedna z podziemnych gazetek „Solidarności” przyniosła hasło: nie daj się okłamać! Rzeczywiście, zdanie to trzeba powtarzać jak pacierz. Także na Zachodzie.

13 grudnia władze zlikwidowały „Solidarność” i zastosowały fizyczny i psychiczny terror wobec społeczeństwa. Pomimo zapewnień Górnickiego i Urbana, nie będzie już „Solidarności”, a przynajmniej takiej „Solidarności”, jaką znaliśmy z ostatnich kilkunastu miesięcy. Nie będzie prawa strajku i nie będzie nawet kulawej wolności słowa, nie będzie masowych manifestacji i pochodów. Postulat przywrócenia działania związku zgodnie z jego statutem — taktycznie słuszny — jest nierealny. Może i będzie Niezależny Samorządny Związek Zawodowy, może nawet będzie się nazywał „Solidarność” — tak jak chciały to uczynić władze. Ten manewr się nie udał i Polska znalazła się w sytuacji — jak na razie — tragicznej.

Podstawa całej operacji to nie „przejęcie władzy”, lecz psychologiczny terror; społeczeństwo, które od Sierpnia przechodziło duchową ewolucję, 13 grudnia przeżyło psychiczny szok. Zapomniał strach, lecz w parze z nim zawsze chodzi nienawiść.

## 7.

Dogmatyka myślenia narodowego wyznacza pewne dziedziny, których krytykować nie można. Wszakże dla budowania realistycznych programów wolnościowych, dla swobody dyskusji politycznych i dla pełnego rozwoju kultury narodowej, niezależność intelektualna i odrzucenie wszelkich tabu są warunkiem koniecznym.

Wspomniałem już, że od sierpnia '80 pojawiło się niewiele artykułów krytycznych (chodzi rzecz jasna o publicystykę niezależną). Dominował entuzjazm i patetyczna frazeologia. Obecnie jesteśmy w znacznie gorszej sytuacji, także dlatego, że możliwość swobodnych wypowiedzi została radykalnie ograniczona.

W grudniu powstał z inicjatywy grupy polskich związkowców w Zurychu Zespół Działania Solidarności. Stworzono także kilka jego agend, z których najbardziej aktywnie działa grupa paryska — Komitet Koordynacyjny Solidarności. Formalnie rzecz biorąc ani zespół, ani komitet nie reprezentują nikogo, prócz osób sygnujących wydawane dokumenty. Przyjmijmy to jednak za zło konieczne (nie mogę wprawdzie zrozumieć, po co w skład zespołu włączono kilku wieloletnich emigrantów). Najważniejszy wszak-



że problem to kierunki i formy działania tej grupy. Komitet opublikował wiele apeli, zebrał dużo pieniędzy i paczek żywnościowych i urządził sporo wieczorów dyskusyjnych. Wszystko to działania szlachetne i potrzebne. Jednakże do tej pory nie podjęto żadnych kroków, które w hierarchii ważności winny znaleźć się na pierwszym miejscu. Należało natychmiast i przede wszystkim rozpocząć konkretne akcje polityczne — w tej dziedzinie komitet mógł osiągnąć nieporównanie więcej, niż cała emigracja ze wszystkimi kongresami Polonii i Rządem R.P. włącznie. Działacze „Solidarności” mogli i powinni skierować się do oficjalnych czynników politycznych Wolnego Świata i dążyć do podjęcia przez rządy zachodnie konkretnych kroków ekonomicznych i dyplomatycznych przeciw juncie Jaruzelskiego i jego sowieckim protektorom. Sukces takich działań był tym bardziej prawdopodobny, że „Solidarność” ma stuprocentowe poparcie zachodnich związków zawodowych (z wyjątkiem komunistycznych, i to nie wszystkich), które stanowią ogromną siłę polityczną. Tymczasem nic z tych rzeczy: urządzano meetingi, wydawano apele, zbierano paczki i to wszystko w sytuacji, gdy docierały wiadomości o masakrze w kopalni „Wujek” i dalszych, równie tragicznych incydentach. A była wielka szansa, aby doprowadzić do czynnego poparcia sankcji amerykańskich przez zachód Europy. Ruszyli natomiast do boju na zachodnich szlakach Rakowski, Górnicki, Wojna.

35 lat systemu sowieckiego w Polsce oduczyciło ludzi nie tylko działań politycznych ale i politycznego myślenia. Trudno się temu dziwić, propagandowa manipulacja ma doprowadzić do powszechnego przekonania, że polityka to sfera tabu, zarezerwowana dla władz, skrytych w obłokach partyjnego Olimpu. Każde działanie sklasyfikowane przez władze jako „polityczne”, może pociągnąć za sobą represje (u jednego z moich przyjaciół UB przeprowadziło rewizję „w poszukiwaniu papierów politycznych”). Okazuje się, że ten psychiczny balast jest odporny na zmiany czasu i przestrzeni.

W wypadku działaczy „Solidarności” na Zachodzie zadziałał — jak sądzę — jeszcze jeden czynnik. Związek ciągle powtarzał, że nie zamierza wtrącać się do polityki zagranicznej. Ta dziedzina miała być zarezerwowana dla władz i taki też obraz Polski szkicowały różne modele idealne (bo nierealne): policja, wojsko i polityka zagraniczna dla partii, która w innych dziedzinach miała spełniać rolę dekoracyjną.

Ale czy Polakom w obliczu brutalnego terroru pozostała tylko kwesta, palenie świeczek i śpiewanie utworu „Żeby Polska była Polską”?

Achillesową piętą niezależnych ruchów społecznych w Polsce

jest dziecinna niemal ignorancja w dziedzinie światowej sytuacji politycznej i wewnętrznych problemów w państwach zachodnich. Wystarczy przypomnieć peany na cześć Krasuckiego, opublikowane w *Tygodniku Solidarność* po wizycie delegacji związku we Francji (obecnie w paryskim metrze często można spostrzec hasło: *rendez-vous Walesa, voilà Krasucki!*). Kompromitującą niewiedzą popisywali się niektórzy przedstawiciele NZS-u na ubiegłorocznej studenckiej konferencji w Paryżu. W niezależnej prasie wydawanej w Kraju od kilku lat artykuły o polityce międzynarodowej czy wewnętrznej sytuacji w państwach Zachodu pojawiały się nader rzadko. Łatwo wytłumaczyć taki stan rzeczy, w niczym nie zmienia to jednak samego faktu.

Wspominam o tym także w kontekście swojej „hipotezy ro-boczej”. Zamiast kolportowania karykatur Breżniewa i zmieniania nazw fabryk z „im. Lenina” na „im. Piłsudskiego” (a może raczej oprócz tego), należało dokonać właściwej analizy globalnych celów politycznych Moskwy i sowieckiej „ideologii ukrytej”. Wniosek byłby oczywisty: Sowietci zrobią wszystko, oprócz bezpośredniej interwencji militarnej. I rzeczywiście tak się stało.

Chcę się tu odważyć na jeszcze jeden głos krytyczny — tym razem pod adresem Kościoła. Nie jest to rzecz łatwa, bo wszak przypominam sobie, jakie reakcje wywołała opublikowana w *Kulturze* krytyka sierpniowego wystąpienia śp. kardynała Wyszyńskiego. A jednak śp. Prymas popełnił wówczas błąd. Z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia po pamiętnym ataku ks. Orszulika na KOR i KPN. Chociaż to wystąpienie spotkało się z dość powszechną dezaprobatą, przykłady jej publicznego wyrażenia można policzyć na palcach jednej ręki.

Przyjęto zatem, że Kościoła krytykować nie można, czy też nie wypada. Nietrudno zrozumieć psychologiczne przyczyny tego stanu rzeczy. Społeczeństwo, gnębione od dziesiątków lat absurdem komunizmu, zawsze w Kościele upatrywało swą jedyną nadzieję. Śp. prof. Kępiński, twórca zwartej i jasnej koncepcji antropologiczno-psychologicznej, szkicował w swych książkach przestrzeń ludzkich przeżyć. Człowiek nie może żyć bez nadziei, bo wówczas ulega unicestwieniu jego duchowa projekcja w przyszłość, a koloryt jego przeżyć staje się czarny. I jest psychologiczną prawidłowością, że sam sobie tej nadziei odbierać nie będzie, bo to oznaczałoby psychiczną katastrofę.

Oczywiście polski Kościół broni praw narodowych i obywatelskich i stanowi najważniejszą przeciwwagę dla totalitarnych zapędów władz. Ale i Kościół popełnia błędy, lecz najważniejsze dla narodowej świadomości jest to, aby tych potknięć nie spowijać w szczelną znowę milczenia.

W ogłoszonym 19 stycznia komunikacie z posiedzenia Komisji

Wspólnej Rządu i Episkopatu wyrażono pogląd, że sankcje gospodarcze wobec Polski utrudnią wyjście z kryzysu\*. Otóż nie jestem pewien, czy właśnie tak będzie, zależy to bowiem od rozstrzygnięcia kwestii, co w obecnej sytuacji Kraju uznamy za zło największe. Osobiście uważam, że trzeba użyć wszelkich środków, aby doprowadzić do zwolnienia uwięzionych, odwołania stanu wojny i zakończenia terroru. Jedną z najskuteczniejszych metod dla osiągnięcia tego celu są restrykcje gospodarcze wobec Warszawy i Moskwy. Dlatego też to ustępstwo Kościoła wobec junty jest krokiem politycznie dyskusyjnym a moralnie dwuznacznym, tym bardziej, że środowiska intelektualne w Polsce przyjęły z aprobatą sankcje amerykańskie i oczekiwały podobnych kroków ze strony Europy Zachodniej.

Pomimo tego, że prymas Glemp długo odmawiał spotkania z Jaruzelskim, kontakty na niższym szczeblu nie zostały nigdy całkowicie zerwane. Wiadomo, że w wielu wypadkach interwencje Kościoła doprowadziły do zwolnienia poszczególnych osób. Nie wiem rzecz jasna, jakie nadzieje robią biskupom przedstawiciele junty, jedno jest wszakże pewne: to Jaruzelski rozpaczliwie wprost potrzebuje Kościoła, a nie na odwrót. I trzeba o tym pamiętać.

## 8.

Naszkirowałem już schemat ataku na społeczeństwo, podjętego przez władze 13 grudnia. Do czego doprowadziło 7 tygodni stanu wojennego w Polsce? Przede wszystkim nie powiódł się plan Jaruzelskiego pozyskania Kościoła i wybranych przywódców „Solidarności”. W programie „konstruktywnym” operacji był to bodajże element najważniejszy. Jaruzelski znalazł się w impasie i z dramatycznej sytuacji nie widać żadnego wyjścia, bo nie jest nim wszak rządzenie *à la longue* za pomocą terroru. W Polsce do tej pory wszystkie ekstremalne kryzysy polityczne i masakrowanie robotników doprowadzały do upadku rządzącej ekipy: 1956, 1970, także 1976 (po Czerwcu '76 upadek Gierka był tylko kwestią czasu, co trafnie przepowiedział M. Tarniewski w książce „Krótkie śpięcie”). Nowym włodarzom udawało się za pomocą różnych obietnic i krytyki „minionego okresu” pozyskać na krótko społeczne zaufanie. W wypadku Jaruzelskiego jest dokładnie odwrotnie: skupił on w swym ręku maximum władzy, by w efekcie kazać strzelać do robotników i wtrącić do więzień tysiące ludzi. W tej sytuacji, choćby obiecywał świetlaną przyszłość i złote góry, w oczach społeczeństwa jest on ostatecznie skoń-

\* 8 czerwieca Komisja Wspólna powtórzyła ten sam pogląd (przyp. Red.).

czony. Stąd przeróżne zabiegi junty w stosunku do Kościoła (najbardziej plugawie gazety określają Kościół jako „siłę umiaru i realizmu”). Dlatego też, jak powiadam, nie widać żadnego wyjścia z sytuacji i zapewne nie widzą go też władze.

Trudno powiedzieć w tej chwili, w jakim stopniu powiódł się psychologiczny zamysł władz. Tuż po 13 grudnia zapanował strach, jednak broniły się poszczególne zakłady. Do tej pory deklaracje lojalności podpisało kilku przewodniczących zarządów regionalnych „Solidarności”. Trzeba jednak pamiętać, że deklaracje owe nie mają żadnej wartości prawnej i służą tylko łamaniu sumień. Napływają wiadomości o dalszych protestach, także czynnych. Niedostatek informacji utrudnia jednak dokładniejszą diagnozę.

Jakie są jednak pozytywy obecnego położenia? Zbigniew Bujał stwierdził w wywiadzie, że podziemna „Solidarność” liczy ok. 20 tys. członków. W porównaniu z 10 milionami to prawie nic, ale w liczbach bezwzględnych to dużo. To bardzo dużo. Aktywność KOR-u w 1976 roku zaczynała kilkadziesiąt osób. Przypominam ten fakt dlatego, że była to pierwotna przyczyna dalszego rozwoju niezależnych inicjatyw społecznych, które na pewnym etapie swej działalności rzuciły hasło tworzenia wolnych związków zawodowych, hasło zrealizowane w Sierpniu. Czy jednak taki kierunek i ten cel jest jedynym drogowskazem do wolności?

Uważam, że mamy za sobą wielkie doświadczenie — jawne działanie masowych i niezależnych od władzy związków zawodowych. Ale w tej chwili jest to niestety etap miniony. Postulaty wznowienia działania związku — taktycznie potrzebne — są jednak egzekwiami nad nieboszczykiem. I trzeba wyciągnąć wnioski ostateczne — ta próba desowietyzacji Polski zawiodła. Należy budować nowe programy i formułować nowe hasła, należy inaczej działać. Jest w tej chwili w Polsce kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy systemowi w jego obecnej postaci powiedzieli kategorycznie — nie! Ta liczba stwarza nadzieję. I jeszcze jedno: z każdego okresu „odwilży” coś pozostaje. Zmiany strukturalne ustroju nie są przy tym najważniejsze, najważniejsza jest społeczna świadomość, że można żyć inaczej. W Polsce wydano w ostatnich kilku latach setki tysięcy książek i czasopism wolnych od cenzury. One też zostaną, a przypominam to dlatego, że obrona wolności duchowej jest w tym systemie rzeczą najważniejszą.

Próbowałem już naszkicować mechanizm psychicznej przemiany społeczeństwa, zainspirowanej Sierpniem, jej walory i mankamenty. Analiza reguł systemu jest koniecznym warunkiem zrozumienia sytuacji w całej jej złożoności. Władza podlega również tym prawdom i w taki właśnie sposób się zachowała. Dlatego też mój główny postulat brzmi: MYŚLEĆ INACZEJ!

Myśleć inaczej o systemie i jego mechanizmach zniewolenia, właściwie wskazać przeciwnika a nade wszystko wyjść poza *wishful thinking* i psychologiczne szablony. W Polsce może dokonać się rewolucja, ale najpierw musi to być rewolucja świadomości. Ekshumacja zbiorowej mitologii, dogmaty nacjonalizmu i jałowej antyrosyjskości mogą doprowadzić do dalszych zrywów, ale i do dalszych tragedii, jeśli nie będzie ich poprzedzać właściwa diagnoza systemu.

Sowietyzm jest zjawiskiem o wiele groźniejszym niż wyobrażają to sobie najzagorzalsi antykomuniści na Zachodzie. Są oni jednak w o tyle lepszej sytuacji, że nie muszą żyć w tym systemie. Twierdzenie, że Polacy nigdy nie zgodzili się i nie zgodzą na komunizm, jest oczywiście prawdziwe, tyle że systemu nie trzeba wcale akceptować, wystarczy go nie rozumieć.

Starałem się poddać rewizji pewne elementy myślenia o sprawie narodowej, sądzę bowiem, że na świadomość Polaków działają one narkotycznie. Pomimo wszystko jednak uważam, że choć w tej chwili przeżywamy okres tragiczny, to właśnie w Polsce istnieje najwięcej danych ku temu, aby wypracować model skutecznej walki z systemem komunistycznym. Pod władzą sowiecką cierpią dziś dziesiątki narodów między Łabą a Wyspami Kurylskimi. Jednakże system kiedyś runie i stanie się to nie za sprawą Historii, lecz dzięki ludzkim działaniom.

Tomasz MIANOWICZ

25-31 stycznia 1982

## SPRZECIW

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY MŁODYCH  
zawiera artykuły, wiadomości, komentarze.

Str. 32. Cena pojed. egz. KS 10 (\$ US 2).  
Wydaje NOM (Niezależna Oficyna Młodych).

Adres Redakcji:  
**Box 47 104, 40 258 Göteborg, Szwecja.**

Cena prenumeraty: rocznie KS 105; półrocznie KS 55.

W Europie: rocznie \$ US 18; półrocznie \$ US 10.

W USA i Kanadzie: rocznie \$ US 20; półrocznie \$ US 12.

W Australii: rocznie \$ A. 22; półrocznie \$ A. 12.

## Obszary mroku

Autor siedemnastu świetnych książek i jak się zdaje najpoważniejszy kandydat do najbliższej Nagrody Nobla w literaturze angielskiej, V. S. Naipaul, jest mało znany wśród czytelników polskich, ponieważ z racji swej nie-lewicowej postawy i krytycyzmu, z jakim odnosi się do krajów Trzeciego Świata — tematu, który stał się jego specjalnością — nie jest on i przypuszczalnie długo jeszcze nie będzie tłumaczony w Polsce. Z tej racji warto rozpocząć poświęcony mu niniejszy szkic kilkoma danymi biograficznymi. Jak świadczą jego imiona: Vidiadhar Surajprasad — tak egzotyczne, że prawie zawsze zredukowane do monogramów — pisarz ten jest z pochodzenia Hindusem. Urodził się w 1932 roku w rodzinie hinduskich imigrantów na wyspie Trynidad, dawnej kolonii brytyjskiej w Indiach Zachodnich. W 1950 roku przybył do Anglii na studia, po ukończeniu których pozostał w tym kraju na stałe, zajmując się zawodowo pisarstwem. Jego pierwsze powieści, usytuowane na rodzinnej wyspie i utrzymane w konwencji obyczajowo-humorystycznej z zachowaniem w dialogach tamtejszej skreolizowanej formy języka angielskiego (*He don't see she*) zdobyły mu od razu uznanie krytyki i liczne angielskie nagrody literackie, ale określenie „jeden z *nielicznych oryginalnych głosów swej epoki*” (por. obszerny esej o nim w *Newsweek*'u z 18. 8. 1980) i sławę światową przyniosła mu dopiero druga faza twórczości, rozpoczęta około roku 1960. Pisarz zaczął wówczas podróżować, a plonem tego stały się reportaże i powieści, traktujące o krajach — mówiąc nieeufemistycznie — niedorozwiniętych. Sam Naipaul określa swój temat terminem: *half-made societies* — społeczeństwa niedokończone. Ponieważ problematyka azjatycko-afrykańsko-południowoamerykańska stanowi niezbywalną część Wielkiego Gadania obecnych cza-

sów, uzasadnione jest pytanie: na czym polega oryginalność Naipaula? Osobiście określiłbym ją jako odwagę reprezentowania punktu widzenia, który jest oczywisty i równocześnie nader niepopularny. Naipaula można zakwalifikować jako pisarza z tezą, a tezę tę można przedstawić w następujących punktach: 1. społeczeństwa współczesne dzielą się na ucywilizowane i niedocywilizowane, lub wręcz barbarzyńskie; 2. cywilizacja jest lepsza od barbarzyństwa; 3. społeczeństwo cywilizowane to trwała struktura instytucji, wartości i postaw, sprzyjających twórczości materialnej i myślowej; ludzie cywilizowani to *doers*, potrafiący coś zrobić; tylko w takim społeczeństwie jednostka ma szansę wznieść się ponad niemrawość i przeciętność; 4. — teza najważniejsza i wzbudzająca największe oburzenie: zastój, niewydolność, głupota i okrucieństwo społeczeństw niedocywilizowanych są w dużym stopniu ich własną winą.

Naipaul jest wyznawcą hierarchii. Istnieją dla niego światło i mrok, wyższe i niższe, metropolia i prowincja. Jego przyjazd do Anglii był ucieczką nie przed nędzą, a przed drugorzędnością — chyba jak w swoim czasie „ucieczka” Conrada. Można nazwać ten typ ucieczki ucieczką nie dla ratowania skóry, lecz duszy. Jest to więc nie dezercja, a dążenie. W wypadku obu tych pisarzy dążenie to zostało uwieńczone sukcesem, a ściślej: zyskiem dla ich współczesnych i potomnych. Przywołanie na tym miejscu Conrada nie jest z mojej strony biciem w wielki dzwon: analogia ta narzuca się sama i zauważyli ją zarówno krytycy jak i sam Naipaul. W napisanym w 1974 roku esejem pt. *Conradowska ciemność, Conrad's Darkness*, w zbiorze *The Return of Eva Perón*, 1980) tak komentuje to powinowactwo:

Bycie mieszkańcem kolonii dawało swoiste poczucie bezpieczeństwa; oznaczało przebywanie w ustalonym świecie. I jak mi się zdaje, w wyobraźni patrzyłem na mój przyjazd do Anglii jako do krainy czysto literackiej, w której potrafię stworzyć sobie romantyczną karierę pisarską niezależnie od okoliczności historycznych i pochodzenia. Ale w nowym świecie poczułem, że ten grunt usuwa mi się spod nóg. Nowy typ polityki, zdumiewająca wiara w instytucje ludzi zajętych równocześnie ich podminowywaniem, uproszczenie przekonań i odrażająca symplifikacja działań, skażenie ideałów, niedorozwinięte społeczeństwa skazane, jak się zdawało, na wieczny niedorozwój: oto, czym zacząłem się przejmować. Nie były to sprawy, wobec których mogłem pozostawać obojętnym. I stwierdziłem, że Conrad — sześćdziesiąt lat wcześniej, w czasach niezwyklego pokoju — był już wszędzie przede mną. Nie jako orędownik takiej czy innej sprawy, lecz jako człowiek ukazujący, jak w *Nostramo*, obraz niedorozwiniętych społeczeństw globu jako obszarów ustawicznie powstających i rozpadających się, w których nie ma żadnego celu i gdzie zawsze „coś nieodłącznego od wymogów skutecznego działania... pociąga za sobą degradację moralną samego zamierzenia” [...] Wartość Conrada dla mnie leży w tym, że był kimś kto sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu medytował nad moim światem, nad światem, który rozpoznaję dziś.

Słowa „medytować”, jak podkreśla Naipaul, użył sam Conrad w jednej ze swych słynnych przedmów, starając się sprecyzować swą metodę pisarską. I można powiedzieć, iż obu pisarzy łączy ten termin. „Teza” Naipaula, o której wspomniałem wyżej, jest rezultatem medytacji, wyłaniającym się spoza dziesiątków i setek pieczętówicie opisanych sytuacji, drobnych pozornie zdarzeń, rozmów i nastrojów, a nie założoną z góry „prawdą”, którą tekst ma jedynie zilustrować. Naipaul jest *pisarzem*, nie propagandystą.

Nim wrócę do dalszych uwag Naipaula o Conradzie, wspomnę o dwóch jeszcze polskich pisarzach, których sylwetki mogą stanowić rodzaj pierwszego przybliżenia tego autora metodą *ignotum per notum*. Drażniący wielu nonkonformizm intelektualny, a ściślej: bezceremonialne wskazywanie na rzeczy zdawałoby się oczywiste, ale z różnych względów obłożone tabu to przecież w naszej literaturze Gombrowicz! „Gombrowicz wysp południowych” — to może nawet trafniejsze określenie Naipaula, niż takież „Słowacki” w odniesieniu do autora *Nostramo*... Drugą polską asocjacją jest Mrożek. Patrząc na Mrożka i Naipaula „całościowo”, można ich drogę scharakteryzować jako stopniowe przechodzenie od humorystyki objawiającej — bo chyba jednak nie „satyry” — do literatury grozy. Mam tu na myśli ewolucję, jaką twórczość Mrożka przeszła od rozpoznawalnie polskich, lokalnych grotesek „Słonia” aż po uniwersalną, „nadnarodową” groźbę zakończeń „Garbusa” czy „Ambasadora” i atmosferę opowiadania „W sednie”. Podobnie lokalny i — *pozornie*, jak to można stwierdzić teraz — zamknięty, pozbawiony dalszych implikacji charakter ma powściągliwa drwina Naipaula w jego wczesnych powieściach, usytuowanych w środowisku hinduskich imigrantów na Trynidadzie: opis kariery małomiasteczkowego znachora („Uzdrowiacz mistyczny”; *The Mystic Masseur*, 1957), prowincjonalnych wyborów („Wybory w Elwirze”; *The Suffrage of Elvira*, 1958) czy całonocnych zmagani trynidadzkiego pana Dulskiego z okulawiającą tyranią tradycyjnej rodziny hinduskiej („Dom dla pana Biswasa”; *A House for Mr Biswas*, 1961). Że były to wprawki do szerszego tematu, że prowincjonalne Cloche-merle może być miniaturą społeczeństw zamkniętych, choćby nawet liczyły tylu mieszkańców co Indie, a nadmiernie „zżyta” rodzina — prototypem ustroju totalitarnego, okazało się w drugiej fazie twórczości Naipaula, w której opublikował on szereg *travel-books* dotyczących rozlicznych krajów Trzeciego Świata. Najważniejsze z nich to: poświęcone Indiom „Obszar ciemności” (*An Area of Darkness*, 1964), „Indie, zraniona cywilizacja” (*India, A Wounded Civilization*, 1977) i — częściowo — „przepełniony barak” (*The Overcrowded Barracoon*, 1972); Ameryce Południowej i Afryce „Powrót Ewy Peron” (*The Return of Eva Perón*,

1980); krajom mużułmańskim „Wśród wierzących” (*Among the Believers*, 1981). W sposób jeszcze bardziej „mrozkowy” nastrój zagrożenia, demonicznej wszechobecności Niższego, występuje w powieściach wysublimowanych z wrażeń zebranych w czasie podróży po tych „mrocznych obszarach”: „W wolnym kraju” (*In a Free State*, 1971), „Guerrilleros” (*Guerrillas*, 1975) i „Zakole rzeki” (*A Bend in the River*, 1979).

Większość analogii ma wartość jedynie heurystyczną i, jak wspominałem, porównanie z Mrożkiem jest tylko pierwszym przybliżeniem: wskazuje na wspólną obu pisarzom fascynację środowiskami skarłatymi i skarłającymi i wagę, jaką obaj przywiązują do rozróżnienia Wyższości od Niższości — cywilizacyjnej, moralnej czy też intelektualnej. Ich drogi rozchodzą się w dziedzinie formy: o ile zgroza wobec barbarzyństwa, degradacji i redukcji znajduje u Mrożka wyraz syntetyczny, a jego utwory można określić jako topologie współczesnego zła, o tyle metoda Naipaula jest analityczna czy zgoła „geometryczna” w tym sensie, że medytuje on nad indywidualnymi, konkretnymi elementami obrazu, jaki prezentuje czytelnikowi, a jego ocena, „teza”, jest czymś co w pewnym sensie „samo” krystalizuje się pomiędzy tekstem a odbiorcą. Konkretnie, szczegół jest tu symbolem całości, a równocześnie pozostaje konkretem. Utwory Naipaula zdumiewają policyjną wręcz drobiazgowością. Ten symboliczny realizm — tak proponowałbym nazwać ten styl — sprawia, że *travel-books* autora „Wśród wierzących” są czymś więcej, niż tylko socjologicznymi reportażami, a w jego powieściach, jak to zauważył jeden z krytyków, „fantazji nie da się odróżnić od prawdy”. W tym też sensie użyłem powyżej nieco pretensjonalnego słowa „sublimacja” dla określenia stosunku, jaki w twórczości Naipaula określa pozycję fikcji literackiej wobec materiału; słowo „oparta na...” chyba bowiem istotę tego procederu. Gdy tematem jest jakiś kraj, Naipaul pisze o nim najpierw reportaż, starając się uchwycić całą atmosferę danego społeczeństwa, regionu czy formacji politycznej; umieszczona następnie w tej samej przestrzeni powieść stanowi wariację — wariację zgęszczoną, uwypuklającą — tego samego tematu. Tak jak — w pozytywnym sensie — trudno rozróżnić u Naipaula fikcję i prawdę, tak też trudno oddzielić w jego tekstach „medytację” od stylu. Styl zaś jest dlań czymś więcej, niż tylko „ładnym pisaniem”; w cytowanym już eseju o Conradzie powiada wręcz: „styl w powieści, a może nawet w ogóle w prozie, jest czymś więcej niż 'układem słów': jest układem, a nawet orkiestracją odczuć, kwestią wiedzy gdzie co należy umieścić”.

Przytaczam poniżej trzy wyjątki z reportażowej prozy Naipaula, dotyczącej kolejno: Indii, Konga i Argentyny, by dać czy-

telnikom przykład szokowej — i szokującej, na tle przyjętej powszechnie konwencji mdłego „rozumienia odmiennych cywilizacji” — diagnozy, jaką pisarz aplikuje swym eks-pobratymcom etnicznym czy też cywilizacyjnym. Przypomina ona słynną diagnozę psychiatry ze znanej anegdoty, który oznajmił pacjentowi skarżącemu się na kompleks niższości: „Pan nie ma żadnego kompleksu — pan jest mało wart”.

Rok temu mniej więcej pewien hinduski święty oświadczył, że udało mu się urzeczywistnić żywioną od dawna ambicję i nauczył się w końcu chodzenia po wodzie. Świętym zainteresował się postępowy dziennik, wydawany w dużym nakładzie w Bombaju. Zorganizowano pokaz publiczny. Bilety nie były tanie; rozeszły się wśród najwyżej w kraju postawionych osobistości. Obecne były ekipy filmowe. Basen z wodą został skontrolowany przez wybitnych czy też sceptycznie nastawionych członków publiczności. Nie znaleziono żadnych ukrytych urządzeń. O wyznaczonej godzinie święty stąpnął na wodę i pogrążył się w niej.

Zapanowało coś więcej niż zażenowanie. Zapanowało poczucie straty. Magia jest potrzebą Hindusów. Uprasza świat i czyni go bezpiecznym. Jest uzupełnieniem płytkiego odbioru świata, hinduskiego braku intelektualnego, który stanowi nie tyle mankament jednostkowych umysłów, co niedostatek zamkniętej cywilizacji, rządzonej przez rytuał i mit. (...) Hindusi są dumni ze swojej starożytnej, nadal trwającej cywilizacji. W istocie rzeczy są jej ofiarami.

(*A Second Visit*, 1967, w: „Przepełniony barak”)

Jak Leopold II belgijski za czasów Niezależnego Państwa Kongo — z despotycznego prawodawstwa którego [...] wiele przeszło przez belgijską administrację kolonialną do obecnego reżymu i prezentowane jest obecnie jako odziedziczony po przodkach swoisty afrykański socjalizm — jak Leopold II, Mobutu jest właścicielem Zairu. [...] Królewska władza Mobutu stała się celem samym dla siebie. Odziedziczone [po Belgach] nowoczesne państwo znajduje się w stanie demontażu, ale to, by państwo funkcjonowało, nie ma znaczenia. Busz funkcjonuje; busz zawsze był samowystarczalny. Administracja, obecnie przemieniona w dwór królewski, jest czymś narzuconym z zewnątrz, czymś nie związanym z prawdziwym życiem kraju. Idee odpowiedzialności, państwa, kreatywności są ideami importowanymi przez cudzoziemców; nie odpowiadają, mimo całej mimikry języka, aspiracjom afrykańskim.

Pokój zaprowadzony przez Mobutu i jego królewska władza są wielkim osiągnięciem. Ale ta królewskość jest jałowa. Kult króla już niweczy postęp umysłowy narodu, który zaledwie zaczął powstawać. Intelektualne złudzenia na temat autentyczności, które obecnie dają [mieszkańcom Zairu] takie poczucie siły, odgradzają na nowo od świata i są zapowiedzią jeszcze rozpaczliwszej sytuacji w przyszłości. W sposób nieunikniony władza Mobutu kiedyś upadnie; ale nie ma już odwrotu od zasad mobutyizmu. Mobutu ustanowił wzór dla swych następców; i przekonają się oni, że za ich czasów nie ulegnie zmniejszeniu ani afrykańska zależność, ani też żądza nihilistycznej asercji.

Dotrzeć do tego wrażenia uwiecznionego w potrzasku, statycznego i wiecznie bezbronnego kraju do dotrzeć do swego rodzaju początku afrykańskiego poczucia pustki. Początku pogrążania się na sposób afrykański, w sensie przeszłości — w bezmyślność rzeki i puszcy, chaty otoczonej brunatnym

klepiskiem, czółna wydrążonego w pniu — w czas, kiedy zmarli przodkowie czuwali i ochraniaли, a wrogami byli tylko ludzie.

(*A New King for the Congo: Mobutu and the Nihilism of Africa*, 1975, w: „Powrót Ewy Peron”).



Być Argentyńczykiem [dawniej] to nie oznaczało być kimś z Ameryki Południowej. Oznaczało to być Europejczykiem; i wielu Argentyńczyków stało się Europejczykami. Kraj stanowiący źródło ich bogactwa zszedł do roli li-tylko bazy. Dla Argentyńczyków-Europejczyków Buenos Aires i Mar del Plata stały się letniskami, zamieszkiwanymi tylko w sezonie. W okresie międzywojennym w Paryżu istniała stała stutysięczna kolonia argentyńska; *peso* było *peso* w owych czasach. [...] Ale bycie Europejczykiem w Argentynie oznaczało bycie mieszkańcem kolonii w najbardziej destruktywnym znaczeniu. Oznaczało postawę pasożytniczą. Oznaczało przyznawanie się — podobnie jak to było z białymi w koloniach na Morzu Karaibskim — do osiągnięć i autorytetu Europy jak do czegoś własnego. Oznaczało obniżenie wymagań wobec siebie samych (na Trynidadzie, gdy byłem dzieckiem, panował pogląd, że biali i bogaci nie potrzebują wykształcenia). Oznaczało to płynącą z fałszywego poczucia bezpieczeństwa zgodę na drugorzędność własnego społeczeństwa.

A do tego było jeszcze bogactwo Argentyny: brytyjskie koleje zwoziły pszenicę i mięso ze wszystkich zakątków pampy do portu w Buenos Aires, by załadować je na statki płynące do Anglii. Nie było żadnego pionierskiego czy narodowego mitu ciężkiej pracy i nagrody za nią. Ziemia była pusta, bardzo płaska i bardzo bogata; była niewyczerpana. [...] Być Argentyńczykiem oznaczało zamieszkiwać magiczny, oglupiający świat. Bogactwo i europejskość maskowały kolonialną rzeczywistość agrarnej społeczności, która wymagała mało talentu i wytworzyła go mało, która nie wymagała wielkich ludzi i żadnych też nie wytworzyła. 'Tutaj nigdy nie się nie zdarzyło', powiedział pewnego dnia [tłumacz Borgesa] Norman di Giovanni z irytacją. I każdy, od Borgesa w dół powtarza: 'Buenos Aires to małe miasteczko'. Osiem milionów ludzi: monstrialne plebejskie rozlewisko, tandetne, nieoryginalne i bez znaczenia: ale tylko mieścina, przeżarta kolonialną podejrzliwością i złośliwością. Kiedy panuje poczucie, że prawdziwy świat jest na zewnątrz, na miejscu każdy jest niedołągą i hochsztaplerem. [...] *Camelero, chanta*: to codzienne słowa argentyńskie, *Camelero* to taki, co się sady i nie należy brać serio tego co mówi. Człowiek, który zapraszał mnie na pobyt w *estancji* i obiecywał zawieźć tam swym prywatnym samolotem robił tylko *camelo* [hiszp.: błaga]. *Chanta* to człowiek zdolny do wszystkiego, bez zasad, pusty w środku. Prawie każdy, od prezydenta w dół, zostaje przez kogoś zakwalifikowany jako *chanta*.

Innym często powtarzającym się słowem jest *mediocre*. Argentyńczycy nienawidzą podrzędności i boją się, że ktoś uzna ich za miernoty. Była to jedna z ulubionych obelg Ewy Peron. Dla niej cała arystokracja argentyńska składała się z miernot. I miała rację. W ciągu kilku lat udało jej się zdrzugać mit Argentyny jako arystokratycznego kraju kolonialnego. A żadnego innego mitu, żadnej innej idei kraju na to miejsce nie znalaziono.

(„Powrót Ewy Peron”, pisane w latach 1970-tych).

Dwie powieści Naipaula usytuowane są w Afryce; obydwie mają za temat — nie nazwany tak *explicite* — afrykański nihilizm, czyli wrażenie, że cokolwiek zdarzy się na tym kontynen-

cie, będzie jedynie chwilowym odchyleniem od normy, a normą tą jest, że ludzie są tylko łupem innych ludzi. „*W wolnym kraju*” jest długim opowiadaniem bez intrygi, w którym rzeczą istotną jest atmosfera, nie zdarzenia. Technika powieści ta przypomina nieco nowele Hemingwaya czy „Pola Elizejskie” Dygata. „*Wolnym krajem*” jest nienazwane państwo afrykańskie (Uganda? Tanzania?) krótko po dekolonizacji. Dobiała właśnie końca walka o władzę między Królem a Prezydentem; Król przegrał, ukrywa się, żołnierze Prezydenta — typu Mobutu — poszukują go po całym kraju, szykuje się też rozprawa z wiernymi Królowi szczepami. W tej sytuacji bohater, Anglik, który pozostał, by służyć Prezydentowi, wybiera się w podróż powrotną samochodem ze Stolicy do europejskiego *compound*u górniczego w głębi kraju; w ostatniej chwili przyłącza się do niego rodaczka, żona jednego z inżynierów. Podróż przez „wolny kraj” między Stolicą a ufortyfikowanym i strzeżonym przez żołnierzy osiedlem górniczym trwa kilka dni. Od pierwszej chwili czytelnik czuje, że jest to spacer po wąskiej kładce nad rzeką pełną krokodyli; podróż — mimo kilku ryzykownych epizodów — udaje się. Naipaul jest zbyt dobrym pisarzem, by stawiać kropkę nad i, czyli rozładowywać poczucie niesłychanego napięcia banalną katastrofą, ale moment, w którym samochód mija bramę bezpiecznego osiedla, robi wrażenie nie *happy ending*’u, a odroczonej egzekucji.

Groza u Naipaula jest szczególnie przejmująca dlatego, że nie „czyha”, a po prostu jest. Stanowi stały element opisywanego świata i to element pasywny, nie potrzebujący się wysilać — wystarczy chwila nieuwagi kogoś z protagonistów... Nawet pejzaż jest groźny, nie w romantycznym sensie dzikiej przyrody, a jako symbol i miejsce pobytu Niższości:

... wznoszące się wzgórza na tle ogromnych gór w głębi ukazywały chaos poogrządzanych pastwisk, pagórkowatych nieużytków, szpalerów eukaliptusowych, dawnych upraw leśnych: niedokończony krajobraz, zadrąsnięcie kontynentu.

... szosa prowadziła w miasto. Przecznice, każda opatrzona czarno-białą tablicą noszącą nazwisko jakiegoś ministra w stolicy, kończyły się, jak było widać, po paruset metrach w błocie. Miasto wybudowano, by się rozrastało. Nie rozrosło się. Pozostało zbieraniną starych budynków z drzewa i blachy, których pionierską prowizoryczność podkreśla nowy, niewielki gmach banku i punkt sprzedaży samochodów i traktorów. Ochlapanie błotem koszar poliej, niskie, pociągnięte białą farbą betonowe baraki ledwie wznoszące się nad ziemią wyglądały już jak chaty w murzyńskiej dzielnicy stolicy.

Drugą afrykańską rzeczą Naipaula jest „*Zakole rzeki*” — ostatnia jak dotąd dłuższa powieść tego autora. Dzieje się również w nienazwanym kraju afrykańskim, ale kamuflaż jest tu

przejrzysty: to Zair po odejściu Belgów, a miasto, do którego ze wschodniego wybrzeża przybywa Salim — potomek z dawna w Afryce osiadłej rodziny drobnych kupców hinduskich — to Kisangani, dawne Stanleyville, położone w pobliżu wodospadów górnego biegu rzeki Kongo. Salim jest trzeźwy, pracowity, pozabawiony nadmiernych złudzeń; z kręgu rodziny i handlu jak-zdziada-pradziada wypędza go poczucie, że czasy się zmieniają, a biada nieprzygotowanym. Postanawia się usamodzielnic i w tym celu kupuje za grosze porzucony i zdewastowany sklep w Kisangani; poprzedni właściciel opuścił miasto w porę, tuż przed niezależnością. Wygnał go był podobny jak u Salima niepokój: „ *pewnego dnia popatrzyłem dookoła i powiedziałem sobie: 'przecież to tylko busz!'*”. Salim jest młodszy i bardziej optymistyczny; wraz z pomocnikiem-służącym, synem dawnych niewolników „rodziny”, uruchamia sklep i stara się patrzeć na miasto nad rzeką jako na miejsce, w którym pozostanie na zawsze. Sytuacja jest niepewna, wybucha pierwsza rewolta przeciw nowemu państwu, rebelianci podchodzą coraz bliżej, naipaulowska groza osiąga pozornie apogeum... Ale sytuacja zostaje opanowana przez białych *mercenaires* Prezydenta. Miasto zaczyna odżywać, busz wydaje się rozstępować wobec faktu, że pojawiają się „*porządek i pieniądze*”. Symbolem nowego ładu staje się „*domena prezydencka*”, z rozmachem i nowoczesnie zbudowany kompleks budynków na terenie dawnej dzielnicy europejskiej. Powstaje tam rodzaj uniwersytetu, odbywają się zjazdy międzynarodowe, powstaje zaczątek centrum afrykanistycznego. Zapowiadają się rzeczy wielkie. Albo raczej: zapowiadałyby się, gdyby nie pewne niepokojące symptomy: portrety Prezydenta nie tylko się mnożą, ale też stają się coraz większe; pojawia się masa nowych słów, zapożyczonych, europejskich, a mglistych: „*autentyczna afrykańskość*”, „*rewolucja*”, „*radikalizacja rewolucji*”; wypływają nowi ludzie, żołnierze i urzędnicy, „*nie wiedzący, że coś należy zbudować — dla nich wszystko już jest*”. Dla tych nowych ludzi portret i flaga, to tylko nowy rodzaj dawnych fetyszów, dających im władzę; zaczynają coraz intensywniej z niej korzystać, by coraz intensywniej polować na złoto i kość słoniową — bohater-narrator dorzuca w tym miejscu: „*gdyby dodać do tego jeszcze niewolników, znaleźlibyśmy się z powrotem w najdawniejszej Afryce*”. Rośnie strach i poczucie, że *wszystko zmierza coraz prędzej ku końcowi, a nadciąga wielki chaos*”. Salim po krótkiej nieobecności dowiaduje się, że nagle przestał być właścicielem swego sklepu — „*radikalizowana rewolucja*” przekazała go miejscowemu „*powiernikowi*”; ponieważ jednak *citoyen* Tymoteusz jest analfabeta, Salim ma jeszcze prawo w nim pracować jako siła najemna. Salim orientuje się

wreszcie — bo przezorniejsi cichcem już wyjechali — że nie zanoszą się na to, by miał w mieście nad rzeką pozostać naprawdę na stałe. Korupcja i bezprawie wzrastają, wzrasta też terror policyjny; z buszu dochodzą wieści o niewygasłej rebelii, także „*radikalizowanej*”: rebeliantom chodzi o powrót „*do źródeł*”, do dawnych, dobrych czasów... „*Mają zabijać wszystkich, którzy umieją pisać i czytać, każdego, kto kiedykolwiek włożył marynarkę i krawat, każdego, kto nosił jacket de boy. [...] Mają zabijać i zabijać. Mówią, że to jedyny sposób by wrócić do początków, nim będzie za późno. Zabijanie ma trwać całym dniami. Mówią, że lepiej zabijać przez wiele dni, niż umierać bez końca*”. Salim ma jeszcze angielski paszport i trochę pieniędzy za granicą. W momencie gdy chce wyjechać, zostaje aresztowany. Sprawa jest poważna, stwierdzono, że handlował nielegalnie kością słoniową. Zostaje uratowany cudem, tzn. uzyskuje kilka dni: dawny jego *protégé* Ferdynand, chłopiec z buszu, który zrobił karierę w nowym reżymie, został właśnie mianowany gubernatorem miasta — jak się zdaje, też tylko na kilka dni — i „*pro wizorycznie*” uwalnia go; przy dużej dozie szczęścia Salimowi uda się może dotrzeć do stolicy u ujścia rzeki i wsiąść do samolotu, by udać się — dokąd? Tego nie wie sam. Gdziekolwiek, gdzie busz jeszcze nie podszedł — ani w formie pierwotnej, ani w formie unowocześnionej: zapożyczonych słów, mundurów i portretów. Salim w ostatniej scenie odpływa statkiem kursującym po tej samej trasie, po której przed stu laty pływał Conrad do „*jądra ciemności*”. *Nota bene*: za czasów Conrada tych statków było jedenaście, za czasów Salima są tylko dwa.

Mistrzostwo Naipaula, z którego ani cienia nie można przekazać w streszczeniu, polega na takiej „*harmonizacji odczuć*”, że dramat Salima w oczach czytelnika to nie tylko jego klęska osobista, lecz także symbol zmarnowanej szansy: ludzie jego typu, gdy pozwala się im pracować nie tyle w spokoju, co w poczuciu bezpieczeństwa, są przysłowiową solą ziemi, utwierdzają glebę, na której wyrasta cywilizacja. Podobnym symbolem jest postać murzyńskiego chłopca, Ferdynanda, ambitnego i zdolnego, ale siłą rzeczy przyjmującego na siebie takie tylko role, jakie w jego kraju są możliwe: z pilnego ucznia i studenta przekształca się w „*mobutystę*”. Następną jego rolą będzie — ktoś wie? — albo wysoka pozycja na „*dworze*” prezydenckim, albo rola ofiary kolejnej „*radikalizacji*”. „*Gdyby istniał jakiś plan — zastanawia się pod koniec powieści Salim — te wydarzenia miałyby sens. Gdyby istniało prawo, te wydarzenia miałyby sens. Ale nie było żadnego planu; nie było prawa; to było tylko udawanie, zabawa, marnowanie czasu ludzkiego istnienia na ziemi*”.

Udawanie, mimikra (jedna z powieści Naipaula nosi tytuł *The Mimic Men*, 1967; traktuje o niedopieczonych „politikach” z Trzeciego Świata, którzy są *bête noire* tego pisarza), „zapożyczone idee”, slogany, teorie, pokrywające swą niespójność i nieadekwatność abstrakcyjnymi terminami, to wszystko jego zdaniem jest uchylaniem się od stawiania na serio czoła rzeczywistości, maską indolencji, zastępstwem myślenia, krótko mówiąc: zdradą cywilizacji. A zdrada ta, w jego przekonaniu, zawsze się mści i to nie w kategoriach socjologicznych imponderabiliów, lecz konkretnie — zbliżeniem się do dna, na którym norma jest nędzą, okrucieństwo i po prostu „zabijanie i zabijanie”. Oparta na autentycznym zdarzeniu — morderstwie białej dziewczyny, członkini kolorowej „komuny” na Trynidadzie w 1972 r. — powieść „Guerrilleros” (*Guerrillas*, 1975) jest literacką transpozycją tego przekonania. Zgodnie ze swą metodą studiowania tematu, Naipaul napisał najpierw szczegółowe sprawozdanie-reportaż o tym zdarzeniu (*The Killings in Trinidad*, 1973, w: „Powrót Ewy Peron”). Porównując ten tekst z powieścią, wyraźniej dostrzec można charakterystyczne cechy jego stylu pisarskiego. Naipaul uprościł akcję i zredukował ilość *dramatis personae*, poświęcając całą uwagę temu co uznał za najważniejsze: ukazaniu jak „zastępcza”, na pokaz zmontowana pseudodziałalność rewolucyjna, w istocie pokrywka frustracji i *Geltungswahn*, przegradza się stopniowo w to, co w innym jego tekście nazwane zostało „żądzą nihilistycznej asercji”.

Powieść umiejscowiona jest na nienazwanej wyspie na Morzu Karaibskim — oczywiście jest to Trynidad — i ma trzech głównych bohaterów: parę Anglików, Roche’a i Jane, i chińsko-murzyńskiego mieszańca Jimmy, za wzorem amerykańskim nawróconego na „Czarny Islam”. Od początku jest widoczne, że cała trójka to *hollow men*, ludzie wydrażeni. Jimmy, z natury rzeczy przeznaczony na zero społeczne albo gorzej, został w czasie swego kilkuletniego pobytu w Anglii wystylizowany przez tamtejszych białych postępowców na antylną Czarną Panterę. Po powrocie — a ściślej: wydaleniu — z Anglii Jimmy zakłada „komunę rolniczą” dla murzyńskich wyrostków. Komuna ta, założona za pieniądze lokalnych kupców i przedsiębiorców, którzy dali się zmystyfikować i zaszantażować, jest od początku fikcją i humbugiem, lecz istnieje dzięki dalszym zasiłkom, panuje bowiem przekonanie, że w ten sposób da się skanalizować napięcia rasowe i ekonomiczne na wyspie. Roche, czterdziestoparoletni Anglik, niegdyś działacz antyrasistowski w Południowej Afryce i dzięki temu — dla *decorum* — zatrudniony w dużej firmie „lokalnych” białych, patronuje projektowi, utwierdzając tym autorytet Jimmy’ego na wyspie. Roche przeziera nicość tej postaci, ale — jak

w pewnym miejscu powiada narrator — „wszystkie jego decyzje zawsze podejmowane były przy świadomym zignorowaniu jakiegokolwiek elementu prawdy”. Taką też była decyzja związania się z Jane, dwudziestoparoletnią rozwódką, poznaną kiedyś w Londynie i którą olśnił wówczas swą pozorną niezłomnością. Roche zignorował prawdę, że Jane — dobrze sytuowana, stale niezadowolona, nie wiedząca, co robić ze sobą w życiu — jest idiotką, pozującą na intelektualną hippieskę. Rozczarowanie po przyjeździe Jane na wyspę, jest obopólne. Roche okazuje się zgiębiwym w świecie słabeuszem. Jane z nudów wdaje się we flirt, a nawet więcej, z Jimmy — nie tyle dla przyjemności, ile dla okazania pogardy „białym” konwencjom. Wrażenie bezsensowności życia tych trojga kondensuje się w koszmar, a — jak już wiemy — u Naipaula nieobecność sensu oznacza zawsze to samo: nadciągającą destrukcję, potęgowanie się Niższości, osiąganie dna. W pozornym nie-dzianiu się rośnie groza; pod jej wpływem Roche traci w pewnej chwili maskę i wybucha: „O Boże, dlaczego ludzie w ogóle mają prawo żyć? Toż to cud, jałmużna jakiej ludzie udzielają sobie nawzajem. [...] Gdy jem i smakuje mi, dziwię się równocześnie, że mi się na to pozwala. Gdy kładę się wieczorem do łóżka i wyciągam się wygodnie, dziwię się równocześnie, że mi się na to pozwala. Przecież byłoby tak łatwo odebrać mi to wszystko. Myślę o tym co wieczór. Przecież tak łatwo można by mnie męczyć. Gdy się człowiekowi raz zwiąże ręce, można z nim zrobić wszystko”. Roche, którego kiedyś torturowała policja w Południowej Afryce, jest człowiekiem o na zawsze wybitych zębach i połamanych żebrach — w przenośni, ale nieodwołalnie. Strach jest w istocie jedyną jego prawdą i cała jego niezaradna „szlachetność” jest, jak sugeruje powieść, jedynie reakcją obronną człowieka przeświadczonego, że barbarzyństwo i dzicz są prawdziwą esencją świata. Powieść sugeruje też, że nie jest to postawa sprzyjająca cywilizacji: cała „działalność” Roche’a okazuje się bezużyteczną, a nawet szkodliwą fikcją o dramatycznych konsekwencjach. Gdy wybuchają rozruchy, okazuje się, że Jimmy nie był niczym przywódcą, że wypadki zostały go na boku, a ci, którzy wierzyli w jego użyteczność, każą mu zapłacić za tę mistyfikację. Opuszczony w swej „komunie” Jimmy wie o tym również; jego frustracja, nienawiść do świata i siebie i gnód *jakiegokolwiek* czynu przekształcają się w „nihilistyczną asercję” — gwałt i morderstwo, dokonane na osobie Jane. *Das Nichts nichtet*. Reakcja Roche’a na to jest również do przewidzenia: paniczna, podława ucieczka, umycie rąk. Pakujący walizki Roche w ostatniej scenie powieści przypomina nieco conradowskiego Jima, schodzącego z „Patmy”, ale wiadomo zarazem, że w naipaulowskim świecie nie znajdzie się



już żadna, jeszcze dalsza wyspa, na której daną mu będzie szansa odkupienia. Roche zmarnował życie i nigdy nie zostanie „lordem”. Przygnębiający, olśniewający dramat, jeszcze raz ukazujący mistrzostwo Naipaula, zmieniające podrzędny *fait divers* w rodzaj symbolicznej tragedii. Na conradowski potencjał tych zdażeń zwrócił uwagę sam Naipaul w poprzedzającym napisanie powieści studium „Zabójstwa na Trynidadzie”. Na temat autentycznej ofiary, 27-letniej Angielki nazwiskiem Gale Benson, która była kochanką jednego z czarnych organizatorów „rewolucyjnej komuny” w Arima, a w istocie bawiła się rolą „dobrowolnej Murzynki” napisał co następuje:

Benson była równie płytka, próżna i pasożytnicza jak większość mieszczańskich nonkonformistów tego okresu; ... była, w jeszcze większym stopniu niż [prototyp powieściowego Jimmy] Malik czy [jej kochanek] Jamal, fałszyfikatorem. Wzięła ze sobą z domu na drogę głębokie, choć starannie skrywane przesady nie tylko własnej klasy, rasy i tych bogatych krajów, do których należała, ale także przeświadczenie o swym absolutnym bezpieczeństwie.

Kilka słów z noweli Conrada [„Placówka postępu”, 1897] może posłużyć jako jej epitafium; a także jako komentarz na temat tych wszystkich, którzy pomogli stworzyć Malika, tych wszystkich, którzy w dalszym ciągu upraszczają świat i redukują innych ludzi — nie tylko Murzynów — do *cause*, ludzi, którzy zastępują zrozumienie doktryną, a zatroskanie wściekłością, rewolucjonistów odwiedzających centra rewolucji z powrotnym biletem lotniczym w kieszeni, hippiesów, ludzi narzucających się społeczeństwu bardziej łamliwym niż ich własne, na temat tych wszystkich osobników, których jedyną działalnością jest, w ostatecznym rozrachunku, celebrowanie własnego bezpieczeństwa.

Przypomnijmy w tym miejscu, że „Placówka postępu” opowiada o dwóch drobnych kupczykach belgijskich, zagubionych w dziczy Konga; zapominając gdzie są prowadzą „złote interesy” przez miejscowego pośrednika, aż okazuje się, że nie wiedząc o tym sprzedawali Murzynów z zaprzyjaźnionego szczepu za kość słoniową. Opuszczeni nagle przez miejscową ludność zostają w dżungli sami i wariują. Komentarz Conrada, stanowiący zarazem rodzaj *credo* Naipaula, brzmi następująco:

Byli to dwaj doskonale przeciętni i pozbawieni zdolności osobnicy, których egzystencja możliwa jest tylko dzięki wysokiemu poziomowi organizacji cywilizowanych tłumów. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że ich życie, podstawy ich charakteru, ich zdolności i inicjatywa są tylko wyrazem ich wiary w bezpieczeństwo otaczającej ich sfery. Odwaga, opanowanie, wiara w siebie; uczucia i przekonania; każda wielka i każda nic nie znacząca myśl to własność nie jednostki, a tłumy: tłumy, który ślepo wierzy w niezłomną siłę swych instytucji i swych zasad, w potęgę swej policji i swych przekońań.

Rzekomi „guerrilleros”, czy też raczej poplecznicy rzekomych guerrilleros w powieści Naipaula, Jane i Roche, są w pewnym

sensie „zdrajcami sprawy białych ludzi”, choć rzecz dzieje się na poziomie cywilizacyjnym, nie rasowym. Pusta lalka Jane „zdradza” właściwie nieświadomie, nie orientując się w swej głupocie, że za krwiożerczą retoryką Jimmy’ego o „rewolucji kolorowych” nie kryje się nic, poza krwią — jej krwią w tym wypadku. Roche jest „zdrajcą” na sposób bardziej subtelny: grzeszy tchórzostwem intelektualnym, dał się bowiem zepchnąć na poziom nihilistycznego przekonania, że „busz” jest w istocie prawdziwym obliczem świata, a cywilizacja — chwilową nieregularnością, czy wręcz łaską. Jest to wyłom w owej conradowskiej „ślepej wierze w niezłomną siłę instytucji”, a więc krok w stronę kapitulacji. Powieść ilustruje taką kapitulację na małym odcinku, sugerując równocześnie, że jest to zjawisko szersze. Naipaul nie jest jedynym pisarzem, który zwrócił na to uwagę; przypomnę tu świetny termin Stefana Kisielewskiego: „zanik ducha bojownika”, który autor ten wyrzuca Zachodowi, a także ostrzeżenie Gombrowicza w „Dzienniku” pod adresem polskiej literatury, by nie dała się wpędzić w wiarę, że gwałt, okrucieństwa i w ogóle „azjatyckość” (mój termin, nie Gombrowicza) stanowią esencję świata i dają jego najgłębsze zrozumienie. „Nie wszystkie książki winny być pisane dla ludzi o wybitych zębach i połamanym żebach” — tak zdaje się brzmieć ta rada.

Zdaniem Naipaula Conrad przed stu prawie laty doszedł do tej samej wiedzy: że ponieważ istnieją społeczeństwa lepiej i gorzej zorganizowane, ludzie z „lepszych” społeczeństw winni sobie zdawać sprawę, co swemu otoczeniu zawdzięczają i że obowiązują ich wobec niego lojalność. Kurtz w „Jądrze ciemności” jest ilustracją tego, co dzieje się z człowiekiem cywilizowanym, gdy dobrowolnie wyrzeka się cywilizacji. Conrad studiował też inne odmiany zdrady „sprawy białych ludzi”, mniej egzotyczne, i jednym z takich studiów, „medytacji”, jest „Tajny agent”. Opisując złowrogiego ideologa anarchistów Karla Yundta — XIX-wieczny odpowiednik Marcuse czy Sartre’a — Conrad zwraca tam uwagę nie tylko na „ciemne motywy kryjące się za szlachetnymi iluzjami”, ale i na „podrażnioną próżność ignorancji”, jako na jedno z rewolucyjnych natchnień.

Naipaul przyznaje, że zwrócił na to określenie uwagę późno, na zaawansowanym już etapie własnej medytacji nad współczesnym światem. Wydaje się, że w jego obecnym światopoglądzie ta „próżność ignorancji” zajmuje naczelne miejsce jako rozsądek mroku. Już w „Guerrillas” ważnym elementem narracji są obszerne wyjątki grafomańskiej powieści, jaką pisze Jimmy wiczorami — rodzaj marzeń na papierze, których autor stylizuje się na nadczłowieka, mędrca i Don Juana w jednej osobie. Jest to autentyczny szczegół: Malik, zabójca Gale Benson istotnie

pisał tego rodzaju powieść i Naipaul poświęcił jej wiele uwagi w swym studium. „Autobiografia może zmylić; fakty można odpowiednio zaaranżować. Ale zmyślenie nigdy nie kłamie: obnaża autora całkowicie”. Ostatnia chronologicznie książka Naipaula, „Wśród wierzących”, opis jego półrocznej podróży w okresie 1979-80 po Iranie, Pakistanie, Malajzi i Indonezji jest nądanowana tłumioną wściekłością na religijną odmianę „próżności i ignorancji”. Islam jest dlań złowieszczą siłą antycywilizacyjną nie tylko dlatego, że prowadzi do ekscesów i despotyzmu — „analfabeci muszą dyktować”, jak zauważył już przed laty St. J. Lec — ale i dlatego, że jest świadomym zamykaniem oczu na rzeczywistość, odmową konsekwencji logicznej, a więc: hipokryzją.

Zachód, czy też uniwersalna cywilizacja, którą dominuje Zachód, jest emocjonalnie odrzucający. Zachód osłabia, stanowi zagrożenie. Ale równocześnie istnieje stałe zapotrzebowanie na jego maszyny, przetwory, lekarstwa, na jego samoloty bojowe i na dewizy, jakie nadsyłają emigranci, na szpitala, które może potrafią leczyć przypadki odwapnienia i uniwersytety, w których można uzyskać dyplom w zakresie techniki komunikacji. To odrzucenie Zachodu związane jest więc z założeniem, że na zewnątrz będzie zawsze istniała żywa, twórcza i pozbawiona uprzedzeń cywilizacja, gotowa otworzyć ramiona dla wszystkich. Nie jest to więc prawdziwe odrzucenie. Jest to tylko sposób, w jaki cała społeczność może zrezygnować z własnego wysiłku intelektualnego. Sposób pasożytniczy; pasożytnictwo jest jednym z owoców fundamentalizmu, o których się nie mówi. I fala emigrantów odpływa z kraju wiary: w samym tylko Berlinie Zachodnim 30.000 Pakistańczyków, wyekspediowanych przez specjalistów od eksportu siły roboczej, domaga się azylu politycznego, na tych samych prawach co Niemcy ze wschodu.

W Pakistanie świętym patronem muzułmańskich fundamentalistów był *Maulana Maududi*. W swoim czasie przeciwstawiał się idei oddzielnego muzułmańskiego państwa indyjskiego, gdyż uważał, że muzułmanie są jeszcze za mało doskonali, by zasługiwać na taki naród. Uważał, że prawa winny być dyktowane przez Boga i głosząc tego rodzaju mrzonki zamiast jakiegoś konkretnego programu stał się ośrodkiem, krystalizującym wszelkiego rodzaju pasje millenarystyczne. Prowadził kampanię na rzecz opracowania praw muzułmańskich, nigdy nie precyzując na czym miałyby polegać.

Zmarł w czasie gdy byłem w Pakistanie. Ale zmarł nie w swoim kraju: wiadomość o jego zgonie nadeszła z Bostonu. Po całym swym długim, bezkompromisowym życiu Maulana nagle zapomniał o swych wzniosłych zasadach. Wybrał szpital w Bostonie, licząc, że tam odzyska zdrowie; w ostatnich chwilach swego życia postawił na umiejętność i wiedzę cywilizacji, do której usiłował zniechęcić swych uczniów. Jak mi ktoś powiedział (a więc nie wszyscy Pakistańczycy są fundamentalistami), próbował on zbierać na polu, które zabronił swemu ludowi obsiewać. Można by rzec, że Maulana udał się na przewidziane dlań miejsce w raju *via* Boston; i że przynajmniej część tej podróży odbył Boeingiem. [...]

„Szukając naszej drogi w Koranie — pisze dziennikarz *Pakistan Times* — znajdujemy jasność wszędzie”. Prawa proponowane przez mułhów — bicowanie i kamienowanie na śmierć — nie dały żadnych rezultatów, ale wprowadzenie muzułmańskiego porządku w Pakistanie pozostało realną

opcją. [...] Przynajmniej wybory zostały odłożone *ad calendas graecas*. Ale trzeba było nadal rządzić państwem i w dalszym ciągu utrzymywać porządek publiczny. Więc w dalszym ciągu stosowano bicowanie publiczne... [...] Krok po kroku, usiłując się zislamizować, Pakistan zlikwidował odziedziczone po Brytyjczykach zasady prawne i zastąpił je nicością.

Podobny, a nawet ostrzejszy ton znajdujemy w opisach pozostałych zwiedzonych przez Naipaula krajów Islamu. „*Biedni uczą biednych, jak pozostać biednymi*” — ta opinia pisarza o tzw. *pesantrenach* muzułmańskich na Jawie, pół-szkołach i pół-kołchozach, wychwalanych przez zachodnich postępowców jako przykład „szkoły alternatywnej” zdaje się mieć dlań większy zasięg i obejmować całe zjawisko „odrodzenia Islamu”.

Zarzucono Naipaulowi — i czytelnik niniejszego szkicu również może odnieść takie wrażenie — że jest on niepoprawnym malkontentem i wszystkie kraje jawią mu się jako siedliska głupoty, korupcji i regresu cywilizacyjnego. W jego spojrzeniu na świat wyczuwa się może nawet coś z paniki Roche'a z „*Guerrilleros*”: poczucie, że busz podchodzi coraz bliżej i że nie ma na to właściwie żadnego ratunku. Czytając jego książki, zwłaszcza z ostatnich lat, odnosi się wrażenie, że ilustrują one rodzaj „prawa Naipaula”, w myśl którego — w analogii do prawa Malthusa — cywilizacja na świecie rośnie tylko w postępie arytmetycznym, a barbarzyństwo geometrycznym, a więc: że *cywilizacji wkrótce zabraknie*. Może jest to przesada, choć rozglądając się po dzisiejszym świecie na różne można wpaść myśli... nawet bez tych książek. Nie można jednego Naipaulowi zarzucić: frywolności stwierdzeń. Jego „medytacja” nad światem jest może skoncentrowana na jednej tylko, mrocznej stronie, ale jest spójna, logiczna, samodzielna, odkrywczą. Są to cechy, które dla niego są tożsame z cywilizacją zachodnią, formacją którą potrafi cenić, bo wie jak łatwo jest być jej pozbawionym.

Na zakończenie chciałbym odnotować pewną przykrą myśl, która wielokrotnie przechodziła mi przez głowę w trakcie lektury Naipaula: jak wyglądałaby jego książka o Polsce?

M. BRONSKI

Ale: tego do siebie znać nie będziemy,  
Bo jeśli byśmy znali, byłaby to zgroza  
Samosądu nad samymi sobą.

Witold WIRPSZA

Berlin, 19 czerwieca 1982 r.

## Wiersze

Witold WIRPSZA

### PRZYPOMNIENIE HIOBA

Zachłystywanie się Polską może być niebezpieczne.  
Gdyby udało się stworzyć w tym kraju  
Najsprawiedliwszy ład pod słońcem,  
Byłoby to nieszczęście narodowe, bo taki ład  
Stałby się niesprawiedliwością w innym wymiarze:  
Wystarczy pomyśleć; zgroza.

A gdybyśmy mieli najpiękniejsze krajobrazy  
I najszlachetniejszych ludzi,  
Gdybyśmy wszelkie skazy i piętna  
Potrafili sami z siebie zdjąć,  
I gdybyśmy o tym wiedzieli, że udało nam się je zdjąć,  
Zapadlibyśmy nie na zawrót głowy, a ten mija,  
Ale na trąd pychy, a ten się wżera  
W sumienie. Mieliśmy kiedyś zostać  
Sumieniem narodów; i co z tego wyszło?

Zachłystywanie się Ojczyzną w nieszczęściu  
Też może być niebezpieczne; mówię:  
Może, nie mówię: musi. Hiob nie upajał się  
Swoją katastrofą, ale mówił:  
Chociażbym był doskonały,  
Przecież ja tego do siebie znać nie będę.  
Upraszczać to — także zgroza.

Henryk GRYNBERG

W mieście gdzie nie ma miłości

Ani Frajlich

\*\*

Zimne pomniki i ciężki  
męski trup rzeki bez twarzy  
i ostre bagnety świateł  
strzegą grobowców za życia  
gdy miasto gdzie nie ma miłości  
staje się co nocy cmentarzem

a niebo ultrafioletem  
smaga po wyblakłych twarzach  
nowego newskiego prospektu  
gdy się w południe zaroi  
od animowanych trupów  
samochodów anonimowych

w mieście gdzie nie ma miłości  
jak długo jeszcze mam wytrwać  
samotnie z twarzą do dna  
dni i nocie roniąc w Potomac

w mieście gdzie nie ma miłości  
w świecie gdzie nie ma miłości  
.....

Waszyngton-Arlington w lutym 1982

Henryk GRYNBERG

Anna FRAJLICH

Heńkowi Grynbergowi  
w odpowiedzi na wiersz  
„W mieście gdzie nie ma miłości”

\*\*

Miłość jest  
lecz ukryta pod mchem  
trzeba znaleźć odkopać odchuchać  
trzeba ziemią ją karmić i dżdżem.

Martwa rzeka nie martwa  
lecz śpi  
stąd powolna nadrzecznym prospektom  
gdy w burzliwe obudzi się dni  
będzie rwała kamienie i beton.

Czy jest wybór  
pytamy od lat  
czy jest wybór gdy nie ma wyboru  
i zapala czart światła we mgłach  
przepaścistych stołecznych wieczorów.

Nowy Jork - Brooklyn, 23 marca 1982

Anna FRAJLICH

Marek JAROSZUK

### uciekać morzem

uciekać morzem od szumiącej ziemi  
bijącej w oczy kolorami snów  
płynącej wokół miliardami cieni  
i ludzi strumieniem  
i strumieniem słów  
uciekać do krain  
co lepsze nie będą  
uciekać i wierzyć

że czas nie odmieni  
że czas nie odmieni  
tej ziemi i morza  
i tego co ze mną

i usiąść na wietrze  
i patrzeć na mewy  
rozkołysane jak fale w powietrzu  
i myśleć o gwiazdach  
jak wyspy dalekich  
co wrócą znów do mnie  
gdzieś w następnym  
wierszu

nie bać się już więcej tego niepokoju  
co siada przy lampie  
i zasłania okna  
bać się że nie wróci  
i zostanie tylko  
tej szumiącej ziemi zgubiony drogowskaz

\*\*

nie ma takich kwiatów które kwitną wiecznie  
nie ma takich kwiatów  
nie ma takich ludzi którzy płaczą wiecznie  
nie ma takich ludzi  
nie ma takich marzeń które trwają wiecznie  
nie ma takich marzeń  
są tylko złudzenia  
są tylko wspomnienia  
są tylko wiersze

jesteśmy ze sobą już od tylu godzin  
już dobrze się znamy  
będziemy ze sobą jeszcze tyle godzin  
że czasu wystarczy  
że wystarczy czasu  
aby odejść wreszcie

krzyknąć do widzenia  
krzyknąć powodzenia  
i  
poczytać wiersze

Marek JAROSZUK

Lothar HERBST

Prof. dr Czesław Hernas,  
Wrocław.

Strzelce Opolskie, 4 marca 1982.

Drogi Panie profesorze,

do tej pory nie udało mi się wysłać tych listów. Sytuacja się bardzo zmieniła. Od poniedziałku trwa akcja protestacyjna — nie przyjmujemy od nich jedzenia i kawy (tylko dwa razy dziennie gorącą wodę). Żądamy otwarcia cel, skończenia z tym trzymaniem nas w ciężkich warunkach, z więziennym regulaminem. Akcja trwa już czwarty dzień. Codziennie o godz. 12-tej i 19-tej śpiewamy „Hymn”, „Rotę” i „Boże coś Polskę”. Przez 9 dni nie mieliśmy spacerów, dostępu do prasy i TV. Do tej pory (18 dzień) nie mogę doprosić się okulisty. A z oczami w tych warunkach mam coraz większe kłopoty. Po 15 dniach pobytu dostałem wreszcie książki. Brak nam dalej prasy. Warunki nasze są bardzo ciężkie, ale znosimy je z humorem. Dajmy już do tego, aby nas stąd wywieziono. Do ośrodków, a nie do więzień.

Trzymam się dobrze, trochę piszę, czytam i myślę. Dzisiaj dostałem odpowiedź na moje odwołanie na decyzję internowania z MSW — negatywną. Muszę siedzieć dalej. Piszcie do mnie. Oby jednak do szybkiego zobaczenia. Pomóżcie nam, aby nas traktowano po ludzku.

LOTHAR

## NIE BĘDZIE PRZEBACZENIA

Za rozbijanie naszych domowych  
drzwi, za bicie po twarzy, zakuwanie  
w kajdanki, krzyk dzieci,  
płacz matek i żon —  
nie będzie przebaczenia.

Za zamykanie do więzień,  
znęcanie się w celach, niesprawiedliwe  
i bezprawne wyroki, krzyki,  
wrzaski i wyzwiska —  
nie będzie przebaczenia.

Za zmiążdżone czołgami bramy  
fabryk i kopalń, atakowanie ich  
z ziemi i powietrza, za strzały  
oddane do bezbronnym ludzi —  
nie będzie przebaczenia.

Za krew i rany,  
za ból i łzy,  
za kłamstwa i oszczerstwa,  
za gniew i brak nadziei —  
nie będzie przebaczenia.

Za Polskę więzienną,  
za zniszczenie Sierpniowych idei,  
za naszą nędzę i brak wiary,  
za współudział w tej zbrodni —  
NIE BĘDZIE PRZEBACZENIA.

Strzelce Opolskie, 18.02.82

Lothar HERBST

# LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZY-  
KA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 350 — MAREK NOWAKOWSKI

## RAPORT O STANIE WOJENNYM

Krótkie opowiadania ilustrujące polską rzeczywistość  
po 13 grudnia 1981.

Str. 100.

Cena F. 35,00.

TOM 349 — ZDZISŁAW NAJDER

## ILE JEST DRÓG ?

Wybór esejów społeczno-politycznych w większości publikowanych w latach 1975-1982 pod pseudonimami: SOCJUSZ, Bronisław LA-SOCKI i Marian KOWALSKI: O potrzebie programu. — Polityczne działania i programy. — Dialog z Michnikiem. — Źródła i tama. — Ile jest dróg? — Teorie, wytyczne i spory. — Polskie kwadratury koła. — Gesty i praca. — Spółka Scylla i Charybda. — Teoria i polska jedność. — Solidarność. — Myśli o programie „Solidarności”. — Rozwiązania trwałe a rozwiązania możliwe. — Autoperswazja jako reakcja na intelektualistów na przemoc. — Przy zasadach stojmy.

Str. 196.

Cena F. 60,00.

TOM 352 — KONSTANTY JELEŃSKI

## ZBIEGI OKOLICZNOŚCI

Zbiór esejów znanego krytyka, tłumacza poezji polskiej, wybitnego znawcy problemów współczesnych.

Część I — ZBIEGI OKOLICZNOŚCI;

Część II — O PRZECZYTANYM I PRZEŻYTYM.

Str. 424.

Cena F. 120,00.

TOM 357 — KAZIMIERZ BRANDYS

## MIESIĄCE (1980-1981)

Tom II-gi zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 224.

Cena F. 70,00.

## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli

ZNOWU O JEDEN NARÓD ZA DUŻO...?

Motto: „Poskrobcie sędzię,  
a odnajdziecie kata...”  
Wiktor Hugo

Uri Awneri, dziennikarz izraelski, były poseł lewicowy do Knesetu, działacz pacyfistyczny, przewodniczący Towarzystwa Izraelsko-Palestyńskiego, jest jedynym przedstawicielem prasy izraelskiej, który uzyskał wywiad od Arafata, przewodniczącego Organizacji Wyzwolenia Palestyny (w dalszym ciągu zwanej OWP). Wywiad przeprowadzony został w zachodnim Bejrucie, w bunkrze Arafata, podczas oblężenia stolicy Libanu przez pierścien izraelskich czołgów. Wywiad jest szeroko znany, choć wydrukowany został tylko w prasie izraelskiej (i zachodniej naturalnie), a prasa arabska nie zamieściła ani słowa. Po powrocie od Arafata Awneri był indagowany przez władze izraelskie oraz tysiące dziennikarzy. Jeden z nich, Wiktor Cygielman, korespondent m.in. brukselskiego *Le Soir* i paryskiego *Le Nouvel Observateur*, był mój warszawski kolega, zacytował następującą konkluzję Awneriego po spotkaniu z Arafatem:

„Koniec wojny w Algierze — powiada Awneri — nastąpił pod presją opinii francuskiej. Koniec wojny w Wietnamie nastąpił pod presją opinii amerykańskiej. Sprawa palestyńska, prawo narodu palestyńskiego do utworzenia własnego państwa obok państwa izraelskiego, może zostać wygrana tylko poprzez presję opinii izraelskiej”.

Awneri się myli. O końcu wojny w Algierze i Wietnamie nie zdecydowały opinie publiczne, a rachunek szans na zwycięstwo. Choć oczywiście roli opinii publicznej w krajach demokratycznych nie należy lekceważyć, to jednak tyle wystarczy.

Tyle na temat Awneriego, człowieka naiwnego, ale o dobrej wierze i dobrej woli, patrioty izraelskiego, postaci marginesowej,

ale charakterystycznej dla rozwiniętego społeczeństwa demokratycznego. Cała reszta tego artykułu będzie na temat innych postaci, tych z motta Wiktora Hugo.

Piszę te słowa na 5 tygodni przed ich ukazaniem się w druku. Jest to zupełne szaleństwo dziennikarskie. Minęły już tygodnie od początku oblężenia Bejrutu. W paryskim *Expresie*, którego nie można posądzić o wrogość wobec Izraela, znalazłem *à propos* Bejrutu następujący cytat z greckiego poety Konstantego Kawafi: „Barbarzyńcy obozowali przez długie tygodnie pod cyta-  
delą. Znieśli oblężenie, kiedy dowiedzieli się, że wszyscy mieszkańcy zwariowali...”.

Nie mieszkam w oblężonym Bejrucie, ale odnoszę czasami wrażenie, że można zwariować także bez oblężenia.

Żadne państwo nie powstało bez bólu, zwłaszcza dla jego sąsiadów. Wojny nie należy potępiać za to jedynie, że jest wojną. Izrael jest państwem jak inne, Cahal nie jest armią zbawienia. Domaganie się od Izraela, aby w imię specjalnie dla niego wymyślonego kodeksu moralnego popełniał to, co w jego rozumieniu równałoby się samobójstwu, nie ma po prostu sensu.

Tak więc można nad tym boleć, ale nie należy się dziwić, że rząd Begin oczywiście kłamał:

- a) kiedy zapowiadał, że wojska jego zatrzymają się o 40 km od granicy libańsko-izraelskiej,
- b) kiedy wysuwał zamach na swego ambasadora w Londynie jako powód inwazji,
- c) kiedy tłumaczył, że dywanowe bombardowania cywilów były niezbędne dla złamania siły wojskowej OWP,
- d) kiedy twierdził, że liczba ofiar cywilnych jest stosunkowo niewysoka i że dowództwo Cahalu zrobiło wszystko, aby straty cywilne zredukować do minimum,
- e) kiedy głosił, że mu rzeczywiście zależy na prawdziwej autonomii Cisjordanii i Gazy,
- f) kiedy przekonywał nas, że powodem inwazji na Liban była konieczność zniszczenia wojskowej siły OWP. Siła ta nigdy w rzeczywistości nie była groźna dla państwa izraelskiego. Celem inwazji było zniszczenie politycznej roli OWP, mitu jej potęgi w Cisjordanii. Tak długo bowiem jak długo ten mit istniał i jak długo w imię tego mitu mieszkańcy Cisjordanii wysuwali do władzy wyłącznie ludzi związanych z OWP, a mordowali zwolenników innego, ewentualnie mniej ekstremistycznego przedstawicielstwa palestyńskiego, tak długo wszelkie mówienie o autonomii, a w perspektywie myślenie o aneksji, nie miało w ogóle sensu.

Wojna w Libanie miała być więc wstępem do normalizacji i faktycznej aneksji Cisjordanii, tak aby nie mogło być mowy o powstaniu na tych terenach niezależnego państwa palestyńskiego. Nie trzeba się nad tym rozwodzić, sprawa jest znana. Dla rządu z Jerozolimy — i dla ogromnej większości mieszkańców Izraela — idea takiego państwa jest nie do przyjęcia. Ich zdaniem (i nie tylko ich) będzie to bowiem sowiecka bomba z opóź-

nionym antyizraelskim zapłonem. Można w tej sprawie być innego zdania, ale jest to fakt i konkret, a na fakty i konkrety w polityce oburzać się nie należy. Awneri powołuje się na opinię izraelską. Nieśluszenie, w tej bowiem zasadniczej sprawie opinia izraelska — i nie tylko izraelska — jest prawie zdecydowanie jednomyślnie negatywna. Ale Awneri to, jak powiedziałem, człowiek naiwny, ale uczciwy. Co innego jego sowieccy i zachodnio-intelektualni sprzymierzeńcy.

Nad Sowietami nie warto długo się rozwodzić. Nie wymyślili niczego nowego przy okazji Libanu. Szkoda, *à propos*, że *Kultura* nie jest pismem ilustrowanym. Można by wtedy pokazać gustowne rysunki z drapieżnym Izraelem o garbatym nosie, jakie ukazały się w prasie sowieckiej, nie po inwazji Libanu, a po inwazji... Izraela w roku 1973 np., nie mówiąc już nawet o tzw. satyrze po wojnie sześciodniowej w 1967 roku. Wystarczy tylko zmienić Dajana bez oka na Begina w okularach. Identyczne cytaty: „Begin (Dajan) podlewa kwiatki, tak jak Hitler głaskał psy”, „Imperializm i obozy koncentracyjne to logika syjonizmu i wielkiej burżuazji żydowskiej”..., „Strategia *Blitzkrieg*’u skopioniana z III Rzeszy...” itd.

Nieliczne właściwie są nowości: zniknął Nahum Goldman, prezes Światowego Kongresu Żydów, w 1967 roku „główny agent zachodnioniemieckiego rewanżyzmu”, dziś „szanowana osobistość żydowska”, przeciwnik polityki Begin, i zniknęły Deutschemarki zrehabilitowane kredytami na gazociąg, a pojawiły się dolary jako środek finansowania izraelskiej ekspansji.

Ale mniejsza w tym miejscu o Moskwę. Chodzi mi przede wszystkim o tzw. lewicowych intelektualistów (pisał o nich w *Kulturze* niedawno Broński), którzy usprawiedliwiali wczoraj Pol Pota, a dziś Chomeiniego. Tych, dla których przez dziesięciolecie ZSSR był nadzieją świata, a kiedy okazało się, że się pomylili, to wskoczyli w „sprawę palestyńską”.

Do ludzi pióra, którzy w kawiarni „Flora” wymyślili takie zbitki jak „Bejrut-Stalingrad”, lub „Bejrut-Oradour”, którzy z *Rive Gauche* lansowali klisze, stereotypy, podpisywali manifesty, wychodzili na ulice (kiedy nie padało), do nich chcę skierować kilka pytań zanim zdążą, tak jak po każdym zakręcie, powiedzieć: „Przepraszamy, pomyliliśmy się” i spokojnie oddać się wymyślaniu nowych klisz, bałamuceniu nowych pokoleń i hecowaniu nowych awantur.

Po pierwsze: gdzie oni byli?

Gdzie oni wszyscy byli i dlaczego nie manifestowali:

- a) kiedy w 1970 roku król Jordanii wymordował w czasie „czarnego września” — według najbardziej obiektywnych obliczeń — ponad 30.000 Palestyńczyków?
- b) kiedy w 1976 roku Syryjczycy weszli do Libanu i wymordowali kolejnych 30.000 Palestyńczyków, a potem, wraz z Palestyńczykami, 70.000 Libańczyków?

c) kiedy w 1976 roku, np. w Damur doszło do masakry rozbitych libańskich chrześcijan. Wojna religijna w Libanie kosztowała 100.000 istnień: gdzie oni byli, kiedy to tylko Izraelczycy, a nie Francja czy Papież, ratowali libańskich chrześcijan?

d) kiedy wojska syryjskie wymordowały 20.000... Syryjczyków w mieście Hanna, albowiem większość sunnicka nie chciała tam uznać władzy mniejszości z sekty Alawi?

e) kiedy wojna irańsko-iracka przekraczała próg 150.000 zabitych po obu stronach, nie mówiąc o uchodźcach i zniszczeniach?

f) kiedy „rewolucja” w Iranie przekraczała próg 100.000 rozstrzelanych na zimno i wymordowanych na gorąco przeciwników dementa w turbanie?

g) kto z tych wysublimowanych autorów odważnych analogii porównał kiedyś Husseina, Assada czy Chomeiniego do Hitlera? P. Nicolas von Hoffman, rzekomo znany dziennikarz, pisząc w piśmie angielskim *Spectator* na temat amerykańskiej reakcji na wydarzenia bliskowschodnie, porównał bez wahania Liban do Lidic i oznajmił, że „powoli, od gwałtu do gwałtu, Amerykanie przekonują się, że rząd Begina zamienia Gwiazdę Dawida w swastykę”. Czy p. von Hoffman wypowiedział się podobnie na temat Teheranu i półksiężyca?

#### Po drugie: dlaczego?

Dlaczego „ideolodzy”, moralisci i stratedzy z zachodniej Europy nie powiedzieli Palestyńczykom:

a) że równie moralnie okropne jak bombardowanie cywilów jest ukrywanie się za cywilami, zakładanie arsenałów w szpitalach, szkołach i w piwnicach bloków mieszkalnych, instalowanie katusz w ogródkach domków jednorodzinnych, przekształcanie ośrodków dla uchodźców kierowanych oficjalnie przez ONZ w bazy szkoleniowe terrorystów, i *last but not least* przekształcanie setek tysięcy mieszkańców Bejrutu w zakładników nie ich sprawy?

b) że są pionkami w ręku arabskich feudałów, którzy w czasie gdy dzieci palestyńskie ginęły w Sydonie czy Tyrze przegrywali w kasynach Riwiery fortuny tak wielkie, że wystarczyłyby na zapewnienie tysiącom tych dzieci przyszłości w spokoju i dobrobycie?

Kiedy sfanatyzowane bataliony Chomeiniego przekroczyły granice Iraku, feudałowie z Zatoki Perskiej natychmiast wysupłali kilkadziesiąt miliardów dolarów, aby Irak potrafił powstrzymać hordę, zanim spadnie ona na ich zasoby naftowe i konta dewizowe. Dlaczego nikt nie powiedział uchodźcom w obozach palestyńskich, że ułamek sum wydanych na wojny między Arabami czy między muzułmanami wystarczyłyby na całkowite rozwiązanie kwestii palestyńskiej? Dlaczego nikt z postępowych intelektualistów nie powiedział Palestyńczykom, że są sami na świecie, porzuceni przez wszystkich arabskich braci? Szczyt arabski nie potrafił ani razu się zebrać podczas oblężenia Bejrutu,

a Rada Ligi Arabskiej zebrała się właściwie tylko po to, aby odrzucić wszystkie 14 żądań jakie przedstawił jej Arafat z oblężonego bunkra. Jedyne szef arabski, który poszedł dalej niż inni, to Kadafi z Libii. Wysłał mianowicie do Arafata telegram z propozycją, aby dowództwo palestyńskie popełniło zbiorowe samobójstwo, tak by nareszcie pojawili się prawdziwi męczennicy sprawy palestyńskiej. Do chwili pisania tych słów Arafat z propozycji nie skorzystał...

c) że są kartą w sowieckim pokerze i że na trupach palestyńskich Kreml chce bez ryzyka z powrotem wjechać na bliskowschodnie salony, a los „dzieci Arafata”, jak to wyraźnie wynika z „ostrożnego” (na szczęście) zachowania się Moskwy, nie jej nie obchodzi. Że Rosji Liban służy dziś do odsunięcia w niebyt pamięciowy sprawy Afganistanu czy Polski, tak jak Suez w 1956 roku pozwolił przemilczeć masakrę Węgier.

d) że cała strategia OWP prowadziła niechybnie do katastrofy. Karta OWP, zredagowana w 1964 roku i ciągle oficjalnie aktualna oznajmia, że podział Palestyny i powstanie Izraela są „niebyłe i niestniejące”, że cała Palestyna jest ojczyzną Palestyńczyków (reprezentowanych wyłącznie przez OWP), że tylko ci Żydzi, których przodkowie żyli w Palestynie w roku... 1882 („początek inwazji syjonistycznej”) będą mieli pełne prawa obywatelskie. Żaden odpowiedzialny polityk izraelski — nie tylko Begin — takich słów lekceważyć nie ma prawa. A ma prawo i obowiązek takim twierdzeniom się przeciwstawiać.

e) że żaden odpowiedzialny polityk izraelski nie może również brać poważnie zapewnień o ograniczeniu do terenów Cisjordanii i Gazy granic przyszłego państwa palestyńskiego jako ojczyzny milionów uchodźców, albowiem uchodźcy, którzy mieliby się w tym państwie ewentualnie osiedlić, nie pochodzą ani z Cisjordanii ani z Gazy, a pochodzą z obecnych terenów państwa Izrael i że tam zechcą zapewne wrócić.

f) że zygzaki i łamańce słowne na temat „trzeciego państwa”, zakładającego uznanie Izraela, łamańce wynikające najpierw z taktyki dyplomatycznej, a potem, tak jak w przypadku wywiadu Arafata dla Awneriego, wymuszone przez czołgi izraelskie, nie mogą zrównoważyć faktu, iż od 34 lat 21 państw arabskich ze 150 milionami mieszkańców, wspomaganych przez 40 innych państw muzułmańskich, odmawia uznania jednego państwka izraelskiego z 3,5 milionami mieszkańców, w tym 500.000 Arabów.

g) że tylko droga Sadata — zamordowanego przez zwolenników ideologii do dziś oficjalnie wyznawanej przez Arafata — prowadzi do pokoju na Bliskim Wschodzie i w perspektywie do cywilizowanego rozwiązania kwestii palestyńskiej. W 1973 roku Sadat rozpoczął wojnę w której Izrael stracił, stosunkowo, trzy razy więcej żołnierzy niż USA w Wietnamie. Dopiero kiedy Sadat zrozumiał, że do Jerozolimy na czołgu nie dojedzie, udał się tam Boeingiem.

h) że warto się zastanowić jak to się stało, że chociaż Cisjordan i Gaza przez 20 lat były pod rządami Arabów, nikt nie



pomyślał nawet o utworzeniu tam państwa palestyńskiego, a stało się tak dopiero kiedy słuszne zresztą hasło samostanowienia Palestyńczyków weszło do arsenału strategii wielkich feudałów arabskich i gry wielkich mocarstw jako jeden z elementów równowagi sił na świecie.

i) że warto studiować dokumenty. *Porte-parole* Breżniewa, Leonid Zamiatin nie ukrywa np., że Moskwie chodzi przede wszystkim o powrót do koncepcji bipolarnego świata, o nowe wydanie Jałty, o nowe kondominium, oparte o zasadę unikania wszelkim kosztem, a przede wszystkim cudzym kosztem, np. Palestyńczyków, konfliktu z USA. Mówiąc o Libanie, Zamiatin mianowicie przestrzegł przed groźbą kolizji sowiecko-amerykańskiej „w wyniku konfliktów peryferyjnych”. To jest prawda, dla Moskwy wszystko jest sprawą peryferyjną. Z wyjątkiem interesu ZSSR naturalnie.

j) że Izrael idzie na wojnę, bo właśnie nie godzi się na statut peryferyjny ani na rolę ewentualnej ofiary w imię super-wielkiego kondominium. Piąta wojna arabsko-izraelska jest kosztowna. Jest to najdłuższa wojna izraelska i pierwsza, która nie zespala Żydów, a zaczęła ich dzielić. Ale przecież jest faktem, iż dopiero krwawa i kosztowna inwazja Libanu przez Izrael zmusiła Arafata i inne państwa arabskie do odejścia jeżeli nie od ducha Karty OWP, to przynajmniej od jej liter. Co lub kto ma przekonać Izrael, że warto i trzeba (ja jestem o tym przekonany) ryzykować pokój i dogadywać się nawet z OWP? Jak przekonać Izrael, że po pokoju nie spotka go los chrześcijan z Damuru czy Palestyńczyków z Jordanii, czy po prostu Libańczyków, których ponad 100.000 zostało zamordowanych z a nim pierwszy czołg izraelski przejechał rzekę Litani, a batalion z Entebbe zdobył ruinę zamku Beaufort.

Nie uznawany przez Arabów, Izrael sięga po broń, bo nie może ufać nikomu. Czy miałyby ufać Francji, która nie zrobiła niczego, aby uratować „swoich” Libańczyków? P. Claude Cheysson, francuski minister spraw zewnętrznych, udzielił obszernego wywiadu radiu France International. Wyraził on swój „głęboki szacunek dla rewolucji irańskiej” oraz swój podziw dla „niewątpliwego autorytetu jakim się cieszy prezydent Kadafi w swoim kraju oraz w sporej części świata arabskiego i Afryki”. W tym samym wywiadzie p. Cheysson oświadczył, że jest „rzeczą oczywistą, iż państwo palestyńskie powinno być usytuowane w centrum tego czym była Palestyna”. Jakie nadzieje na bezstronność tego polityka może żywić Izraelczyk, kiedy p. Cheysson — który zapytany 13 grudnia 1981 roku o to, co zrobi Francja w reakcji na pucz w Warszawie, odpowiedział: „oczywiście nic” — piętnuje dziś inwazję izraelską na Liban, ale uznaje za „oburzające interesowanie się obecnością wojsk kubańskich w Angoli”. Jaką lekcję mają wysnuć odnośnie stanowiska Zachodu Izraelczycy — ale także np. i Polacy — z twierdzenia p. Cheyssona *à propos* Angoli, że „wezwanie o czyjąkolwiek pomoc z zagranicy jest sprawą suwerenności każdego państwa”. Czy doty-

czy to także „wydarzeń” w Pradze w 1968 roku? Czy to na p. Cheyssona miałyby liczyć Izrael, gdyby np. Syria wezwała na pomoc Iran lub... Kubę?

A może zaufać Anglii, która piętnuje Izrael za najazd na Liban, skąd szły pociski na Galileę, ale wysyła ogromną armadę o 15.000 km od Wysp Brytyjskich, aby bronić 1.600 Falklandczyków i pół miliona owiec?

Dlaczego Zachód miałby się wobec kolejnej tragedii izraelskiej — gdyby do niej doszło — zachować inaczej niż wobec aktualnej tragedii... libańskiej, to znaczy nie uprawiać realpolityki, cynicznej, własnej, egoistycznej? Pytania retoryczne, naturalnie, ale jak się świat zachował przed, w czasie i po drugiej wojnie światowej, co zrobił dla uratowania milionów ludzi od Konzentragrów czy gułagu?

A jak postępuje wobec Polski? W przeddzień siódmej miesięcznej „rocznicy” puczu z 13 grudnia londyński *Times* wydrukował swój *editorial* na temat celowości przywrócenia kredytów Polsce. Jest to — pisze w skrócie *Times* — jedyna szansa odzyskania już utopionych w Polskę pieniędzy, a żądanie — sformułowane w co najmniej dziesięciu międzynarodowych dokumentach z podpisem m.in. Anglii — uzależnienia kredytów od zniesienia stanu wojennego i uwolnienia internowanych *Times* określa jako po prostu nierealne.

Prezydent Francji, kanclerz RFN i premier Wielkiej Brytanii mówią o zimnej wojnie, przestrzegają przed wojną handlową nie w wyniku polityki sowieckiej wobec Afganistanu lub Polski, ale w kontekście gospodarczych decyzji USA, a głównie embarga na dostawy dla gazociągu syberyjskiego. Jeżeli Francja, RFN i Anglia doprowadziły się do sytuacji absolutnie paradoksalnej, kiedy każdy amerykański akt antysowiecki jest równocześnie uznany za akt antyeuropejski, jeżeli, inaczej mówiąc, broniąc interesu zawartego w umowie gazowej zachodnia Europa ryzykuje konflikt z USA, jedynym mocarstwem zapewniającym jej bezpieczeństwo przed ZSSR, to jak się ta sama zachodnia Europa zachowa np. wobec Izraela, kiedy zaczną działać i presja sowiecka i presja nafto-dolarowa?

Rzecznicy Arafata głoszą, że OWP już dawno pogodziła się z istnieniem Izraela, albowiem uznała „plan pokojowy Breżniewa”, przedstawiony na XXVI Zjeździe partii bolszewickiej w lutym 1981 w Moskwie. Ale kto dziś na świecie wierzy pokojowym deklaracjom Breżniewa? Afganistan? Polska? USA? A właśnie Izrael miałby mu uwierzyć i to właśnie wtedy, kiedy powołuje się na niego inny przyjaciel Żydów, nazwiskiem Arafat? *Allons...*

*Po trzecie: kto?*

Kto w celu absolutnej demonizacji Izraela wymyślił i wprowadził do powszechnego użytku paranoję semantyczną, perwersję językową, na mocy której świat miałby uznać, że:

a) w Libanie oko w oko stoją zawsze i w każdym układzie „palestyno-progresiści” i „chrześcijano-konserwatyści”, nigdy np. „palestyno-konserwatyści” lub „chrześcijano-postępowcy”?

b) istnieje naród „libańsko-palestyński”, choć ma się to tak do rzeczywistości jak np. naród „polsko-rosyjski” czy „czesko-ukraiński”.

c) nacjonalizm arabski (nawet saudyjski) jest zawsze postępowy, a nacjonalizm izraelski jest zawsze reakcyjny.

d) OWP jest organizacją pokojową, a terroryzm jest jej obcy, chociaż nie tylko historia (Maalot, Monachium, Entebbe), ale także wszystkie aktualne nici (m.in. dokumenty znalezione w zdobytach przez Izrael archiwach palestyńskich w Libanie) prowadzą do wniosku o powiązaniach OWP z ośrodkami szkolenia terrorystów w ZSSR i gdzie indziej na Wschodzie oraz z Czernymi Brygadami, IRA w Irlandii, ETA w Hiszpanii, Rote Armee w RFN i td.

Władza Jaruzelskiego przypomniała sobie po sezonie (w lipcu 1982) o potrzebie dyplomatycznego uznania OWP, tak jakby nie miała w owej właśnie chwili innych dyplomatycznych zmartwień, ale o tym że miała w ręku Abu Dauda, czołowego działacza OWP, oprawcę z Monachium, postrzelonego nieudolnie w lecie 1981 w hotelu „Wiktoria” w Warszawie, gdzie przebywał aby nadzorować transporty broni dla OWP cywilnymi samolotami LOT'u, WRON nie wspomina.

e) Izrael w Libanie praktykuje ludobójstwo wobec Palestyńczyków, mimo że ludobójstwo, mówiąc naukowo (lewicowi publicyści szanują naukową precyzję), zakłada groźbę zniszczenia określonego narodu lub grupy wyznaniowej, a w Libanie mieszka jedynie 1/10 narodu palestyńskiego, reszta zaś znajduje się w Jordanii, Cisjordanii, Arabii saudyjskiej itd.

f) Izrael w Libanie zabija wyłącznie bezbronnych, chociaż w istocie stały naprzeciw siebie dwie armie. Tylko z tego co Izrael już (połowa lipca 82) zdobył i obliczył można uzbroić siedem brygad piechoty, nie mówiąc o czołgach, katuszках itd. W Libanie, w walce z „bezbronnymi” Palestyńczykami zginęło 300 Izraelczyków, a 1.500 zostało ciężko rannych, czyli stosunkowo znacznie więcej niż Brytyjczyków w wojnie z armią, flotą i samolotami argentyńskimi. Storpedowanie przez angielską łódź podwodną argentyńskiego krążownika było aktem heroicznym, usuwającym groźbę dla życia żołnierzy brytyjskich, ale zniszczenie syryjsko-sowieckiej baterii Samów w dolinie Bekaa, chroniących palestyńską artylerię ostrzeliwującą codziennie galilejskie kibuce, było aktem piractwa.

g) Bejrut to getto warszawskie. Jest to klisza wyjątkowo podła, wymyślona przez najbardziej cynicznych, dla użytku najmniej zorientowanych. Kto bronił Żydów z getta warszawskiego, kto wychodził w ich obronie na ulice Paryża czy Londynu, kto przysyłał im broń kupowaną za petrodolary w ZSSR? Czy to o Anielewicza modlił się Papież, czy to na temat kilkudziesięciu więźniów warszawskich kanałów wypowiadały się rady minis-

trów państw zachodnich? ONZ jeszcze nie było, ale jakie to organizacje międzynarodowe zajęły się losem powstańców z getta? Kto w chwili konania getta warszawskiego brał w obronę „ten jeden naród, o który jest za dużo na świecie”, kto wysłał delegacje do dopalającego się getta, które wieściło koniec całej polskiej społeczności żydowskiej z jej historią i kulturą i stało się grobem trzech milionów Żydów?

Na cynizm trzeba odpowiedzieć twardo, ale godnie: w getcie warszawskim nikt nie chował się za dziećmi, w getcie nikt nikomu nie proponował przepustki na wolność, w getcie nie było dziennikarzy z *Times'a* ani amerykańskich kongresmenów, w getcie można było tylko zginąć w walce albo bez walki. Wokół getta był tylko gaz „cyklon” i niemieckie krematoria, a nie, jak wokół Bejrutu, gaz syberyjski i niemiecki gazociąg. W Paryżu, gdzie dziś lewica urządza manifestacje na znak solidarności z OWP, w czasie dogorywania getta odbyła się obława (właśnie minęła 40 rocznica) na Żydów, przeprowadzona przez francuskich żandarmów.

i) Izrael znalazł się w całkowitej izolacji międzynarodowej. Poczekajmy. Zobaczymy. Na razie Izrael robi — mówiąc cynicznie — brudną robotę za zachodnie demokracje i za wszystkie właściwie kraje arabskie. Nikt nie chce w istocie państwa palestyńskiego z Arafatem na czele. Dla Arabów byłoby to manipulowane przez komunistów źródło radykalizmu społecznego, śmiertelnie groźnego dla feudalnych emiratów. Dla Zachodu takie państwo po satelicku związane z Sowietami stałoby się arabską Kubą, stałym zarzewiem destabilizacji w niesłychanie delikatnym rejonie świata. Izrael jest rzeczywiście izolowany, ale tylko na forum ONZ, organizacji, która na 7 lat przed oblężeniem Bejrutu uchwaliła, że syjonizm równa się rasizmowi. Jeszcze nie zginął (od izraelskiej kuli) ani jeden cywil w Libanie, a ONZ już potępiła ludobójstwo uprawiane przez Żydów. Zanim padły strzały w Libanie, Komisja Praw Człowieka ONZ w Genewie zastąpiła, na wniosek demokratycznej Syrii, punkt odnoszący się do gwałcenia praw człowieka w Polsce na (po raz setny) punkt o gwałceniu praw człowieka w Cisjordanii. To dobrze, że Izrael jest w ONZ izolowany, wszystkie demokratyczne kraje są w ONZ i właściwie na świecie w ogóle w coraz większej izolacji.

j) Żydzi sami potępią rząd Begin. To prawda, są tacy Żydzi. (Zawsze byli, taki to naród). I dobrze, że tak jest. Jedni, jak Awneri, robią to systematycznie, ale z przekonania, inni — od sprawy do sprawy — po prostu praktykują demokrację i korzystają z przysługujących im praw obywatelskich i wolności słowa, tych luksusów w jedynym na południe od Morza Śródziemnego państwie demokratycznym. Inni jeszcze robią tak ze służalczości, jak np. dyżurny sowiecki, antysyjonistyczny Żyd, generał Draguński, inni ze strachu, jak np. lekarze żydowscy w ZSSR, którzy potępiłi „spiskowców w białych kitlach”, inni ze zwyczajnej głupoty, jak ci lekarze nie w ZSSR, a we Francji, którzy także potępiłi „trucicieli Stalina”.

Są wreszcie także Żydzi „wstydlivi”, którzy odrzucają syjonizm ze wściekłości czy frustracji. Np. kanclerz Kreisky lub językoznawca Naum Chomski są wściekli (w uproszczeniu), albowiem państwo żydowskie złamało ich i im podobnych sfrustrowanych izraelitów teorię o całkowitej asymilacji jako jedynym „postępowym” sposobie rozwiązania kwestii żydowskiej. To po to, aby się oczyścić ze swego nieczystego pochodzenia, ten żydowsko-austriacki kanclerz, w którego rządzie zasiadali notoryczni hitlerowcy, wprowadził Arafata na europejskie salony i nadał mu glejt politycznego dziewictwa, zaświadczenie o absolutnie nieterrorystycznej przeszłości i prawo wyłącznej reprezentacji interesów wszystkich Palestyńczyków. Paranoja Chomskiego poszła jeszcze dalej: napisał, właśnie on, Żyd, ale lewicowy, przedmowę do książki niejakiego Faurillon, dowodzącego, że krematoria to wymysł żydowskiej propagandy.

Wszystko to zresztą nie nowe. Nie sięgajmy za daleko, ale czyż nie było Żydów w kampanii przeciw Dreyfusowi, lub w kampanii roku 1968 w Polsce? Kanałie dziś wołają, że już się nie solidaryzują z Izraelem. Zapominają jednak, że po to, aby móc się dziś desolidaryzować, trzeba było kiedyś być z nim solidarnym. Pan Krasucki, ten z CGT (komunistyczny syndykat) z Paryża, zasługuje tu na specjalne wspomnienie. CGT, która „gościła” Wałęsę w Paryżu, zabroniła swym członkom noszenia 1 maja 1982 tabliczki „Solidarność z Solidarnością”, ale nakazała noszenie tabliczki „Solidarność z OWP”.

Po czwarte: co?

Jak przełamać siłę tej zbrodni na semantyce? Co robić? Pytanie nie dotyczy dziś języka i brzmi nie „jak przeżyć wojnę?” (w chwili druku tych słów w jakiś sposób — mam nadzieję — będzie ona zakończona), ale jak wygrać pokój. Wspomniany w motto Wiktor Hugo powiedział także, że wojna jest wojną ludzi, a pokój jest wojną idei. Wojna ludzi w Libanie jest skończona, wojna idei powinna się zacząć. Musi to być wojna idei palestyńsko-izraelskich (nareszcie skojarzenie i zbitka prawdziwe) przeciw reszcie świata. Trzeba nareszcie uzmysłwić sobie, że słowo „pokój” brzmi właściwie identycznie po hebrajsku i po arabsku. Z wojny libańskiej obie strony wyszły osłabione. OWP faktycznie przestała istnieć, w każdym razie w swej pierwotnej postaci. Izrael i jego społeczeństwo są w kryzysie moralnym. Potrzebują nowych idei, potrzebują programu.

Nie wiem, czy Begin jest zdolny wypracować realny program pokojowy, ale na pewno nie potrafi uczynić tego Kreisky, Chomski, czy Cheysson. Ani Arafat. Ani poprzebierani cynicy, poeci semantycznych kombinacji, rozmaici Garaudy, autorzy odkrycia, że Golan to Pearl Harbor, a Liban to izraelski Wietnam, wieczni jeńcy „Ideologii”, którą chcieliby spętać resztę świata; wczoraj był to komunizm, dziś jest to trzecioświatowy mesjanizm.

No, a gdyby ktoś jednak chciał spróbować? Gdyby ktoś spokojnie uznał, że wojna może być błyskawiczna, ale pokój nie może być błyskawiczny, że jest rzeczą nieuniknioną, iż z tej wojny muszą wyjść dwa państwa palestyńskie: żydowskie i arabskie, ale bez trzeciego, że przecież w imię pokoju wszystko jest możliwe, tak jak się to okazało po Camp David, kiedy Izrael oddał cały Synaj, bazy, naftę, że oba te państwa skazane będą na współistnienie i to w warunkach kiedy, jakakolwiek byłaby ich granica, rejony przygraniczne i tak będą zamieszkałe przez ludność mieszaną, że więc, jeżeli to wszystko wziąć pod uwagę, to czy nie można by sobie wyobrazić czegoś w rodzaju takiej np. serii równoczesnych lub kolejno po sobie następujących aktów dyplomatycznych i politycznych, ale nie wojskowych, tak aby nareszcie na Bliskim Wschodzie lał się atrament, a nie lała się krew:

a) Konferencja szefów państw arabskich uznaje istnienie państwa Izrael,

b) Izrael uznaje zasadę samostanowienia narodu palestyńskiego,

c) Wszystkie obce wojska wycofują się z Libanu. Liban podpisuje traktat pokojowy z Izraelem. Kontrolę nad przywracaniem normalnej suwerennej państwowości w Libanie sprawuje korpus zagraniczny.

d) Król Jordanii ogłasza się królem Palestyńczyków, Jordania staje się państwem palestyńskim, przecież już dzisiaj większość jej mieszkańców stanowią Palestyńczycy.

e) W państwie palestyńskim ogłasza się referendum na temat jego struktury: monarchia czy republika; potem następują wybory do parlamentu. Obie fazy pod kontrolą międzynarodową.

f) Wybrany rząd jordańskiej Palestyny\* uznaje państwo Izrael

\* Trzeba w tym miejscu przypomnieć, co to była Palestyna. Nikt już nie pamięta, że słowo Palestyna określa terytorium odpowiadające mandatu brytyjskiemu w roku 1923. Jordania i Izrael, sieroty po fatalnej brytyjskiej dekolonizacji, mogą się spierać o linię podziału mandatu, ale Bogiem a prawdą nikt inny nie powinien w tej sprawie w ogóle zabierać głosu. Otóż oba te państwa są głęboko i szczerze przeciwne powstaniu trzeciego państwa na terytorium dawnej Palestyny. Izrael mówi to otwarcie, Jordania skryciej, ale oba państwa pomandatowe wiedzą, że ten trzeci byłby czynnikiem destabilizacji, groźnym w większym zresztą stopniu dla Jordanii niż dla Izraela.

No a ponadto należy spokojnie zauważyć, że inspiratorzy i zwolennicy utworzenia państwa palestyńskiego na terenach Cisjordanii i Gazy nie zapytali nawet obecnych mieszkańców tych ziem, a jest ich nieco ponad milion, czy chcieliby i mogliby przyjąć u siebie, dać pracę, nakarmić, posłać do szkół itd. setki tysięcy, jeżeli nie miliony uchodźców palestyńskich pochodzących z Izraela, a obecnie vegetujących w obozach w Libanie czy gdzie indziej. Prawdopodobnie ani nie mogliby, ani nie chcieliby, już dziś wszakże jeżdżą „na Saksy” do Izraela. Inaczej mówiąc, nawet po zainstalowaniu sztabu OWP jako rządu palestyńskiego w Cisjordanii masy uchodźcze musiałyby żyć nadal w obozach w Libanie. Po co wobec tego państwo w Cisjordanii? Tylko dla Arafata?

i rozpoczyna z nim negocjacje na temat granicy bez żadnych warunków wstępnych z żadnej ze strony. Obie strony uznają, że wszystko jest *negociable*.

g) Bogate państwa Zachodu i naftowe państwa arabskie ogłaszają „plan Marshalla” dla obu państw palestyńskich: arabskiego i żydowskiego. Większość pierwszej fazy nakładów finansowych przeznaczona jest na uruchomienie odpowiednich bodźców i przeprowadzenie dobrowolnej akcji przemieszczenia ludności. Uwaga: nie przymusowego wysiedlenia, a dobrowolnego przemieszczenia. Sceptykom przypominam, że Rosja siłą wysiedliła, a nie dobrowolnie przemieściła kilka milionów Polaków, których powojenna zniszczona Polska jednak wchłonęła i że powojenna Polska siłą wysiedliła, a nie przesiedliła 8 milionów Niemców, których RFN z pożytkiem dla siebie całkowicie wchłonęła. I wchłania nadal tych, którym udaje się „przemieścić”.

Tym, którzy uważają, że jest to nierealne i że akcja taka była możliwa tylko dlatego, iż było to właśnie przymusowe wysiedlenie, a nie dobrowolne przesiedlenie, odpowiadam, że nikt nigdy nie próbował inaczej, że warto może raz spróbować, tym bardziej, że nie ma innego wyjścia. I że — co jest ważne — nie ma żadnego powodu, aby w warunkach pokoju przesiedlenie takie było całkowite. Nie ma rzeczywistego żadnego powodu, dla którego w normalnie funkcjonującym państwowym organizmie palestyńskim nie byłoby miejsca dla normalnie żyjących Żydów, a w normalnie funkcjonującym organizmie izraelskim nie byłoby miejsca dla Arabów\*.

Oczywiście, nie będzie to operacja łatwa. Przede wszystkim przeciwny będzie temu Związek Sowiecki, którego interes polegać będzie jeszcze długo na utrzymywaniu tak na Bliskim Wschodzie co wszędzie zresztą poza swoim blokiem, atmosfery ni wojna — ni pokój, mętnej wody, bagienka nacjonalizmów i szowinizmów. Tutaj USA muszą wziąć na siebie ryzyko powiedzenia „nie!”. Nie ma polityki bez ryzyka, gdzieś musi się skończyć sowiecka zdolność i swoboda szkodzenia. Dla USA lepiej, aby

\* Powstanie dwóch państw palestyńskich — którą to koncepcję wysuwa Leopold Unger — wydaje się nam jedynym realnym rozwiązaniem. Ten projekt był zresztą od lat *idée fixe* redakcji *Kultury*. Jest jednak — naszym zdaniem — jeden słaby punkt w rozumowaniu L. Ungera. Przemieszczenie ludności musi być całkowite, jakby bolesna nie była to operacja. Muszą być zlikwidowane enklawy w rodzaju Gazy, które w przyszłości będą niewątpliwie zarzewiem nowych konfliktów. Przykładem jest konflikt francusko-algierski: dramatyczny egzodus Francuzów z Algieru umożliwił jednak po latach normalizację stosunków między tymi państwami. Izrael ma obecnie na 3,5 mln mieszkańców i tak 500 tys. Arabów a przy wielokrotnie większej rozrodczości arabskiej ta proporcja będzie się pogłębiała. Jeśli miałyby powstać dwa państwa palestyńskie, to ta operacja musi być przeprowadzona konsekwentnie, powiedzielibyśmy — chirurgicznie. Bez tego nie będzie możliwa normalizacja na Środkowym Wschodzie.

To wszystko nie wyklucza w dalekiej przyszłości obecności Palestyńczyków w Izraelu, tak jak np. setek tysięcy Algierczyków we Francji. To będzie problem już tylko ekonomiczny. — REDAKCJA.

stało się to w silnym Izraelu niż nad Zatoką Perską czy w Berlinie Zachodnim.

Mówię wyłącznie o USA, bo na zachodnią Europę nie ma co liczyć. Nawet dla mnie — choć myślałem, że poznałem Zachód — jej stanowisko wobec Izraela w czasie Libanu było zaskoczeniem.

Europa miała wobec Żydów — i słusznie — kompleks winy. To jej cywilizacja zrodziła Hitlera i prawdziwe ludobójstwo. Nikt jednak nie lubi zbyt długo żyć z kompleksem winy. Kiedy więc Żydzi, a raczej Izraelczycy, wyszli ze swej odwiecznej roli kozła ofiarnego, kiedy Izraelczycy brutalnie wymazali kliszę narodu pokornego, słabego i zachowują się jak każdy inny silny naród, wtedy Zachód natychmiast skorzystał z okazji. Koniec — zawołał — z kompleksem winy, Żydzi też zabijają niewinnych, Żydzi stracili monopol na cierpienie. Jak to napisał zgrabnie pewien publicysta belgijski — który mniej wie o ludobójstwie niż ja o problemie flamandzko-walońskim — w Libanie ofiara przemieniła się w kata. Dziś już można legalnie być antysemitą. Koniec rachunku krzywd. Europa jest odkupiona.

Nieprawda. Odkupić winy nasze możemy tylko my sami, nie mogą zrobić tego za nas Palestyńczycy. Ale w tym celu potrzeba prawdziwych ludzi, a nie tylko abonentów gazu.

Leopold UNGER

Pisane 5 sierpnia 1982

P.S. W „widzianym z Brukseli” nastąpi teraz krótka przerwa. Zmieniam na kilka miesięcy nie punkt widzenia, a punkt obserwowania. Jeżeli mi się uda, to następne „Widziane” będzie z Waszyngtonu.

L. U.

## Kościół ukraiński widziany z Rzymu

Nowy pontyfikat otworzył nowy rozdział w dziejach Katolickiego Kościoła Ukraińskiego. Zmienił się przede wszystkim klimat psychologiczny. Sądzę, że ogólna sytuacja tego Kościoła Partykularnego byłaby dzisiaj jeszcze lepsza gdyby nie zahamowanie przemian w Polsce na skutek wprowadzenia stanu wojennego. I to nie tylko z punktu widzenia położenia mniejszości ukraińskiej w PRL, ale i sytuacji kościelnej tego obrządku w

ogóle. Jan Paweł II w swych aktach i wystąpieniach uznał prawo katolików ukraińskich obrządku wschodniego do „zachowania własnej tożsamości narodowej i własnego dziedzictwa duchowego”. Wyszedł naprzeciw postulatam biskupów ukraińskich, które w ciągu poprzednich pontyfikatów nie mogły być zrealizowane. Napotykały na przeszkody nie tylko w postaci subiektywnego nastawienia w Kurii Rzymskiej, ale i w samym profilu tych pontyfikatów. Zmiany te dotyczą także płaszczyzny dyplomatycznej. W tzw. watykańskiej *Ostpolitik* skończył się priorytet nadawany układom i stosunkom instytucjonalnym z rządami komunistycznymi. Zaczęła natomiast obowiązywać zasada paralelizmu. Co to znaczy? Postępy w normalizacji stosunków między Stolicą Apostolską a danym rządem muszą być zharmonizowane, zestrojone z postępami w położeniu danego Kościoła lokalnego i jego stosunków z odnośnymi władzami państwowymi. Dialog — w optyce pontyfikatu Jana Pawła II — jest możliwy jeśli zachodzi spójność hierarchii i jedność działania danego Kościoła. Kiedy w czasie pontyfikatu Pawła VI, dialog ograniczał się do kontaktów dyplomatycznych zwyciężali komuniści i istniała zawsze obawa, że Watykan przejdzie ponad głowami danego episkopatu w celu osiągnięcia kompromisu z władzą świecką. Jan Paweł II ustalił wytyczne dla dyplomacji watykańskiej uniemożliwiające kontynuowanie tej praktyki, a więc pojawianie się tego niebezpieczeństwa. Nastąpiło dowartościowanie Kościołów lokalnych, a także obrządków wschodnich, znajdujących się w unii ze Stolicą Apostolską. Postulat wolności religijnej stawiany jest obecnie — nie tak jak dawniej w sposób oderwany i samoistny — ale stanowi integralny składnik praw człowieka i swobód obywatelskich w ogólności.

Jan Paweł II podjął przede wszystkim decyzję mającą na celu wprowadzenie ustroju synodalnego w Kościele ukraińskim po to, by hierarchia i wierni mogli znaleźć warunki dla zjednoczenia. W czasie poprzednich pontyfikatów synody ukraińskie w Rzymie nie miały aprobaty Stolicy Apostolskiej — nie miały ważności kanonicznej. Miały poniekąd charakter konspiracyjnych zebrań, stanowiących rodzaj wyzwania pod adresem Kurii Rzymskiej. Jan Paweł II, zwołując najpierw Synod nadzwyczajny, a potem dając swą aprobatę na zwołanie Synodu zwyczajnego, usankcjonował tym samym autonomię Kościoła ukraińskiego. Po raz pierwszy Synod biskupów ukraińskich zebrał się jako najwyższy organ Kościoła z pełną ważnością kanoniczną. Stanowisko Papieża oznacza faktycznie podwójne uznanie dla tego Kościoła. Po pierwsze: zabezpieczenie prawa do egzystencji z własnym obrządkiem i do jedności własnej hierarchii. Jest to aspekt niestychanie istotny (a jak mi się wydaje niedostatecznie doceniany przez świeckich działaczy ukraińskich), choćby z uwagi na to, że władze sowieckie uważają ten Kościół za nieistniejący, a więc nielegalny. Po drugie: potwierdzenia ciągłości hierarchicznej w związku z uprzednim rozwiązaniem sprawy sukcesji Kardynała Slipyja jako Abpa Większego Lwowa. Nie-

mniej ważne są wszystkie inne akty Papieża bezpośrednio lub pośrednio zwrócone ku zagwarantowaniu Kościołowi i wspólnocie ukraińskiej w diasporze nie tylko możliwości przetrwania, ale także rozwoju kanonicznie uregulowanego. Papież oświadczył kiedyś, że czuje głęboko „solidarność pomiędzy dwoma narodami słowiańskimi, Polakami i Ukraińcami, które tyle przecierpiały za swą wierność chrześcijaństwu i Stolicy Apostolskiej”. Papież dał wyraz swym uczuciom i trosce o instytucjonalne wzmocnienie autonomii Kościoła Ukraińskiego m.in. w listach do Kardynała Slipyja z okazji ostatnich świąt Bożego Narodzenia i w przesłaniu przeczytanym po ukraińsku przez Kardynała Rubina w dn. 17 lutego w bazylice św. Sofii z okazji jubileuszu 90-lecia urodzin Kardynała Slipyja.

Kilka słów na temat sytuacji Kościoła Ukraińskiego w Polsce. Chodzi mi o rozwianie nieporozumień i nieścisłości jakie ta kwestia budzi na emigracji. Od sierpniowych wydarzeń w Gdańsku 1980 roku przez cały okres procesu odnowy aż do puczu wojskowego mieliśmy do czynienia ze znacznym ożywieniem wśród Ukraińców zamieszkałych w Polsce. Rozpoczęli oni również rewindykowanie swych praw: prawa do korzystania z pełnej wolności w dziedzinie religijnej, społecznej i kulturalnej. Październikowy numer paryskiej *Kultury* z ub. roku przynosi szereg dokumentów wśród których artykuł który ukazał się na łamach *Tygodnika Solidarność*. Artykuły solidaryzujące się z postulatami ukraińskimi ukazały się także w *Tygodniku Powstępczym* oraz w piśmie katolickiej młodzieży *Spotkania*, wychodzącym w Lublinie poza zasięgiem cenzury. Kler i wierni przesiedleni na Ziemię Zachodnie domagali się uprawnień dla własnego obrządku — nie tylko tolerowania tych uprawnień w praktyce dzięki życzliwej postawie Episkopatu i duchowieństwa polskiego. Episkopat polski poparł przedłożony w Sejmie projekt legalizacji obrządku greko-katolickiego i ormiańskiego. Przewidywano, że po tej legalizacji Papież mianuje wikariusza generalnego biskupa ukraińskiego jednym z koadiutorów Abpa Glempa, Prymasa Polski. Rozpoczęło się zwracanie cerkwi unickich — niektóre z nich były przejęte przez Kościół polski tylko dlatego, by je zabezpieczyć od rabunków i zniszczeń, np. na terenie diecezji przemyskiej i administracji apostolskiej w Lubaczowie. W sierpniu ub. roku odbył się wielki obchód w Wambierzycach na Dolnym Śląsku, w którym uczestniczyło kilka tysięcy katolików ukraińskich. W nabożeństwie koncelebrowanym przez wikariusza generalnego mistrata Dziubinę wzięli udział m.in. kard. Rubin z Rzymu i abp Gulbinowicz, metropolita wrocławski. Nie zamierzam niczego upiększać, bo nie wszystko szło gładko. Były przypadki — jeśli chodzi o oddawanie cerkiew — gdzie nie wykazano należytej wrażliwości. Dzięki jednak postawie i presji biskupów ograniczono takie wysoki. Były ponadto przypadki, że niektórzy proboszcze we wschodnich rejonach pogranicznych zajęli stanowisko ultranacjonalistyczne. Trzeba jednak brać pod uwagę że szowinistyczna propaganda antyukraiń-

ska, która przez tyle lat zatruwała polskie umysły, pozostawiła ślady. Znaczna większość studentów i inteligencji oraz działaczy związkowych zajęła jednak stanowisko otwarte i pozytywne wobec tzw. kwestii ukraińskiej.

Każdy postęp — wracam do mego rzymskiego punktu obserwacyjnego — zwłaszcza w naszych burzliwych czasach, napotyka na trudności i przeszkody. Kwestia ukraińska w jej wymiarze katolickim, widziana z Rzymu, jest uwikłana w podwójne uwarunkowanie: dyplomatyczno-polityczne i ekumeniczne. Przywódcy sowieccy są przewrażliwieni i bardzo czujni wobec każdego aktu ze strony Stolicy Apostolskiej, który oznacza potwierdzenie osobowości, tożsamości grup etnicznych lub religijnych w ZSSR innych niż Rosjanie i prawosławni. Dyplomacja watykańska dąży przede wszystkim do poprawy położenia katolików obrządku łacińskiego w ZSSR (temu służy pośrednio dialog ekumeniczny z Patriarchatem rosyjskim). Stara się więc o unikanie wszystkiego co mogłoby nadmiernie prowokować przewrażliwienie i irytację Moskwy, zwłaszcza jeśli chodzi o sytuację ukraińskich katolików obrządku wschodniego. Kiedy Jan Paweł II wezwał wiernych ukraińskich 17 lutego 1980 roku do nie tracenia nadziei, podnosząc ich wierność dla własnej tożsamości duchowej i tradycji, powiedział równocześnie, że „ta tożsamość nie powinna stanowić oznaki antagonizmu wobec naszych braci prawosławnych”. Innymi słowy, nie powinna przeszkadzać dialogowi ekumenicznemu. Niestety ten dialog jest pojmowany w sposób odmienny przez Stolicę Apostolską i przez prawosławnych biskupów rosyjskich. Przedstawiciele Patriarchatu rosyjskiego są zainteresowani w spotkaniach z delegatami Stolicy Apostolskiej na płaszczyźnie wielostronnej (np. w ramach Komisji Teologicznej katolicko-prawosławnej). Kiedy jednak spotykają się na płaszczyźnie jedynie bilateralnej (w Rzymie bądź w Moskwie) reagują z irytacją na każdy przejaw ewolucji w Watykanie na rzecz praw katolików ukraińskich.

Stolica Apostolska, znając słabość i lekliwość rosyjskiej hierarchii prawosławnej, która w znacznej mierze utraciła twarz wobec własnych wiernych na skutek podporządkowania się władzy świeckiej, chciałaby pośrednio — poprzez Sekretariat dla Jedności Chrześcijan — wzmocnić autorytet rosyjskiego prawosławia i pomóc mu w uzyskaniu pewnego choćby marginesu wolności. Uczynić go bardziej wrażliwym na zjawisko rozbudzenia religijnego i na postulaty grup kontestujących postawę hierarchów. Trzeba przyznać, że w komisji mieszanej przedstawiciele watykańskiego Sekretariatu natrafiają na duże trudności w doprowadzeniu do konkretnych rezultatów w dialogu ekumenicznym. Wydaje się, że nieraz łudzą się, iż mogą kontynuować wysiłki dla osiągnięcia zbliżenia pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem, utrzymując postawę ustępliwą wobec Patriarchatu rosyjskiego i dając się nadmiernie uwarunkowywać przez postępowanie przedstawicieli tego Patriarchatu, które faktycznie sprawdza się do ultimatum o charakterze szantażowym: albo usu-

niecie cierń unicki albo dialog znajdzie się w impasie. Na tym tle łatwo zrozumieć słynny list Pimena do Papieża. Nie było rzeczą przypadkową, że wymiana listów została ujawniona w Moskwie, choć miała charakter poufny. Przyczynili się jednak do tego sami przedstawiciele Kościoła Ukraińskiego, którzy ujawnili treść uchwał Synodu biskupów przed aprobatą Papieża. Odpowiedź Jana Pawła II na list Pimena była ostrożna i dyplomatyczna, o czym w swoim czasie pisałem na łamach *Kultury*, ale chyba nie pozostawiła wątpliwości co do rzeczywistych intencji i stanowiska Papieża. Kardynał Slipij w swej deklaracji z czerwca ub. roku mógł zatem wyrazić zadowolenie, że Papież potwierdził zdecydowane stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec praw katolików ukraińskich. Głównym motywem kontestacji Pimena jest uroczysta deklaracja rzymskiego Synodu ukraińskiego na temat nieważności tzw. „Lwiewskiego Sobora” w 1946 roku. Ta deklaracja jest prawomocnym dokumentem z punktu widzenia prawa kanonicznego i została uchwalona, wraz z pozostałymi dokumentami, w obecności Kardynała Rubina jako osobistego reprezentanta Papieża. Mimo skargi Pimena i dalszych nacisków stanowisko Watykanu w tej sprawie nie uległo zmianie.

Dialog ekumeniczny będzie i powinien być kontynuowany, ale jeśli ma być szczerzy i rzetelny nie może być — jak stwierdza słusznie Kardynał Slipij — przeprowadzany z uszczerbkiem dla prawdy i ze szkodą dla niezbywalnych praw katolickiej wspólnoty ukraińskiej. Papież uważa jednak, że pełne urzeczywistnienie postulatów katolików ukraińskich wymaga stopniowej realizacji i brania pod uwagę wszystkich okoliczności historycznych, prawnych i politycznych. Rozwiązanie ostateczne, tzn. zatwierdzenie ustroju patriarchalnego istniejącego w innych Kościołach Wschodnich pozostających w unii z Rzymem, może nabrać form konkretnych wtedy — kiedy stosunki pomiędzy Stolicą Apostolską i Rosyjskim Patriarchatem Prawosławnym z jednej strony, a stosunki z Moskwą na płaszczyźnie dyplomatycznej z drugiej strony wykażą wyraźne odczuwalny postęp. Paweł VI powiedział w roku 1969, że tytuł Patriarchy (dla Głowy Kościoła Ukraińskiego) „nie może być udzielony w obecnej koniunkturze”. Oznacza to, że rozstrzygające są rachuby polityczne, a nie spory o charakterze eklezjologicznym, historycznym i prawnym. Mimo to zajmę się pokrótce tymi ostatnimi aspektami. Niektóre ukraińskie dokumenty kościelne i działacze ukraińscy na emigracji wysuwając postulat uznania tytułu patriarchy, wychodzą z założenia, że faktycznie on istnieje choć ogranicza się do liturgii i pism wewnątrz-kościelnych o charakterze nie prawno-kanonicznym. Chodzi im o uznanie *de iure* i argumentują to następująco:

1. W razie odzyskania niepodległości przez Ukrainę pomoże to katolikom w utrzymaniu jedności ze Stolicą Apostolską zanim Patriarcha ekumeniczny Konstantynopola obdarzy tytułem patriarchy metropolitę prawosławnego Kijowa.

Otóż z historyczno-kościelnego punktu widzenia najpierw mu-

siałyby powstać autokefalia prawosławnej metropolii kijowskiej (były dwie próby powołania jej do życia, jedna w roku 1917 — druga w latach późniejszych — nie miały jednak podstaw kanonicznych). Patriarchat Moskwy i Całej Rosji strzeże dziś zażdośnie swej hegemonii. Gdyby taka możliwość nastąpiła, to prawo do tytułu patriarchy miałyby jednak metropolita Kijowa, a nie Abp Większy Lwowa. W liście pasterskim Kardynała Sliipyja do biskupów i wiernych na Ukrainie i w diasporze z okazji 90-lecia urodzin mieści się pewna sprzeczność. Z jednej strony kardynał Sliipyj wyraża zadowolenie z nominacji koadiutora dla Arcybiskupa Większego Lwowa, co zabezpiecza sukcesję i ciągłość hierarchiczną — z drugiej zaś strony wzywa do modlitwy za „patriarchę Kijowa i całej Rusi i w przyszłości za dotąd anonimowego i nieznanego. Przyjdzie czas kiedy Bóg go ześle dla naszego Kościoła i ujawni jego nazwisko” (tłum. z angielskiego). Tę sprzeczność być może da się wytłumaczyć tym, że przed aresztowaniem kardynała Sliipyja jego jurysdykcję Watykan rozciągnął tymczasowo na teren Rusi kijowskiej. W każdym razie w Watykanie wytknięto tę sprzeczność, wychodząc z założenia, że rozciągnięcie tytułu Patriarchy na Kijów i Ruś nie ma podstaw historycznych i prawnych, nie mówiąc już o tym że nie istniały tam nigdy legalnie uznane struktury Kościoła unickiego (były jedynie na terenie Galicji wschodniej).

2. Drugi wysuwany argument dotyczy dekretu II Soboru Watykańskiego o Kościołach Wschodnich. Stwierdza on, że tytuł Patriarchy przysługuje w przypadku jurysdykcji terytorialnej. Równocześnie jednak stwierdza, że Abp Większy lub Patriarcha jest Głową terytorium lub obrządku. O tym, że jest też mowa o obrządku rusofile zapominają. Tak twierdzą rzecznicy tezy ukraińskiej.

Otóż faktycznie atrybuty Arcybiskupa Większego są zrównane z Patriarchą. W dotychczasowej praktyce wobec płynności terytorialnej i jurysdykcyjnej istnieją różne interpretacje Dekretu soborowego o Kościołach Wschodnich. Raz punkt ciężkości jest stawiany na terytorium, drugi raz na obrządek lub też na osobę.

Według interpretacji watykańskich — nazwijmy je „niezyczliwymi” — dla postulatów katolików ukraińskich, domagających się uznania ustroju patriarchalnego, Patriarcha na czele obrządku stanowi deformację prawno-kościelną. Biskup musi mieć bowiem jurysdykcję na danym terytorium. Zarzuca się katolikom ukraińskim w diasporze, że zastosowali uniwersalne pojęcie obrządku wbrew eklezjologii wschodniej, która — jeszcze raz podkreślam — *unifikuje* terytorium i obrządek. Natomiast według innych interpretacji — „życzliwych” dla sprawy unitów ukraińskich — tak duża grupa ok. 4 milionów wyznawców (nieporównywalnie większa od szczątkowych katolickich wspólnot wschodnich na Bliskim Wschodzie — oprócz maronitów) zasługuje na uznanie ustroju patriarchalnego *de iure*. Droga więc nie jest zamknięta.

Dominik MORAWSKI

## Polemiki

### Odpowiadam na zarzuty

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem Panu bardzo wdzięczny za to, że na wiadomość o moim pobycie w Londynie zechciał Pan przesłać mi w celu zapoznania się z nimi listy polemiczne na temat mego artykułu „Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy”, które otrzymała *Kultura*.

Jestem w kłopotcie, nie dysponując tu mymi notatkami i kartotekami — muszę ograniczyć się do odpowiedzi w sprawach ogólnych. Obawiam się również, że po powrocie do kraju nie będę mógł uzupełnić tej luki, bowiem wracam na swój proces związany z oskarżeniem o kierowanie strajkiem w Ursusie 14-15. XII. 1981.

Na niektóre uwagi — a może nawet listy — odpowiadać właściwie nie powinienem, a to z powodu tego, że są nieprzyzwoite. Np. p. Z. Jasińczyk-Jabłońska pisze: „Pan, jako Polak (?)...”. Ciekaw jestem, dlaczego przyznała ta Pani sobie prawo postawienia tego znaku zapytania? Mam już za sobą nie tylko 56 lat życia, ale i kawał biografii: Szare Szeregi, pułk „Baszta” Armii Krajowej. Walczyłem w Powstaniu Warszawskim, byłem ciężko ranny, jestem inwalidą, odznaczony zostałem Krzyżem Walecznych. Do dzisiejszego dnia płacę niemałą cenę zdrowia i konieczności permanentnego leczenia się z tych powodów. Był to zapewne jakiś tam egzamin z patriotyzmu, który teraz, jak się okazuje, mam zdawać przed Panią Jasińczyk-Jabłońską, surowym i według własnego jej mniemania (może słusznego) kompetentnym egzaminatorem. Później w niekrótkim już życiu też kierowałem się m.in. tym motywem, walczyłem jak umiałem przeciw zniewoleniu narodu, nigdy nie kolaborując — ale może lepiej byłoby dla mnie na to się nie powoływać, bo być może Pani Jasińczyk-Jabłońska ocenia te późniejsze moje boje negatywnie.

Ale mimo wszystko gotów byłbym odpowiedzieć w miarę

swych umiejętności, chowając obrazę do kieszeni i nadstawiając drugi policzek. Niestety jednak nie rozumiem, o co Pani Jabłońska chodzi. Np. co Pani Jabłońska miała na myśli, pisząc w związku z tytułem mojej pracy: „Komu i na co potrzebne są dwie ojczyzny? Żeby siedzieć na dwóch stołkach i manipulować nimi w razie potrzeby?”. Obawiam się, że Pani Jabłońska w ogóle nie rozumiała w tym co najmniej punkcie mego tekstu, oceniając go zarazem w ten sposób: „Ot, tak sobie się głądzi”.

Mimo wszystko o trzech postawionych przez Panią Jabłońską sprawach mogę chyba coś powiedzieć, bo rozumiałem.

1. Sprawa Czechów. Zapewniam Autorkę listu, że w roku 1968 byli w Polsce ludzie, którzy akceptowali inwazję. Nie była to na szczęście większość, ale zbyt dużo. Powody tego były dwa: telewizja zawróciła im w głowie straszakiem zachodni-niemieckiej interwencji w Czechosłowacji, a Czechów nie znosili. Zaledwie garstka ludzi znalazła w sobie dość przekonania i odwagi, by przeciwstawić się, ratując honor Polaków: Jerzy Andrzejewski i Zygmunt Mycielski w swych listach otwartych do Czechów — i garstka studentów ze swymi ulotkami; ci zapłacili za to więzieniem. Nic nie pomoże usprawiedliwienie się, że to „gienieraty” — jeśli nic się samemu nie zrobiło przeciw.

2. Antysemityzm. Z pewnością nie jest to dominująca postawa Polaków, niestety, zbyt częsta, jak na mój gust. Czyżby Pani Jabłońska nie czytywała ani krajowej prasy oficjalnej (szczególnie w roku 1968, ale i dziś), ani nie słyszała o niektórych publikacjach niecenzurowanych? Doprawdy, brak kompetencji to może nie tytuł do polemizowania.

3. Łemkowie. Pisze Pani Jabłońska, że to nie Polacy, a reżym komunistyczny ich wygnał. To nie takie proste. Uczciwy Polak w czasie drugiej wojny światowej nie brał mienia pożydowskiego. Mienie połemkowskie — to przyczyna, dla której nie tylko „reżym” przeszkadza Łemkom wrócić do ojczyzny.

W liście Pani Jabłońskiej, który moim zdaniem (muszę być szczerzy) nie jest ani kulturalny, ani na dostatecznym do poruszania bardzo poważnych problemów poziomie intelektualnym, jest jedna teza, z którą się zgadzam. Że można by podobnie pisać o megalomanii i ksenofobii różnych narodów, wielu narodów. Chciałbym, by w każdym z tych narodów znaleźli się tacy, którzy by to robili. I często znajdowali się.

Pan Stefan Marcinkowski w swym liście przynajmniej nie obraża mnie, za co dziękuję, ale źle mnie rozumie. Zarzut jego, że dużo piszę o winach Polaków, a mało o niemieckich, jest nieprawdziwy. Winę Polaków widzę tylko w związku z wysiedleniami, polegała ona na skrzywdzeniu wielu niewinnych i jeszcze większej ilości mało winnych — podczas gdy Niemcom wyliczyłem długi szereg win, od średniowiecza. Widzę w tym interesu-

jący przykład tego, do jakiego stopnia emocje przeszkadzają w rozumieniu tego, co się czyta. Ale to mniej ważne. Istotniejsze, że nie rozumiał Pan myśli przewodniej tekstu. A jest nią przeświadczenie, że choćbyśmy my, Polacy, mieli na sumieniu wobec któregoś narodu na ziemi małą winę historyczną — winniśmy ją sobie wytknąć, i co więcej przyznać się do niej wobec pokrzywdzonych, a to dla własnego moralnego dobra. Choćby nawet skrzywdzony skrzywdził nas stokrotnie. Natomiast nie można usprawiedliwiać zła komuś wyrządzonego tym, że tamten skrzywdził nas stokrotnie więcej.

Wszystko, co napisał Pan Marcinkowski o wysiedlaniu Polaków przez Niemców — jest słuszne. Wiem o tym, gdyż m.in. ofiarą takich wysiedleń padli moi dziadkowie. Mógłbym nawet, gdybym miał zamiłowanie do erystyki, wypomnieć Panu Marcinkowskiemu, że nie wspomniał np. o mordowaniu Polaków przez Niemców. Bo w niczym by to nie zmieniło sprawy...

Trochę natomiast ubawiło mnie, że zdaniem Autora listu nie dostrzegam roli władz PRL w opuszczaniu Polski przez Mazurów i Warmiaków. To świadczy naprawdę o silnej reakcji emocjonalnej. Uprzejmie proszę przeczytać jeszcze raz mój tekst. Może coś znajdzie się na ten temat.

Nieporozumieniem jest uwaga, że szturm germanizacyjny w XIX i XX wieku dotyczył nie tylko Śląska, lecz i Wielkopolski. To prawda, ale moje rozważania dotyczyły tylko Ziemi Odzyskanych! Czy Pan Marcinkowski tego nie dostrzegł?

Nieszczęsna sprawa *Drang nach Osten*. Jak to się stało, pisze Pan Marcinkowski, że po 1795 roku Prusacy znaleźli się w Warszawie? A jak się stało, że w 1871 znaleźli się w Alzacji i Lotaryngii? *Drang nach Westen*? Nieco wcześniej w Szlezewiku-Holsztynie? *Drang nach Norden*? A w 1938 w Wiedniu? *Drang nach Süden*? A skąd Chrobry wziął się w Miśni i Pradze? *Drang nach Westen*?

Twierdzenie, że istniała ideologia *Drang nach Osten*, świadomość strategiczna kierunku ekspansji — wymaga dowodów takich, jak każda teza w historii idei i świadomości zbiorowej: powołania się na teksty, czy bardziej pośrednie dokumenty. Ideologia *Drang nach Osten* jest faktem historycznym, o tym piszę — lecz dopiero od XIX wieku, i to nie od początku.

Pisze Pan Marcinkowski, że przestanki do pojednania narodów polskiego i niemieckiego winny obowiązywać obie strony. Podpisuję się pod tym obydwoma rękoma — i nie tracę nadziei. Ponieważ jestem stroną polską — zajmuję się tym, co do mnie należy, wierząc, że znajdują się Niemcy, którzy podobnie wypełnią swój obowiązek. A jeśli się tacy nie znajdują? Byłoby to smutne, ale uważam, że i tak winniśmy aż do końca zrobić swój rachunek sumienia. Zrobić go należy dla własnego dobra.

Moje oczekiwania i nadzieje kierują się nie tylko pod adresem Niemców, ale wszystkich innych narodów, które mają cokolwiek wobec Polaków na sumieniu.

Uważam natomiast, że przyjęcie z radością i pochwałami



moich uwag o winach polskich, a jednocześnie nie zająknięcie się nawet o winach własnych byłoby po prostu nieuczciwością ze strony publicystów tych narodów, z którymi w dziejach mieliśmy coś na pieńku — i byłaby to zła przysługa wyrządzona przyszłemu pojednaniu.

Rozczarowała mnie na ogół, muszę przyznać, niemiecka reakcja na mój artykuł i inne gesty, czynione przez Polaków. Mogłem oczywiście coś przegapić, przebywając prawie pół roku w więzieniu. Ale przyjeżdżam na badania i kurację do Londynu — i od razu na wstępie trafia do moich rąk artykuł Otfrieda Henniga, członka Bundestagu, ustosunkowującego się do „Polskiego apelu do Niemców” w *Deutschland Magazin* z 1. VI. 1982. Najkonkretniejsze zdanie tej wypowiedzi brzmi: „Kwestia granicy między Niemcami i Polską jest otwarta. Nikt dotąd nie miał uprawnień, by uznać granicę na Odrze i Nysie jako ostateczną granicę wschodnią Niemiec”.

Otóż w tym miejscu trzeba wyraźnie i do końca dopowiedzieć parę spraw, które zresztą wynikają jasno z mego artykułu.

Przed wszystkim raz jeszcze muszę powtórzyć jego tezę fundamentalną, której nie chcę zauważać moi polemici, przeważnie w wyniku złej woli, ale niejednokrotnie z emocjonalnie zdeformowanej lektury mego tekstu. Nie może być tak, że gdy dwóch zbirów napadnie jakiś naród — wszystkie koszty tego, co się stało, mają być płacone przez napadniętego. W wyniku drugiej wojny światowej, rozpętanej przez Niemcy wsparte przez ZSSR (pakt Ribbentrop-Mołotow) — nie tylko miliony polskich obywateli utraciły życie, a cały naród poniósł potworne straty materialne — lecz również miliony obywateli zostały pozbawione swej ojczyzny na dawnych wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Gdzieś ci Polacy musieli znaleźć miejsce do życia. Stało się to kosztem Niemców, często (choć nie zawsze) z ich krzywdą. Nie uważam np. za skrzywdzonych ani tych, którzy brali udział w eksterminacji, ani tych, którzy udzielali jej poparcia organizacyjnego, moralnego lub jakiegokolwiek innego. Ale byli, jestem tego pewien, i inni. Dlatego jestem pewien, że skrzywdziliśmy wielu (choć nierówny to rachunek krzywd). Winniśmy to wyznaczyć i dać skrzywdzonym satysfakcję moralną (którą — takie jest życie — będą próbowali zagarnąć sobie na swój rachunek i dla swych celów ci, których za skrzywdzonych nie uważam, co więcej, zaczną oni właśnie myśleć, jak tu wystawić Polakom rachunek).

Pytam jednak tu Pana Henniga (czy będzie miał okazję to przeczytać?), jak sobie wyobraża konsekwencje swego stanowiska, że kwestia granicy jest otwarta? Czy chce ją przesunąć? Co chce zrobić z zamieszkałymi tam Polakami? Dlaczego sądzi, że krzywda Polaka, który by padł ofiarą „otwartej kwestii granic”, byłaby mniejsza niż Niemca, który swą krzywdą płacił cenę za czyny swych rodaków? Proszę policzyć: dwudziestoletni żołnierz, który zdemobilizowany osiedlał się nad Odrą w roku 1945 — ma dziś 57 lat. Jego dzieci tam się urodziły, nad Odrą. Są

dorośle — jak moje dzieci. Same już niejednokrotnie mają dzieci, które chodzą do szkoły. Najstarsze z nich za kilka lat zaczną zakładać swe rodziny. Ich można krzywdzić, prawda? Bo to nie ich ojczyzna zapewne — zdaniem pana Henniga? Dokąd chce on ich przesiedlać? Czy naprawdę rachunki niemieckie wobec Polaków są tak znikome, że należy myśleć dziś o ich powiększeniu przez wrywanie z korzeniami milionów dzisiejszych mieszkańców ziem nad Odrą i Nysą? Jak to miałyby być robione? Przez kogo i jakimi metodami? Może już znanymi Polakom? Sądzę, że nie tylko Polacy, lecz i uczciwie myślący Niemcy nie wyraziłoby na to zgody. Może już czas przestać okazywać nadmierną łatwość w projektowaniu wykorzeniania milionów ludzi i przrzucaniu ich z miejsca na miejsce — co z taką łatwością robiono z Polakami od 1939 roku? Może Europa powinna już zapomnieć o tej zmurze?

Polemizuje ze mną również pan Józef Łobodowski. Nie odpowiem mu z głowy co do Wielkich Łuk, mam nadzieję, że uda mi się to zrobić, gdy wrócę kiedyś do swych kartotek.

Natomiast nie zgadzam się z nim w następujących punktach:

1. „Istotnie, Jaćwież została niemal w całości zlikwidowana 'ogniem i mieczem', ale było to plemię zbójcekie” — czytam. No, ładne rzeczy! To i Prusów zapewne słusznie Krzyżacy załatwili? I Litwinom (por. „Stary Budrys trzech synów...”) by się pewnie należało? No i Wikingom ze Skandynawii? Na pewno Tatarom? Węgom, którzy byli kiedyś postrachem średniowiecznej Europy? I komu jeszcze?

2. Saragossa. O Boże, jeśli to, że „sytuacja Polski była wtedy skomplikowana” ma uchylić słowo „hańba” wobec tego, co się działo wówczas w Saragossie — to może umówmy się, że w ogóle przestaniemy cokolwiek oceniać z punktu widzenia moralnego.

3. Wajda i Saragossa. Co ma Rafał Olbromski na śnieżnej równinie do problemu Saragossy? Nic! Natomiast w scenach z Saragossy Wajda raczej ujął niż dodał. No, może dodał jedno ujęcie plastyczne z Goyi, ale nie przeciw Żeromskiemu!

4. Bajonetaż na San Domingo. Nie wiem, czy był rzekomy, czy nie. I może źle pamiętam „Popioły”, a nie mam ich tu pod ręką. Umówmy się, że Pan Łobodowski i ja weźmiemy książkę do ręki, sprawdzimy, co opowiada stary legionista Krzysztofowi i Rafałowi, a jeśli nie będzie bajonetażu (lub rozstrzelania), to ja napiszę do *Kultury*, iż Wajda to wymyślił; jeśli będzie — Pan Łobodowski przeprosi Wajdę, niezależnie od tego, jak piękna była Murzynka z Dominikany o mazowieckim nazwisku.

5. Czarniecki: „wsi za wsią, aż do niemowlęcia, nie mordo-

wano". To przykra sprawa ocenzenia przez prof. Konopczyńskiego hasła „Czarnecki” w „Polskim Słowniku Biograficznym”. Profesor Kersten (wówczas jeszcze dr Kersten) w Klubie Krzywego Koła stoczył na ten temat spór z paroma historykami (pamiętam tylko, że był tam m.in. Lewak). Proszę po informację do niego.

6. Rajd Czarnieckiego spowodowany był rzezią pod Batohem. Być może. Jeśli jedna rzeź może być usprawiedliwieniem drugiej, to racja jest po stronie pana Łobodowskiego, jeśli nie — to po mojej. Natomiast Pan Łobodowski, pisząc „jak już opowiadać te ponure dzieje — to dokładnie, nie pomijając szczegółów, które często bywają zasadnicze” — dowiódł, że nie rozumie, o co mi w ogóle chodzi. A chodzi mi o to, że chcę doprowadzić do sytuacji, i może mi się uda, że o rzezi pod Batohem przeczytamy w *Kulturze* nie w artykule p. J. J. Lipskiego, lecz któregoś z ukraińskich historyków.

7. *Pflug* — etymologia sporna. Ale być może, że Niemcy wzięli to słowo od Polaków. Pan Łobodowski znowu czegoś nie zrozumiał. Nie było powodu, bym zaznaczał zapożyczenie tego słowa przez Niemców, gdyby nawet tak było. To że Niemcy coś ewentualnie od nas przejęli nie jest odpowiedzią na pytanie, czy doznawaliśmy od nich tylko złych rzeczy, czy i dobrych. To w ogóle inny temat. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia dla publicysty, niż pisanie nie na temat?

8. Grunwald czy Legnica? Jeśli będziemy sobie rozbijać cerepy, symbolem będzie Grunwald. Jeśli uda się doprowadzić do pokoju i współpracy między tymi dwoma narodami — symbolem będzie Legnica. Pan Łobodowski pisząc „Wolne zarty!”, daje wyraz przekonaniu, że możliwy jest tylko pierwszy wariant. Ja obydwa uważam za możliwe, a drugi, legnicki, za pożądany.

9. Krzyżaków było mało pod Legnicą itd. Uważam Pana Łobodowskiego niewątpliwie (w odróżnieniu od siebie) za wielki autorytet w dziedzinie historii wojskowości w średniowieczu, ale mnie ten temat mało interesuje. Bardziej interesuje mnie, czy razem walczyliśmy przeciw Mongołom, czy nie. Polaków też było mało w wojnie Stanów Zjednoczonych o niepodległość — i kto wie, może bez Pułaskiego i Kościuszki też by się wyzwolili. Niewykluczone, że jakiś dowcipny amerykański publicysta to napisze. I co z tego?

10. Problem etniczności Henryka Pobożnego zostawiam Panu Łobodowskiemu, któremu zapewne zwierzał się w tej sprawie zainteresowany (*à propos*: w jakim języku mówiło się w tym czasie na śląskim dworze?).

11. Gdańsk i jego los na początku XIV wieku. Gustaw von

Kohler słusznie w swej „Geschichte der Festungen Dantzig und Weichselmünde” źle się wyraził o Wielkim Mistrzu, Heinrichu von Plotzke, polecam Kohlera jako wzór. Rzeczywiście, Wielki Mistrz był draniem: zajął podstępem Gdańsk, fałszywie oskarżył i stracił szesnastu polskich rycerzy i zabił prawie setkę mieszczan gdańskich, w tym również Niemców (wtedy ucierpieli również mieszcianie niemieccy z Tczewa, wysiedleni za opór przez Krzyżaków). Piszą o tym: Małuszyński w *Roczniku Gdańskim* z 1935 roku, K. Jasiński w „Zapiskach Historycznych” Toruń 1966, Gerard Labuda w „Historii Pomorza”.

12. *Drang nach Osten*. Pan Łobodowski nie wiem czemu udaje, że nie rozumie o co chodzi — bądź rzeczywiście nie rozumie, w takim razie spróbuję wytłumaczyć. Sądząc z jego tekstu — rozumie on ten zwrot jako nazwę dla tendencji ekspansywnej Niemiec w kierunku wschodnim. W tym sensie można mówić i o niemieckim, i o polskim, i o rosyjskim parciu na wschód. Od początku XIV wieku jednak zachodnia granica Polski ustabilizowała się, i nie rozumiem dlaczego „tak historii przedstawiać nie należy”. To coś znaczy, jeżeli nizinna granica, nie naturalna — jest przez setki lat nie tylko najbardziej stabilną granicą Europy, ale w ogóle zbrojnie nie przekraczaną. Niemniej jednak Pan Łobodowski wie zapewne, że przez *Drang nach Osten* rozumie się jeszcze coś innego: mianowicie strategię narodową, program, ideologię. Jest to bzdura absolutna, ahistoryczna i paranoiczna. Tę bzdurę stworzyła publicystyka historyczna wilhelmińskich Niemiec ze względów ideologicznych, jako mit historyczny, potrzebny aktualnemu imperializmowi — a Polacy uwierzyli w nią nie tylko jako w zjawisko ostatnich stu kilkudziesięciu lat, ale są przekonani, że np. Otto I mówił coś w tym rodzaju: „No, czas pomyśleć o naszym programie *Drang nach Osten* i zabrać się do realizacji!”.

13. Nie rozumiem, co ma do rzeczy cesarz Maksymilian i Iwan III? Że chcieli zawrzeć układ antypolski? Chcieli. To chyba zdarza się, że dwa mocarstwa próbują się dogadać przeciw trzeciemu, które jest między nimi? Na co to ma być dowód?

14. Jeśli twierdzę, że zachodnia granica Polski była najtrwalsza w Europie przez 350 lat (praktycznie biorąc — więcej; epizod 1307 roku był poprzedzony długim okresem pokoju) — nie mam na myśli granic północnych, tak jak przez wschodnie nie rozumiem południowych itp.

15. Nie rozumiem, czemu Pan Łobodowski chce toczyć z mną spór o stopień niemczenia Dolnego Śląska w XVIII wieku? Moja teza brzmi: Prusy zabrały Dolny Śląsk Austrii, nie Polsce. Czy tak? I druga: Dolny Śląsk uległ niemczeniu nie metodami terrorystycznymi. Czy tak? W połowie XVIII wieku są jeszcze polskie wsie pod Wrocławiem, Jezus Maria, przecież *ja* to

piszę. Czemu sztuka czytania u Polaków tak nieznacznie posuwała się naprzód od Bolesława Chrobrego! To fakt, że księża niemieccy jeszcze w XIX wieku uczyli się we wrocławskiej archidiecezji polskiego. Uprzejmie proszę wziąć mapę historyczną archidiecezji wrocławskiej w połowie XIX wieku i wszystko będzie jasne.

16. Henryk Probus na pewno uważał się za Piastę (a ja za Lipskiego, mój zaś polemista za Łobodowskiego), a nawet za księcia polskiego (miał ambicje na Kraków). Ale na dworze piastowskim mówi się już wtedy po niemiecku, niestety. To niepoważne pisać: „Był Polakiem, tyle że kulturalnie ziemczonym”. Czy Pan Łobodowski poważnie sądzi, że wówczas istniało takie poczucie narodowe, jakie my mamy? I jaką ankietę w tej sprawie wypełnił mu Henryk Probus?

17. Oczywiście, dużo Niemców się spolonizowało. Co z tego wynika dla rozumowania Pana Łobodowskiego? Dlaczego mnie przekonuje, że Grottger i Traugutt to Polacy? Naprawdę zdumiewa mnie ten ustęp. Czytając go czuję, że ktoś oszalał.

Szanowny Panie Redaktorze! Przerywam w tym miejscu. Nie mam już sił! To przecież nie ma sensu, prostować zdanie po zdaniu, raz dlatego, że polemiście brak kompetencji, że nie czytał („rzeź gdańska”), to znów, że żywi trudne do akceptacji sądy moralne (dobrze, że wyróżniło Jądźwingów), to znów, że pisze nie na temat (cesarz Maksymilian i Iwan III) — i przede wszystkim, że zachowuje się tak, jakby nie rozumiał teź mego artykułu, w co trudno mi uwierzyć, ale możliwe, że wyłożyłem je niejasno. Już brak mi sił zarówno do kontynuowania jak i do pisania od nowa polemiki. Obawiam się, że uległem tzw. indukcji paranoicznej i ten niedokończony list jest tego dowodem. Rozemocjonowani patriotycznie do ostatnich granic moi (raczej Pana!) korespondenci dają pokaz dziwnej niezborności, udziela się to mnie, tak że tracę kontrolę nad swą własną odpowiedzią. Teraz z kolei może się to udzielić Panu i wydrukuje Pan ten kałużowy tekst, co miałoby niewiele sensu i znaczyłoby, że wszyscy, łącznie z Panem, oszaleliśmy.

Jedyny sensowny i pożyteczny tekst spośród tych, które od Pana otrzymałem, napisał p. Aleksander Kołodko. Po bliższym zapoznaniu się z danymi przez niego sygnalizowanymi być może uzupełnię mój tekst we fragmencie białoruskim, choć przykro mi, że więcej krzywdy wyrządziliśmy Białorusinom, niż sądziłem. Dziękuję mu.

Dziękuję Panu za dobre słowa. Wierzę w przyszłość.

Łączę wyrazy szacunku.

J. J. LIPSKI

Londyn, 23. VII. 1982

## List do Andrzeja Zagozdy

Bad Soden-Salmunster, 11 sierpnia 1982.

Drogi Andrzeju!

Twój list w sprawie emigrowania ukazał się w *Kulturze* w momencie, gdy pierwsza fala desperatów opuściła Kraj. Jak całe Twoje piarstwo, tak i list ten czyta się znakomicie. Argumentacja, której używasz — logiczna logiką historyczną. Potrafiłeś ocenić prawidłowo rolę Wielkich Emigrantów od czasów Hotelu Lambert po współczesność. Doceniłeś przecież i tych, którzy tworzyli tło, którzy byli pierwszymi odbiorcami wielkich dzieł, nawet tych, zaprawionych gorzką ironią, które komentowały rzeczywistość emigracyjną w dygresjach. Nie tylko rozgrzeszyłeś poprzedników, ale wiesz dobrze, że właśnie emigracja wydała najwspanialszą patriotyczną literaturę. Tak pisać o Polsce można tylko w sytuacji, gdy słowo jest nieskrępowane a tęsknota niezmierną.

Współczesna emigracja urosła w Twej interpretacji (i słusznie!) do rangi bohaterów, dzięki którym, a szczególnie ich dorobkowi intelektualnemu miała pożywkę młodzież dla swych umysłów, mogła dojrzewać, by mógł przyjść Marzec. Doceniłeś i tym razem obiektywnie spory na temat „wyjechać czy nie”. I musisz przyznać, że gomułkowska propaganda, która podzieliła młodzież na Żydów i nie-Żydów, pomimo zamysłu, że poszatkwanią społeczeństwem łatwiej się rządzi, że będzie na kogo zwalić winę, wydała tylko zwyrodniały owoc w postaci teatru Ryszarda Filipkiego a później Grunwaldu.

Tych, co wyjechali pobłogosławiłeś i stwierdziłeś Andrzej, że: „Dzisiaj nikt rozsądny nie powie, że swym wyjazdem ci ludzie postawili się poza narodem”. Słusznie uważasz, że Polonia na obczyźnie jest rozbita, że mnóstwo w niej nieudaczników życiowych, zawistnych biedaków, którzy swój gniew skierowali w niewłaściwym kierunku. Ale nie przeceniaj sprawności manipulowania przez naszą propagandę. Jak wszędzie, słabości ludzkie muszą być zrozumiane, tym bardziej w warunkach oderwania i braku stabilizacji.

Do tego momentu Twój list jest rozsądny, ale w tym momencie zaczyna się niespójność! Nie tylko logiczna ale interpretacyjna.

Przez okres mojego siedmiomiesięcznego internowania problem ten był omawiany, gorąco dyskutowany, wysuwano argumenty „za” i rzucano anatemy.

Taką anatemę na nową falę emigrantów rzuciłeś i Ty! Użyłeś ostrych słów: kapitulacja i dezercja! Argumentowałeś, że *noblesse oblige*, przypominałeś skazanych za strajki i ulotki, uświadamiałeś reakcje tych, którzy nam zawierzali a dziś dowiedzą się o moim wyjeździe.

Czy wzięłeś jednak pod uwagę fakt, że Twoja decyzja pozostanie w Białolecie jest dużo łatwiejszą decyzją niż fakt likwidacji domu, pożegnania przyjaciół i wyjazdu w „nicość”?

Ty, jako idol naszego ruchu, jesteś w pewnym sensie nietykalny dla czerwonich. Jesteś im potrzebny, choćby po to, by nawet *Prawda* znalazła sobie w Tobie to „ziarno zła, z którego wyrosły chwasty Solidarności”. Ty nigdy, od czasów Marca, nie zaznałeś biedy. Nawet teraz za jeden wywiad masz więcej niż stoczniovec zarobił w ciągu roku. Piszesz. Drukują Twoje książki, masz z czego żyć i nawet w czasie internowania byłeś rozpieszczany.

Tak jak robotnicy słuchali Twoich słów w skupieniu, poszliby w ogień za Tobą, tak dziś, po Twoim liście, rzucą kamieniem w kolegów. Bo Ty tak uważasz!

Podjmując decyzję wyjazdu, każdy z nas pamiętał o mszach przedmodlonych za nas, o paczkach z jedzeniem, którego brakowało na wolności, o trosce przyjaciół i znajomych i o serdeczności całego społeczeństwa. Wiesz równie dobrze jak ja, że wielu internowanych siedziało z przypadku. Czy to oznacza, że do końca życia mają chodzić w glorii cierpienika? Była nas tak wielka armia, że mówiono o niej w pięcioliterowych cyfrach, ale nazwisk wymieniano kilka, między innymi Twoje.

Czy nie uważasz, że człowiek, obarczony trójką dzieci i żoną bez zawodu, pozbawiony pracy przez tchórzliwych kacyków wrony zaprzedał duszę Polaka, gdy decyduje się na wyjazd?

Czy uważasz, że emigracja jest fałszywym krokiem w sytuacji, gdy przez zaangażowanie rodziców dziecko zapłaciłoby przegraną życiową, bez możliwości studiów, bo w aktach ma już zrobioną krechę?

A czy ucieczka z Kraju, gdzie rządzi policja, w celu ochrony małego dziecka od wzdrygnięć się na każdy dzwonek nie jest usprawiedliwiona?

Czy uważasz, że ojciec, który patrzy jak dziecko powoli umiera, bo nie ma lekarstw, podejmując decyzję opuszczenia Polski traci twarz?

Żaden z internowanych nie żałuje swego siedzenia. Każdy utwierdził się w przekonaniu o słuszności swego działania. Wielu bardzo się zradykałizowało i mam wewnętrzne przekonanie, że nie spoczna na laurach.

Czyż decyzja o wyjeździe w sytuacji, gdy jest się spalonym dla działalności w Kraju, gdy nie można włączyć się w nurt podziemia, by nie spalić kolegów, gdy i tak wspaniałą, ryzykowną robotę robią nowi, którzy dojrzewali pod naszymi skrzydłami — to czy ta decyzja ma oznaczać zdradę i degenerację ideałów?...

Nie wolno Ci było Andrzejowi rzucać aż tak ciężkiego oskarżenia przeciwko rozgoryczonym, często bardzo boleśnie przeżywającym swą decyzję ludziom! Może wśród nas znajdują się tacy, którzy nie mają siły czekać na mieszkanie lat 20, aż pomnożą się o wnuków, może będą i tacy, którzy myślą tylko o łatwiejszym życiu. Ale pamiętaj, że emigrację tworzą także ci, których 13 grudnia zaskoczył poza granicami i którzy tu na Zachodzie, już z samej racji, że są z Solidarności otoczeni są opieką, mogą drukować, pomagać potrzebującym w Kraju.

Czy sądzisz, że my nie włączymy się w nurt działania na rzecz Solidarności, na rzecz walki z komuną, która wyгнаła nas z Kraju? Myślę Andrzejowi, że przyjdzie czas, kiedy oceni się właściwie nasz wkład w kształtowanie świadomości rodaków, a póki co, to sam dałeś bezpiecze do ręki argument, by wykorzystali w swych pokretnych interpretacjach nasz desperacki krok. Jak do tej pory, a już miesiąc jestem na emigracji z wyboru, list Twój był pierwszą kroplą cykuty. Myślę, że ostatnią! Ale jej smak podniesie wartość mych poczyniń.

Pozdrawiam Cię z wolnego kraju, zawsze pełna sympatii,

Muzia SIEROTWIŃSKA

## Kraj

## Wizyta w Polsce

Kiedy samolot ląduje na Okęciu, odczuwam zawsze to samo wzruszenie. Zaledwie rok minął od mojej ostatniej wizyty, ale jakże bogaty w tragiczne wydarzenia. Zeszłoroczna euforia wolności została brutalnie zdławiona.

Pierwsze wrażenia — ta sama szarość, ten sam żołnierz z karabinem u stopni samolotu, ten sam tępy wyraz twarzy wopistów i celników, ale na szczęście i te same serdeczne twarze witających mnie przyjaciół.

Miasto wygląda smutno, załęknione i zaniedbane. Jakieś rozbabrane place budowy, zastygłe w bezruchu dźwigi, cemenciarki i ciągniki. Nie widać żadnych pracujących ludzi. Trasa Toruńska przy Marymonckiej jest w takim samym stanie, w jakim ją zostawiłam w zeszłym roku. Naprzeciwno dworca centralnego wysoki budynek, który miał być dworcem lotniczym, stoi na wpół wykończony, opuszczony przez robotników. Angielska firma zrezygnowała z kontynuowania budowy. Brak pieniędzy. Przypomnieniem bezgłowa i marnotrawstwa jest olbrzymi słonecznego koloru dźwig francuskiej firmy POTAIN, za który podobno, czy go się używa czy nie, leci tygodniowo 50.000 zł. Na to nas stać.

Doskonałym barometrem nastrojów warszawskich są niezawodni taksówkarze. Podczas jednej z moich przejażdżek po mieście rozmowny taksówkarz zaczął narzekać, nie tyle na trudną sytuację ekonomiczną, ile na prymitywne metody propagandy. — „To, że człowiek ma gołą d... to można przeżyć. Ale jak nam każą mówić, że ta nasza goła d... jest pięknie przystrojona, tego już człowiek nie może znieść”.

Pierwsze kontakty ze znajomymi przywołują atmosferę podejrzliwości stalinowskich czasów: szeptane z ostrożnością wiado-

mości, po uprzednim rozejrzeniu się wokoło i upewnieniu, że nikt niepowołany nie usłyszy. Powszechnie używany jest termin „przed wojną” — przed 13 grudnia, i „po wojnie” czyli teraz, choć jest to mylące, bo wojna trwa. Przypominają o tym snujące się po mieście sześciuosobowe patrole milicji i wojska, uzbrojone w pistolety maszynowe i pałki, godzina policyjna i od czasu do czasu przejeżdżające ulicami miasta liczne pojazdy wojskowe i milicyjne demonstrujące siłę „WRON-y”.

Prócz tych widocznych oznak stanu wojennego daje się wyraźnie odczuć tę znacznie mniej widoczną, ale jakże groźną dla ekipy rządzącej atmosferę wojny pomiędzy władzą a narodem. Wyrazy oporu w stosunku do rządu są różne w zależności od wieku i grupy społecznej. Intelktualiści, pisarze i aktorzy trwają w bojkocie środków masowego przekazu, odmawiając wszelkiej współpracy. Atrakcyjność programów radiowych i telewizyjnych spadła do zera, niestety jednak razem z tym obniżyły się znacznie zarobki bojkotujących. Ekipa rządząca stara się upokorzyć intelektualistów. Przykładem tego jest sposób, w jaki pozbyto się rektora uniwersytetu warszawskiego prof. Samsonowicza oraz zaarrestowanie trzech członkiń senatu UW. Gazety stały się nudne jak w latach 50-tych i ogólny poziom literacki spisał okrutnie. Dorwały się do szpałt różne przeciętniaki, którzy poza tym, że plują prymitywną propagandą, po prostu nie bardzo umieją klecić zdania w języku polskim. Takimi przykładami są Adam Witold Wysocki, który na łamach *Stolicy* rozważa sprawy „odnowy”. Stanisław Kuszewski (tamże) rozpisujący się w „Przyczynku do sporów o inteligencję polską” o grzechach „extremy” *Solidarności*, która sprowadziła inteligencję polską na złe drogi. „Kwadrans żołnierski” w radio sypał poradami dla komisarzy wojskowych oddelegowanych do przeszkalania nauczycieli w celu pomżenia im w kształtowaniu świadomości przyszłego pokolenia.

Ludzie średniego pokolenia, którzy dobrze pamiętają lata pięćdziesiąte i wszystkie późniejsze cykliczne wybuchy nadziei na jakieś zmiany, są na ogół najbardziej przygnębieni. Są zmęczeni, raz jeszcze rozczarowani i oszukani, martwią się o przyszłość swoich dorastających dzieci. Dla terapii psychicznej i jednoczesnego podreperowania budżetu domowego koncentrują się na uprawianiu tzw. działek. Jest to masowe zjawisko. Ożywiają się dopiero wtedy, gdy rozmowa schodzi na zasiewy, plony i nawozy w tym mini-wymiarze. Nasuwa się porównanie z działkami przyzagrodowymi kołchoźników w Związku Sowieckim.

Na tle tego ogólnego przygnębienia buduje się wyraźnie „podziemie”. Mnożą się tytuły prasy konspiracyjnej. Miałem okazję przejrzeć jedenastu różnych biuletynów informacyjnych jak *Solidarność*, *Fakty*, a także biuletyny różnych fabryk jak

Ursus, Żerań itp. Są tam różne informacje, nie podane przez prasę oficjalną, podnoszące na duchu artykuły, jak również zamieszczane są listy kolaborantów z ich adresami, które także są przyczepiane do tablic informacyjnych w zakładach pracy. Drzwi do mieszkań owych kolaborantów są często wysmarowane ekskrementami. Dystrybucja bibuły jest powszechna. Nie spotkałam domu, gdzie by tego nie czytano i nie wymieniano między sobą.

Niektóre akcje przypominają Mały Sabotaż z okresu okupacji niemieckiej. W czasie nadawania dziennika telewizyjnego ludzie demonstracyjnie spacerują — z psami lub bez — w niektórych domach głuche i ślepe telewizory wystawiane są demonstracyjnie w oknach. W środy nie kupuje się gazet. Stosy gazet zalegają w kioskach Ruchu. Nie wiedząc o tym, kupiłam w środę 9 czerwca *Życie Warszawy*, odprowadzana wymownym spojrzeniem kioskarki. Nie żałuję tego jednak, bo akurat tego dnia wydrukowano list gończy pt. „Milicja poszukuje Jana Wojciecha Narożniaka”, w którym informowano o ucieczce wyżej wymienionego ze szpitala w dniu 7 czerwca, ostrzegając przed ukrywaniem winnego „kilku przestępstw zbiega” i grożąc za to karą pozbawienia wolności do lat 5. Zamieszczona była także fotografia Narożniaka, przypominająca szlachetne i romantyczne twarze powstańców 1863 roku. Artykuł ten nie mógł wywołać innej reakcji, jak tylko dumę z dzielnego młodego patrioty i radość, że udało mu się zbiec. Chwilę potem jednak smutna refleksja, że naszą specjalnością narodową stało się udoskonalanie metod konspiracji i ruchu oporu.

Na Placu Zwycięstwa, poniżej krzyża z kwiatów, upamiętniającego pogrzeb prymasa Wyszyńskiego, w biały dzień wmurowano tablicę z napisem ku czci zamordowanych górników z kopalni Wujek. Następnej nocy tablica została usunięta przez milicję; pozostał ślad zamazany cementem. Zwiększono także ilość patrolujących „chłopców z pałkami”. Mimo tego jest tam zawsze liczna grupa ludzi i świeże kwiaty składane nie tylko na prymasowski krzyż, ale również na cementowym śladzie po wyrwanej tablicy.

Napis „Wrona skona” i znak Polski walczącej z kotwicą spotkać można na murach domów i na oparciach siedzeń w autobusach, oczywiście szybko zamazywane.

Popularne jest noszenie różnych znaczków. Powszechnie noszone w zeszłym roku znaczki „Solidarności” zniknęły. Zastąpiono je innymi, jak oporniki elektryczne, czarne krzyżyki z orzełkiem w koronie, wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej na białym czerwonym tle (tzw. Wałęsowskiej) i wiele innych. Znaczkami działają na zomowców jak czerwona płachta na byka. W dniu 3 maja dwóch studentów szło w górę ulicą Bednarską.

Jeden z nich miał znaczek z Matką Boską, a drugi znaczek jakiegoś amerykańskiego klubu motocyklowego. Zostali zatrzymani przez patrol ZOMO, które było w tym dniu niezwykle czujne z powodu demonstracji na Placu Zamkowym. W jednej chwili znaczki zostały wyszarpięte wraz z kawałkami tak cennych teraz swetrów. Chłopcy, obrzucani wulgarnymi przezwiskami i poszturchiwani, znaleźli się w tzw. „suce”, czyli samochodzie milicyjnym. Pogródki i wymachiwanie pałami przeplatały się z pytaniami na temat nieznanego motocyklowego znaczka z motywem flagi amerykańskiej. Chłopiec instynktownie zdjął okulary, chcąc uniknąć pokaleczenia oczu w razie pałowania. Po tej sesji upokorzenia obaj chłopcy zostali kopniakami wyrzuceni z samochodu, żegnani ostrzeżeniami na przyszłość. Mieli szczęście...

W akcji drażnienia władzy metodami małego sabotażu celuje młodzież i to przeważnie z ostatnich klas szkół średnich i studentów. Nie mają oni smutnego doświadczenia lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zaznali natomiast w ciągu szesnastu miesięcy wolności i walczą o jej przywrócenie. Brak wyobraźni i nadzieja zwycięstwa z jednej strony, a brak jakichkolwiek perspektyw ekonomicznych i zawodowych na przyszłość z drugiej strony, decydują o kontynuacji ruchu oporu.

Jak zwykle u Polaków nie obywa się bez humoru. Studenci krakowscy któregoś dnia przeprowadzili kilkaset rozmów telefonicznych o treści „to jutro o dziewiątej koło akademika”. Najajutrz przed dziewiątą budynek akademika otoczony został samochodami milicyjnymi i zaniebieściło się od „chłopców z pałkami”. Punkt o dziewiątej z jednego z okien akademika popłynęła melodia przedwojennego szlagiera „Umówiłem się z nią na dziewiątą...”. Pojawił się też *blagonadziejny* slogan na terenie Uniwersytetu Jagiellońskiego „Precz z Reaganem — Falklandy dla Rosji”. Opowiadano mi dwa kawały o staruszkach, które za nic w świecie nie chciałyby wejść w kolizję z władzą. Jedna z nich, wysiadając na przystanku tramwajowym, zwraca się uprzejmie do stojącego w przejściu zomowca: „Panie okupancie, czy pan też wysiada?”. Druga staruszka bezskutecznie zaczepia na ulicy żołnierzy w niebiesko-zielonych mundurach pytając: „Czy Pan jest zomowcem?”. Pierwszy zaczepiony był lotnikiem, drugi milicjantem, wreszcie babcia trafiła na zomowca. — „A czego babciu chcesz?” — spytał on. — „Czy mógłby mi pan zabić karpia?” — spytała uprzejmie babcia. Tłumaczenie liter MO, ORMO i ZOMO jest znamienne. MO — mogą obić, ORMO — oni również mogą obić, ZOMO — zwłaszcza oni mogą obić. „Wstąp do ZOMO — a wyjdiesz na ludzi” — nie jest przypadkiem. Podniecani specjalnymi narkotykami zomowcy są szczególnie brutalni w czasie rozpędzania demonstracji, co wzmaga

jeszcze bardziej nienawiść młodego pokolenia do organów władzy. Matka jednego z 18-latków, spałowanego i zatrzymanego na 24 godziny w areszcie, dostała zawiadomienie, żeby go zabrać z posterunku milicji. Posiniaczony i oszołomiony chłopak, kiedy tylko wyszedł z matką z budynku milicyjnego i zaczerpnął świeżego powietrza w płuca, wykrzyknął — „Latarni na was nie starczy!”. W tym najmłodszym pokoleniu, okaleczonym fizycznie i psychicznie przez jakże krótkowzrocznych przedstawicieli władzy, wrze uczucie buntu.

Niezwykle dramatyczną formę miała demonstracja na Placu Zamkowym w dniu 3 Maja. Z jednej strony młodzież z białoczerwonymi flagami i transparentami z hasłami Solidarności, śpiewająca patriotyczno-religijne pieśni i skandująca „Wypuścić Lecha — wsadzić Wojciecha!”. Z drugiej strony, przy wejściu ulicy Świętojańskiej, oddziały ZOMO w hełmach i kolczastych rękawicach, uzbrojone w pałki, tarcze, armatki wodne i petardy z gazami łzawiącymi. Obie grupy zaczęły się ku sobie zbliżać. Na żądanie rozejścia się, powtarzane przez megafon, demonstranci zaczęli rzucać garściami monety, które z głuchym łoskotem odbijały się o tarcze zomowców. Chwilę potem poszły w ruch pałki, zbijające z nóg strumienie wody i gaz łzawiący, który unosił się siną mgłą do późnej nocy nad zgnębionym, zapłakany miastem. Na placu walały się pogubione buty, laski, torebki i inne przedmioty.

Polacy nauczyli się rozpoznawać prowokatorów, których nie brak, i starają się nie dać się wciągnąć w niebezpieczne akcje. Czasem są to bandy oprychów, którzy wykrzykując patriotyczne slogany zrywają czerwone flagi, licząc na przyłączenie się do nich młodzieży. Kiedyś stojąc w dość licznej grupie ludzi wokół wspomnianego krzyża z kwiatów na Placu Zwycięstwa, usłyszałam za sobą pojedynczy okrzyk — „Uwolnić Lecha Wałęsę!” — i tuż potem kilka głosów rozsądku — „spokojnie, spokojnie, to prowokator”. Cienki głos prowokatora zawisł samotnie w powietrzu fałszywą nutą.

Istnieje również dobrze zorganizowana akcja przeszmyglowania listów z obozów dla internowanych. Miałam w rękę kilka takich listów. Koperty są ostemplowane wizerunkiem Matki Boskiej, znakiem Polski walczącej i różnymi innymi wymownymi pieczętkami wykonanymi przez internowanych. Ciekawe są motywy ludzi, którzy w tej akcji biorą udział. Sami internowani, wykonujący te pieczętki i piszący listy pełne optymizmu i zachęty do nieustawiania w bojkocie junty wojskowej, wierzą, że sprawa za którą siedzą powinna być kontynuowana przez tych, co są na wolności. Ci co technicznie uczestniczą w przenoszeniu tych listów na zewnątrz są podobno albo członkami Solidarności wcie-

lonymi do ROMO (Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej), lub też zwykłymi strażnikami więziennymi, tzw. klawiszami, którzy mają w tym cel materialny. Za udzieloną im pomoc internowani stemplują puste koperty unikalnymi pieczętkami, które owi strażnicy ponoć sprzedają na bazarze po 500 zł za sztukę. Widziałam też kopertę, ozdobioną kilkoma różnymi pieczętkami o symbolicznym znaczeniu jak np. ręce w kajdanach, orzeł zabijający wronę itp., z odręcznym napisem na boku „Seria 40 sztuk — egzemplarz Nr 7”. Podobno po opieczetowaniu 40 odbitek pieczęcie zostały zniszczone. Jest to jeszcze jeden aspekt tej sprawy — troska o przyszłych kolekcjonerów.

Sytuacja ekonomiczna jest podła i nie rokuje żadnych nadziei na najbliższą przyszłość. Po szalonych podwyżkach cen ludziom zaczyna nie starczać na kupno podstawowych produktów żywnościowych, co prawdopodobnie podziało na skrócenie kolejek przed sklepami. W sklepach jest nieco więcej towarów niż w roku ubiegłym, ale zdarzają się produkty przedatowane, co pozwala przypuszczać, że te towary musiały być gdzieś przechowywane. Chodząc po Warszawie uderzają długie kolejki przed lodziarniami nawet w chłodne dni. Albo jest to uzupełnianie niedoborów podstawowych źródeł energii w postaci mleka i cukru, albo też głębokie przywiązanie do kolejek.

Przez całe dwa tygodnie starałam się chłonąć wszystkimi zmysłami atmosferę jaka panuje w kraju. Z ogólnym nastrojem miasta i nastrojami moich przyjaciół mogłam się łatwo identyfikować. Te problemy były mi bliskie i czułam wielkie emocjonalne zaangażowanie we wszystko, co oni przeżywają. Praktycznie poruszam się w Polsce, jakbym wskoczyła w swoje stare dobrze pasujące buty, mimo że wyjechałam stamtąd prawie 20 lat temu. W głębi duszy jednak czułam, że jestem tam tylko obserwatorem, nie mającym już udziału w próbach organizowania oporu przeciwko rządowi generała Jaruzelskiego.

Maria GÓRSKA

## Wł. Gomułka o «Solidarności»

Ukazał się już drugi numer miesięcznika społeczno-kulturalnego *Zdanie*, wydawanego w Krakowie przez klub twórców i działaczy kultury „Kuźnica”. (...)

W ostatnim numerze zwraca uwagę — wśród innych zajmujących publikacji — materiał opracowany przez Macieja Szumowskiego, będący zapisem rozmowy z trzema współpracownikami Władysława Gomułki. Występują oni anonimowo, lecz redakcja stwierdza ich autentyczność. Rozmowa nie ma na celu dokonania pełnej oceny czy bilansu działalności W. Gomułki, ale próbę „zarysowania indywidualnego portretu człowieka”. Temu celowi miało też służyć prezentowanie jego poglądów na ważne zagadnienia polityczne. Niezależnie od intencji redakcji, powstał materiał, który ma wszelkie cechy źródła historycznego i to dotyczące czasów tak niedawnych, a niekiedy nawet — współczesności.

Oto właśnie wybrane fragmenty rozmowy, dotyczące wydarzeń z okresu ostatnich dwóch lat:

— Jak reagował na „Solidarność”, na to wszystko, co się działo po Sierpniu?

— Jak najgorzej, uważał to za kontrrewolucję.

— Od początku?

— Od początku, tak. Od początku.

— Nie widział w tym żadnej możliwości, choćby możliwości zreformowania ruchu związkowego?

— Nie, nic takiego nie myślał. Z tym, że trzeba pamiętać o tym, że on w ogóle zachował trzeźwość umysłu. I duże poczucie godności od czasu, gdy znajdował się na rencie. A jednak żył dwoma pasjami — pierwszą była obrona swoich racji z 1970 roku. I to była miara, którą stosował do nowych wydarzeń. (...)

— Co to znaczy w ogóle giętka polityka?

— Taka, jaką prowadzono w Polsce w latach 1944-48. On był realistą po prostu. Był przeciwnikiem z bębnej przemocy. Zbędnej. To znaczy on mógł zastosować niepotrzebną przemoc, ale tylko wówczas, kiedy uważał, że ta przemoc jest niezbędna. Natomiast w ogóle sprawę przemocy rozpatrywał w kategoriach: zbędna czy nie? Nie był jej miłośnikiem... Rozumiał, że to jest obosieczna broń. To doskonale rozumiał. Na pewno.

— Sądząc z jego poglądów, jak mógłby oceniać stan wojenny obowiązujący w Polsce?

— Ja nie konkretnego na ten temat nie wiem, ale sądzę, że na pewno uważał to za jedyne możliwe wyjście (on już był bardzo chory i nie miałem ostatnio z nim żadnych kontaktów). Rok temu, kiedy z nim rozmawiałem, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że nie widzi żadnej możliwości, aby to się rozstrzygnęło inaczej niż siłą.

— Naszą siłą?

— No, on się bał, że nie tylko naszą. Ale nie widział innych możliwości... Żadnych szans nie dawał tzw. linii porozumienia.

— Od początku?

— Nie, nie dawał. Nie widział szans”.

I jeszcze fragment dotyczący odejścia W. Gomułki w 1970 roku, ale wiążący się również z czasem o 10 lat późniejszym:

— Jak przeżył dramat odejścia od władzy?

— Wiecie, to jest bardzo dziwna sprawa. Przeżył to... bardzo. (...) Przede wszystkim nigdy nie przyjął do wiadomości tego, że odszedł, bo stracił zaufanie społeczeństwa polskiego. Nie. Tego do śmierci nie przyjmie

do wiadomości. Po prostu uważa, że obaliła go grupa opozycyjna w kraju, sprzymierzona... Co do tego, to nigdy nie miał innego zdania.

— Nie można mu było tego wytłumaczyć później, z perspektywy lat?

— Nie. Uważa, że na Wybrzeżu to albo ktoś podniecił te rozruchy, albo to była anarchia. Uważa, że reagował na nią prawidłowo. Twierdzi, że 18, 19 grudnia wszystko już było uspokojone. I że wykorzystano tę sytuację przeciwko niemu.

— I sądzi nadal, że słusznie te strzały do ludzi padły?

— Tak, tak — on nigdy nie miał wątpliwości. Teraz wydarzenia 80 roku jeszcze utwierdziły go w tym przekonaniu.

— Jeszcze bardziej?

— Tak”.

M. R.

**POLSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE  
NA OBCYZŹNIE  
238/246 King Str. London W6 ORF**

rozposuje konkurs na opracowanie o charakterze inwentaryzacyjnym, analitycznym i bio-bibliograficznym na temat:

**PLASTYKA POLSKA W WIELKIEJ BRYTANII  
W CZASIE I PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ.**

Rozmiary 300-350 stron maszynopisu na interlinii.

Termin: wrzesień 1983 — w uzasadnionym przypadku może być przedłużony.

Za nagrodzone prace będą przyznane dwie nagrody, ufundowane przez p. Karolinę Borchardt:

I-sza: £ 500; II-ga £ 250. Mogą one być połączone.

PTNO dołoży wszelkich starań, aby prace(a) nagrodzone(a) ukazały się drukiem po polsku i po angielsku.

Jury konkursu mgr Witold Leitgeber, prof. Pierre Rouve, mgr Franciszek Strzałko, dr Elżbieta Temple, prof. Tymon Terlecki (przewodniczący), mgr Z. S. Właszewski (sekretarz).

W sprawach związanych z konkursem można się komunikować telefonicznie, nr 788-1273 (w godzinach wieczornych), lub listownie na adres PTNO podany u góry.

## Sąsiedzi

### Solidarność «Russkoj Mysli»

*Russkaja Mysl*, tygodnik rosyjski wydawany w Paryżu pod redakcją Iriny Iłowajskoj-Alberti, śledził naturalnie z uwagą wypadki w Polsce od sierpnia 1980 i powstania Solidarności — jak i cała prasa światowa. Z numeru na numer czytaliśmy w popularnym i zasłużonym organie emigracji rosyjskiej artykuły, bieżące komentarze, kronikę wydarzeń, wywiady z polskimi uczestnikami ruchu lub znawcami przedmiotu, przedruki z pism Solidarności. Bywały numery, w których tematyka polska przeważała nad rosyjską. Czytelnicy niechętni tej polityce redakcyjnej ironizowali, że tygodnik powinien się odtąd nazywać *Pol-skaja Mysl*, ale redaktorka, nie zważając na szeptaną krytykę i nawet listy protestacyjne, zdołała większości emigracji rosyjskiej wpoić poczucie głębokiej i żywej solidarności z bezkrwawą rewolucją nad Wisłą. Nic się w *Russkoj Mysli* nie zmieniło, gdy po 13 grudnia 1981 tematyka polska zaczęła stopniowo znikać z łamów prasy światowej, albo w najlepszym razie kurczyć się do drobnych i bezdusznych notatek na dalszych stronach. W *Russkoj Mysli* wciąż jej czytelnicy znajdują, poczynając od pierwszej strony, doskonale opracowane informacje o sytuacji w Polsce, wciąż czują, że tygodnik pozostał wierny swej solidarności z walczącymi Polakami, wciąż słyszą w nim echo herzenowskiego *Kotokota*. Spotyka się czasem w artykułach publicystów i komentatorów *Russkoj Mysli* przypomnienie dawnego zawołania „za naszą wolność i Waszą”. Nie brzmi ono zdawkowo na łamach pisma, redagowanego przez naszą wypróbowaną przyjaciółkę. Jest wyrazem wspólnej determinacji, wspólnej nadziei, wspólnej świadomości, ile w tej części Europy zależy od współdziałania wolnych Rosjan z wolnymi Polakami, Czechami, Węgrami, Ukraińcami, Białorusinami, Bałtami.



## W sowieckiej prasie

Tytuł powieści Faulknera „The Sound and the Fury” („Zgiełk i furia”) doskonale nadałby się na określenie sowieckiej postawy latem 1982 wobec wojny w Libanie. Dwaj wierni sojusznicy ZSSR — Syria, z którą Moskwa podpisała układ o wzajemnej pomocy, i OLP, którą wspiera pieniędzmi, bronią, instruktorami i ideologią — ponieśli wojskową porażkę. Sowiecka prasa od pierwszego dnia wojny podniosła larum i krzyk. Świat zamarł w oczekiwaniu działań.

Model postępowania Sowietów jest już znany. Ponad ćwierć wieku temu Moskwa wkroczyła twardym i ufny krok w sprawę bliskowschodnie. W październiku 1956 roku Związek Sowiecki postawił Anglii i Francji ultimatum, żądając wyjścia ich wojsk ze strefy Kanału Sueskiego, będącej wówczas terytorium Egiptu. Ultimatum poparły Stany Zjednoczone. Anglia, Francja i Izrael ustąpiły. W 1973 roku, kiedy okazało się, że armia egipska jest okrażona przez Izraelczyków i wynik wojny egipsko-izraelskiej zawisł na włosku, Związek Sowiecki znowu postawił ultimatum i dla poparcia go zagroził, że natychmiast wyśle na Bliski Wschód desant wojskowy. Przestraszony Nixon postawił wojska w stan alarmu atomowego i zmusił Izrael do ustępstwa.

Prasa sowiecka pozostała wierna sobie i latem 1982 działała zgodnie z wszystkimi swoimi zasadami. Muzycy powiadają, że w partyturach Liszta na pierwszej stronie każe im się grać „żywo”, na drugiej — „bardzo żywo”, na trzeciej — „znacznie żywiej”, na czwartej — „możliwie najżywiej”, a na piątej — „jeszcze żywiej”. Sowiecką „informacją” i komentarzami rządzi ta sama zasada, tylko zamiast „grać” należy wstawić „rugać”. „Izraelską sołdateskę” i „izraelskiego agresora” rugano bez końca. Już od pierwszych dni wojny zaczęto porównywać Izrael do Niemiec hitlerowskich, które to porównanie stało się nader popularne w zachodniej prasie, przede wszystkim francuskiej.

14 czerwca do kolejnej porcji obelg dodano sakramentalne ostrzeżenie. TASS oświadczył: niech dzisiejsi politycy izraelscy nie zapominają, że Bliski Wschód znajduje się tuż obok południowych granic Związku Sowieckiego... Wystarczy spojrzeć na mapę aby się przekonać, że mało jest na kuli ziemskiej miejsc nie leżących tuż obok sowieckich granic. Tym niemniej oświadczenie TASS-a uznano za groźne ostrzeżenie. 21 czerwca amerykański *Time* opublikował wywiad z Leonidem Zamiatinem. Przedstawiono go Amerykanom jako członka KC i rzecznika Breżniewa. To prawda, ale jest on poza tym kierownikiem wydziału informacji zagranicznej KC KPZS, to znaczy głównym sowieckim dezinformatorem. Zamiatin przeraził czytelników *Time'a*, oświadczając: „Nasza flota znajduje się na Morzu Śródziemnym.

Podobnie jak flota amerykańska. Obie posuwają się w tym samym kierunku, na Liban”. „Musimy — doszedł do wniosku Zamiatin — wspólnie położyć kres konfliktowi w Libanie”. Minął lipiec, nadszedł sierpień. Tylko przedstawiciel USA szuka dróg wyjścia z konfliktu. Przedstawiciel ZSSR w Radzie Bezpieczeństwa zdobył się na kilka dalszych mocnych słów: „barbarzyńcy XX wieku”, „szaleńcy, którym trzeba nałożyć kaftan bezpieczeństwa” (psychiatria stała się w kraju dojrzałego socjalizmu ważnym instrumentem walki z niezadowolonymi i niepokornymi) — lecz wszystko sprowadzało się do „zgiełku i furii” oraz do „gestykulacji” — jak się wyraził francuski dziennikarz Michel Tatu.

Powodów sowieckiej „wstrzemięźliwości” jest wiele: każdy z osobna i wszystkie razem odzwierciedlają stan sowieckiego imperium latem 1982 roku. Związek Sowiecki zbliża się do 65-tej rocznicy swego istnienia, przewyciężając chroniczne „chwilowe trudności”, które w ostatnich latach stają się coraz cięższe.

Wojnie z Afganistanem nie widać końca. W ostatnich dniach maja sowieckie i afgańskie wojska rozpoczęły piątą w ostatnich dwu latach ofensywę w dolinie Panszyr, starając się zlikwidować to ważne ognisko oporu w pobliżu Kabulu. I doznali kolejnej porażki. Zdaniem wybitnego francuskiego znawcy wojen partyzanckich w Trzecim Świecie, Gérarda Challiada, który w chwili ofensywy na Panszyr znajdował się w Afganistanie, sukces powstańców przypisać należy wybitnemu talentowi wojskowemu ich dowódcy Achmeda Szacha Machsuda. Wykorzystując myśl Lenina i Mao Tse-tunga na temat organizacji wojny partyzanckiej obrócił je przeciw bezpośrednim następcom Lenina i Mao. Gérard Challiad podkreśla inteligentne połączenie muzułmańskiej ideologii z leninowskimi zasadami organizacji. Dolina Panszyr stała się laboratorium afgańskiego ruchu oporu: do Machsuda przyjeżdżają na naukę powstańcy z innych rejonów kraju.

Gérard Challiad podkreśla, że wojna w Afganistanie nie przypomina wojen w Wietnamie czy Algerii: stratedzy sowieccy, napotkawszy nieoczekiwanie silny opór, ograniczają się do sporadycznych akcji, zadowolając się kontrolą nad większymi skupiskami ludności i drogami. Gotowi są do długiej wojny. Lecz cena jej — w ludziach i materiale — rośnie, obciążając i bez tego trudne położenie gospodarcze ZSSR.

Prasa sowiecka niemal całkowicie ignoruje Polskę. To, co się publikuje nie pozostawia czytelnikowi sowieckiemu żadnych wątpliwości, że Polacy nadal nie chcą pracować, buntują się i że Związek Sowiecki musi ich karmić i poić. Nie ulega dłań wątpliwości, że Polska drogą Moskwę kosztuje — zarówno gospodarczo jak i w dziedzinie polityki zagranicznej.

Światowy kryzys ekonomiczny szczególnie silnie bije w obóz socjalistyczny. Utrzymanie imperium staje się niewiarygodnie trudne. Przedstawiciel „drugiej Kuby” — Nikaraguy — odjechał z Moskwy z pustymi rękami, nie dostawszy tych kilkuset milio-

nów dolarów, które są niezbędne do budowy socjalizmu w Ameryce Środkowej.

Niewykluczone, że jeszcze silniej uderzyła Moskwę „dziwna” polityka prezydenta Stanów Zjednoczonych. A tak już było dobrze! Równo dziesięć lat temu, w maju 1972 roku, prezydent Nixon przybył z pierwszą oficjalną wizytą do Moskwy. Zaczął się złoty wiek „odprężenia”. W 1975 roku podpisano Umowę Helsińską. Do tego zwycięstwo za zwycięstwem — Wietnam, Laos, Kambodża, Południowy Jemen, Angola, Afganistan, Nikaragua, rakiety SS-20, które z Europy Zachodniej zrobiły zakładnika... I niezłomne przekonanie, że każdy prezydent amerykański prowadzi politykę „centrystyczną”, że „odprężenie” jest wieczne i trwać będzie aż po ostateczne zwycięstwo najbardziej przodującego systemu. Polityka Reagana była dla Moskwy, niezależnie od jej braku konsekwencji i wahań — wielką niespodzianką. Otwarta wrogość prezydenta Stanów Zjednoczonych sięga tradycją do odległych czasów prezydenta Trumana. Aktualni przywódcy kremłowski, przywykli do jednostronnego odprężenia, postanowili przeczekać. I ograniczają się do werbalnego poparcia Arafata.

Koherencja sowieckiej polityki zasługuje na baczność uwagę. Kieruje się ona wyłącznie bezpośrednim materialnym interesem. Nie bierze w rachubę żadnych innych czynników poza materialną siłą. Znaną jest pytanie Stalina, iloma dywizjami dysponuje Watykan. W 1967 roku Aleksiej Kosygin spytał Lyndona Johnsona: „Arabów jest 80 milionów, Żydów tylko 3 miliony — dla czegoż popieracie Izrael?”. Ostatnimi czasy Moskwa zerwała umowę z małą Somalią, żeby zawrzeć pakt z wielką Etiopią, i opuściła małą Irak dla wielkiego Iranu. Na tej samej zasadzie postanowiła zostawić Arafata i Syrię twarzą w twarz z Izraelem, obawiając się w obecnym skomplikowanym położeniu międzynarodowym amerykańskich sankcji.

Reagan mógł więc spokojnie zadowolić potrzeby farmerów z Ohio i przedłużyć na rok umowę na dostawy zboża do Związku Sowieckiego. Zważywszy, że ZSSR stoi w obliczu trzeciej pod rząd klęski nieurodzaju, decyzja amerykańskiego prezydenta jest niezwykle ważna. Jest ona tym ważniejsza, że równocześnie Reagan nałożył embargo na dostawy sprzętu dla budowy gazociągu z Syberii do Zachodniej Europy. Państwa zachodnioeuropejskie postanowiły zignorować embargo, między innymi dlatego, że USA zdecydowały sprzedawać Moskwie zboże. W ten sposób Moskwa nie tylko dostanie zboże, ale zarazem pogłębi przepaść między Stanami Zjednoczonymi a Europą Zachodnią, łącząc przyjemne z pożytecznym.

O kryzysie ekonomicznym w ZSSR świadczą ich dane statystyczne, jednak znacznie wyraziściej wynika to z niespodziewanego sprostowania TASS-a z 2 lipca. „Oświadczenia” i „sprostowania” TASS-a od dawna są ważnym instrumentem polityki sowieckiej. Najślynniejsze z nich ogłoszono 14 czerwca 1941 roku: równo tydzień przed napaścią Niemiec TASS zapewniał, że „stu-

chy o tym, jakoby Niemcy miały zamiar zerwać pakt i napaść na ZSSR” są fałszywe. 2 lipca 1982 TASS sprostował „kłamliwe informacje amerykańskich i izraelskich organów propagandy”, jakoby broń sowiecka okazała się niższej jakości niż amerykańska, którą posługiwała się armia izraelska w Libanie.

Obawiając się w 1941 roku napaści Hitlera, Stalin chciał „sprostowaniem” przekonać Führera o swej lojalności. W 1982 sprostowanie Breżniewa służy wyłącznie celom komercyjnym. Że „sprostowanie” z 14 czerwca 1941 było fałszywe, okazało się już po upływie tygodnia, nocą z 21 na 22 czerwca. Fałszywość „sprostowania” z 2 lipca 1982 była oczywista jeszcze zanim zostało ogłoszone: przewagi amerykańskiej i izraelskiej broni dowiedziano na polu bitwy jeszcze w czerwcu. Jednak Związek Sowiecki jest — według najnowszych danych — pierwszym dostawcą broni dla „krajów rozwijających się”, a sowiecki przemysł wojskowy jedyną gałęzią produkcji, która przynosi dewizy (w zasadzie dewizy przynosi handel rudą żelaza). Dlatego TASS pospieszył ze sprostowaniem, broniąc dobrego imienia firmy sowieckiej.

O kryzysie ekonomicznym mówią więc dane statystyczne, dowodzi go sprostowanie TASS-a. O skutkach kryzysu w codziennym życiu pisze Arkady Adamow w powieści „Na puste miejsce”. A. Adamow jest najpopularniejszym autorem sowieckich powieści kryminalnych. Ten gatunek zajmuje w literaturze sowieckiej szczególnie miejsce: tylko w nim można względnie prawdziwie pokazywać zwyczajne życie w ZSSR. Mistrz „małego realizmu”, autor powieści o życiu sowieckim Jurij Trifonow opisywał prawie wyłącznie życie inteligentów. Powieści kryminalne pokazują przekrój społeczeństwa. Ich główną przewagą nad innymi gatunkami jest być może obecność w nich jawnie odrażającego osobnika — przestępcy kryminalnego. W jego usta pisarz może włożyć słowa, których nigdy nie wypowie Człowiek Sowiecki w sowieckiej powieści.

Arkady Adamow para się gatunkiem kryminalnym około trzydziestu lat. Powiedzmy od razu — to nie jest Conan Doyle czy Georges Simenon. A ostatnia powieść nie należy nawet do najlepszych jego utworów. Zdarzały mu się lepsze. Tym niemniej „Na puste miejsce” więcej mówi o dzisiejszej sytuacji w Związku Sowieckim niż dziesiątki naukowych prac sowietologów.

Bohater powieści, milicjant — jak dziś mówią — tajniak, inspektor Łosiew rozjeżdża w pogoni za przestępcą po całym Związku Sowieckim. Przy tej okazji widzimy, że wszędzie żyje się tak samo. Łosiew bada przestępstwa gospodarcze (zabójstwa oczywiście też są) i rozplątuje zagmatwany węzeł „drugiej gospodarki sowieckiej” — czarnego rynku. Pisarz ze znanstwem opisuje technologię czarnego rynku, który ogarnia nawet wydobycie rudy żelaznej, podziemną fabrykę i magazyn, który sprzedaje niestwierdzony z punktu widzenia oficjalnej gospodarki towar.

Istnienie gospodarki równoległej decyduje o głównych cechach życia w Związku Sowieckim. Przede wszystkim — łapów-

ka. Łapówka to zasada życia — bez łapówki niczego nie można zrobić. Powstaje jakby zamknięte koło — wszyscy wszystkim dają łapówki. Żeby się dostać do lekarza trzeba dać łapówkę, żeby naprawić telewizor trzeba dać łapówkę, taksówkarz daje łapówkę, żeby mu w warsztacie wymyli samochód, taksówkarzowi dają łapówkę, żeby zechciał przyjechać itd. Druga cecha to złodziejstwo. Inspektor milicji nie dziwi się, odkrywając, że okradziono trupa w kostnicy. W takich warunkach trudno się dziwić, że „jedyna dziś radość — to wypić” i „gdzie nie spojrzysz, sami alkoholicy”. W takim społeczeństwie milicja — jak píše autor — zmienia się w „szkołę wychowania moralnego”, albo — jak można by też powiedzieć — w Kościół. Tylko w milicji — twierdzi bohater powieści — „spotyka się jednolite i czyste charaktery”.

Społeczeństwo sowieckie — mówi jedna z postaci — składa się z trzech typów ludzi. Pierwsi to ci, którzy żyją jak leci — „puści, apatyczni, słabi ludzie”. Drudzy to ci, którzy służą społeczeństwu, wielu rzeczy sobie odmawiając — „takich dziś mało. To — romantycy, idealisci, ludzie ograniczeni i krótkowzroczni”. I wreszcie trzeci gatunek — „większość, znakomita większość to materialisci, ludzie energiczni, praktyczni, niesentymentalni. Ci rozumieją, że najważniejsze dziś są dobra materialne i tylko dla nich warto się starać i pracować. Przy czym pracować nie dla wników i prawników, a dla siebie, żeby było lepiej nie za sto lat, a dziś i właśnie tobie, bynajmniej niekoniecznie wszystkim”. Nie trzeba dodawać, że tak ocenia społeczeństwo sowieckie odrażający osobnik — przestępca.

Osądzając go, autor powieści pokazuje jednak, że ludzie „trzeciego typu” rzeczywiście stanowią większość społeczeństwa sowieckiego. Nie ograniczając się do tego, Arkady Adamow ciekawie wyjaśnia, skąd się bierze „gospodarka równoległa”. Źródłem jej jest mianowicie „totalne planowanie”, w wyniku którego powstają dziury, puste miejsca: nie ma tego, nie ma tamtego, nie ma owego. Przędza zalega składy martwymi hałdami, a ludziom brak odzieży, której z jakiegoś powodu nie przewidziano w planie. Powstaje „puste miejsce, którego nie chce i nie może zająć przedsiębiorstwo państwowe”. Puste miejsce (stad tytuł powieści) zajmuje przedsiębiorczy człowiek, na którego wali się całym swym ciężarem kodeks karny. Jeśli przedsiębiorczy człowiek nie zdążył albo nie zdołał dać łapówki...

Powieść kończy się zwycięstwem milicji, aresztowaniem podziemnego fabrykanta i rozbiciem jego organizacji. Ale nawet autor nie ma wątpliwości, że nie na długo, że przyjdą następni „energiczni, praktyczni materialisci”. W jednym z niedawnych numerów *Literaturnoj Gazety* (nr 16 z 21. 4. 1982) opublikowano list szacownego emeryta, żalącego się gorzko: „Na dziwne rzeczy przychodzi nam patrzeć: zamiast szukać dróg zwiększenia wydajności pracy, niektórzy robotnicy zaczynają ją obniżać, wychodząc z założenia, że jeśli znacznie przekroczą normę to obniżą im stawki”. Robotnicy wiedzą — równie dobrze zresztą jak eme-

ryt — że właśnie tak będzie, tylko że, w odróżnieniu od emeryta, chcą żyć dziś a nie martwić się o szczęśliwą przyszłość w komunizmie. W rezultacie wydajność spada.

Dawno zauważono, że zła praca i świadome obniżanie wydajności są wyrazem żywiołowego niezadowolenia sowieckiej klasy robotniczej. Pod wpływem wydarzeń w Polsce zrodził się w Związku Sowieckim w ciągu ostatnich dwóch lat ruch — jak na razie są to rozproszone grupki, wydające pierwsze manifesty programowe — stawiający sobie za cel pracę w narodzie, wśród robotników. W liście z prowincji, rozpowszechnianym w samizdacie pod koniec zeszłego roku pisano m.in.: „Sytuacja w Polsce pokazała, że gdy chodzi o budowę państwa pluralistycznego, cała siła leży w klasie robotniczej”.

Jest charakterystyczne, że do programów dwu nielegalnych organizacji, które powiadomiły o swym istnieniu latem 1981 roku — Związku Narodowo-Demokratycznego i Demokratycznego Narodowego Frontu Związku Sowieckiego — włączono żądanie „poparcia solidarności polskich robotników i ich walki o swe prawa” i żądanie „niemieszania się w polskie sprawy”. Źródło głównego postulatu jest oczywiste: „stworzyć wolne, niezawisłe związki zawodowe, zdolne bronić interesów klasy robotniczej”.

Niezwiązane ze sobą grupy z reguły mają w swej nazwie dwa przymiotniki — „narodowy” i „demokratyczny”. Rodzący się ruch różni się od demokratycznego ruchu lat 60-70-tych tym, że punkt ciężkości przenosi z walki o prawa człowieka — sprowadzającej się do postulatu przestrzegania sowieckiego prawa i konstytucji — na walkę o prawa klasy robotniczej. Druga różnica polega na rezygnacji ze związków z zagranicą, z wywiadów udzielanych zagranicznym korespondentom, na dbałości o działanie konspiracyjne.

Fala aresztów, która przetoczyła się przez Związek Sowiecki w ostatnich miesiącach (zasięg aresztowań nie zawsze jest znany, właśnie dlatego, że dysydenci nie ujawniali swych nazwisk) świadczy o tym, że KGB stara się zdławić ruch w zarodku. W sierpniu amerykański dziennikarz Robert Gillett doniósł z Moskwy, że aresztowano dużą grupę młodzieży, którą nazywa „młodymi socjalistami”. Ku przestrodze innym zachodnim dziennikarzom wydalono z Moskwy szefa biura *Newsweek*'u Andrew Nagorskiego. Ostatni raz posunięto się do takiego kroku pięć lat temu. Nieszczęście A. Nagórskiego polegało na tym, że zna dobrze rosyjski.

Błędem byłoby oczywiście przedstawianie KGB wyłącznie jako organu represji. Wiadomo od dawna, że KGB — podobnie jak wszyscy jego poprzednicy — WCzK, NKWD — zajmuje się wychowaniem, a ściślej mówiąc reedukacją obywateli sowieckich. Nieprzypadkowo ewenement kulturalny Moskwy — komedia Ni-kołajja Erdmana pt. „Samobójca” — kojarzy się Moskwičanom z Jurijem Andropowem, oświeconym wielbicielem sztuki.

Pozwolenie na wystawienie „Samobójcy” należy rzeczywiście uznać za wydarzenie przede wszystkim kulturalne. Komedia, którą nazwałbym najlepszą komedią jaką napisano przez 65 lat istnienia władzy sowieckiej, została skończona w 1928 roku. Najpierw chciały ją wystawić cztery najlepsze teatry w Moskwie, potem został tylko MChAT. W 1931 roku Stanisławski dostał liścik od największego przyjaciela teatru J. Stalina, w którym przeczytał: „Wielce szanowny Konstantynie Siergiejewiczu! Nie jestem zbyt wysokiego zdania o sztuce 'Samobójca'. Moi najbliżsi towarzysze uważają, że jest ona jałowa a nawet szkodliwa...”. Trudno się dziwić, że po takiej recenzji K. S. Stanisławski postanowił sztuki nie wystawiać. Przypomniano ją w 1937 roku: *Prawda* nazwała „Samobójcę” „wrogiem wypadem”. Że autora w 1939 roku aresztowano rozumie się samo przez się.

I oto nagle w 1982 roku „Samobójca” idzie w Teatrze Satyrycznym w Moskwie. Temat sztuki jest prosty: żona bezrobotnego inteligenta — muzyka Siemiona Podsiekalnikowa wchodzi przypadkiem do kuchni w chwili kiedy on wkłada sobie coś do ust. Przekonana, że to rewolwer i że Siemion chce popełnić samobójstwo, zaczyna go prosić żeby tego nie robił, ale on zmęczony trudnym życiem, dochodzi do wniosku, że może byłoby to nienajgorsze wyjście z sytuacji. Jeszcze bardziej utrwala ją go w tym przekonaniu namowy sąsiadów, którzy zapewniają go: „W obecnych czasach, Obywatelu Podsiekalnikow, tylko martwy może wypowiedzieć to, co może pomyśleć żywy”. Ponadto ze wszystkich stron Moskwy zaczęli schodzić się do Siemiona ludzie prosząc go, aby w przedśmiertnym liście powiedział to, co oni myślą. Biedny muzyk, bojący się władzy, żony i teściowej, nagle jakby się wyzwala: „Boże mój! Nikogo się nie boję... W Związku żyje 140 milionów i każdy milion kogoś się boi, a ja nie boję się nikogo...”.

Siemion wyzwala się, nie wie jednak, co począć ze swoją wolnością. Jego końcowy monolog to najtragiczniejsze może słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedział bohater sowieckiej literatury: „Stoję oto przed wami, zdegradowany do masy człowiek, i chcę mówić z moją rewolucją: „Czego chcesz? Czego ci nie oddałem? Nawet rękę ci oddałem, Rewolucjo, moją prawą rękę, która teraz głosuje przeciwko mnie. Coś ty mi za to dała, Rewolucjo? Niczego... Czyż robimy coś przeciw rewolucji? Od pierwszego dnia rewolucji nie robimy niczego. Chodzimy tylko jeden do drugiego w gości i mówimy, że nam ciężko żyć. Dlatego że nam łatwiej żyć, kiedy mówimy, że nam ciężko żyć. Na Boga, nie odbierajcie nam ostatniego środka do życia, pozwólcie nam mówić, że nam ciężko żyć. No, choćby szeptem — „nam ciężko żyć”. Towarzysze, proszę was w imieniu miliona ludzi: dajcie nam prawo szeptać”.

Z okazji 65-tej rocznicy rewolucji były przewodniczący KGB a obecnie sekretarz KC, członek Biura Politycznego Jurij Andropow przyznał Moskwiaczanom „prawo do szeptu” i pozwolił im wyszeptać „nam ciężko żyć”. Słowa, które przez pół wieku ucho-

dziły za buntownicze, są dziś dozwolone w jednym z moskiewskich teatrów. Postęp niewątpliwy. Ale czy wystarcza dziś „prawo do szeptu”?

Adam KRUCZEK

11 sierpnia 1982

## Kronika niemiecka

W Brunzwicku odbyło się pod przewodnictwem profesorów Waltera Mertineita i Władysława Markiewicza posiedzenie rozszerzonego prezydium wspólnej komisji RFN-PRL do spraw rewizji podręczników szkolnych. ■ *Radio Free Europe* w Monachium wydało wartościową pozycję w języku angielskim: *Poland: A Chronology of Events*. Ten IV tom kroniki wydarzeń w Polsce za okres sierpień-grudzień 1981 opracował — podobnie jak poprzednie — Roman Stefanowski. ■ Na murach i płotach w Monachium pojawiły się liczne ręcznie pisane plakaty: *Frieden wie in Polen? — Nein, danke!* (*Dziękujemy za pokój w polskim wydaniu!*). ■ W zbiorach bawarskiej biblioteki w Monachium polscy historycy, m.in. J. Lewański i A. Podleś, zidentyfikowali XII-wieczny manuskrypt kodeksu znanego w literaturze naukowej jako *Pontyfikał płocki*. Prawdopodobnie został on w 1941 roku wraz z innymi 170 romańskimi rękopisami wywieziony przez Niemców do Królewca. ■ NRD-owcy propagandiści, Norbert Honsza i Bernard Wengerek, opublikowali w *Wydawnictwie „Śląsk”* pozycję pt. *Oblicza kompromisu. Literatura i kultura RFN lat siedemdziesiątych*. Student germanistyki *Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika* w Toruniu na łamach *Polityki*: „Jak mam czytać Honszę, obojętnie po polsku czy po niemiecku, to naprawdę wolę się przespać”. ■ Bawiła w Polsce (3-5 czerwca br.) delegacja *Niemieckiej Konferencji Biskupów* pod przewodnictwem arcybiskupa Kolonii kardynała Josepha Hoeffnera. W skład delegacji wchodził ponadto ordynariusz: Fryburga — abp Saier, Essen bp Hengsbach, Würzburga — bp Scheele, sufragan Monachium bp Tewes i sekretarz *Niemieckiej Konferencji Biskupów* prałat Homeyer. Podczas pobytu w Gnieźnie abp Józef Glemp złożył podziękowanie Episkopatowi zachodnioniemieckiemu za pomoc charytatywną, z jaką pospieszył dla potrzebujących jej w naszym kraju. *Trybuna Ludu* na marginesie wizyty: „żaden episkopat zachodni nie wykazał tyle publicznego, a przy tym tendencyjnego zainteresowania datą 13 grudnia, co Episkopat zachodniemiecki”. ■ *Komitet Zakładowy PZPR* w Berlinie Wschodnim zajmuje się głównie inwigilacją 20 tys. Polaków zatrudnionych w różnych zakładach pracy w NRD. ■ Władze RFN z dniem 30 czerwca br. zniosły zarządzenie zwalniające od opłat paczki nadawane do Polski. W Bonn oświadczono, iż powodem tej decyzji jest odmowa władz PRL i NRD zrezygnowania z zysków wpływających z opłat przewozowych. Niedobory poczty z tytułu bezpłatnych przesyłek rząd boński pokrył z budżetu dodatkowego w kwocie 77 mln marek. Z terenu RFN do Polski wysyłano miesięcznie ok. 750 tys. paczek, w sumie 4,3 mln przesyłek. Po przywróceniu opłat zainteresowanie społeczeństwa w Niemczech Zachodnich akcją charytatywną wyraźnie spada. Wysłanie 20 kg paczki kosztuje obecnie 39 DM. ■ Po kilku latach przerwy po-

nownie pojawiają się na polskim rynku NRD-owskie samochody osobowe — *Wartburgi i Trabanty*. Umowa przewiduje dostawę w bież. roku do PRL 6,3 tys. *Wartburgów*, 3,7 *Trabantów* oraz 500 samochodów inwalidzkich. ■ *Niemiecki Czerwony Krzyż* (RFN) dostarczył do Polski nieodpłatnie na okres całych wakacji maszynę do przetwarzania mleka w proszku, ponadto żywność i środki higieny osobistej. Dary zostały przekazane kolonom zdrowotnym, z których korzystało ok. 28 tys. dzieci chorych na cukrzyce, dotkniętych chorobami nerek i dróg oddechowych. ■ Bibliografia przekładów literatury polskiej w RFN za rok ubiegły wykazuje 36 tytułów. Najbardziej popularnymi pisarzami są Czesław Miłosz i Stanisław Lem. ■ Czeska straż graniczna w Fürth im Wald (Folmava) nie zezwoliła ks. Bogdanowi Sikorskiemu, biskupowi płockiemu, na przejazd tranzytem przez terytorium CSSR. Bp Sikorski podróżował samochodem z Bawarii do Polski. Jak podaje agencja *DPA*, czeski oficer wydał ponadto kartkę z paszportu polskiego biskupa. ■ *Deutsches Polen-Institut* w Darmstadtzie przygotowało 5-tomowe *Vademecum Literatury Polskiej XX wieku* oraz 25-tomową *Bibliotekę Klasyków Polskich*. W tej serii ukazać się ma w bież. roku 5 tomów, obejmujących m.in. poezję Mickiewicza, twórczość *Młodej Polski* oraz powieść Leona Kruczkowskiego *Kordian i Cham*. ■ Dopiero teraz dowiadujemy się, że 7 kwietnia br. w NRD policja aresztowała pracujących tam 30 robotników polskich, za znalezienie u nich ulotek *Solidarności*. Czterech z nich skazano na kary więzienia od 4 do 6 lat. ■ W pierwszym półroczu ambasada RFN w Warszawie wydała 44.292 wizy. 11.536 osób udało się w odwiedziny do rodzin, 6.569 osób opuściło PRL w ramach łączenia rodzin, 2.870 wyjechało na pobyty związane z kontraktami na pracę (głównie robotnicy budowlani), 67 osób otrzymało pozwolenia na wyjazd w celach turystycznych. Resztę stanowią wizy tranzytowe. ■ Bank na zachodniobrzeżnym dworcu kolejowym *ZOO* płaci za 100 zł polskich 50 fenigów. ■ Po turnieju piłki ręcznej rozgrywanym w Oyten k/Bremy dwie polskie zawodniczki z klubu *Stal* w Bielsku-Białej odmówiły powrotu do kraju. Także dwaj pięściarze, Czesław Kopałka i Bogdan Maczuga, reprezentanci Polski, zwrócili się do władz niemieckich z prośbą o azyl. ■ Dyrektor *Studium d/s Wschodu (Ostkolleg)* w Kolonii dr Werner Maibaum wygłosił odczyt w *Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych* w Warszawie pt. *Ruchy alternatywne a system parlamentarny RFN*. ■ Zachodniemiecki *Caritas* w ciągu 6 miesięcy bież. roku wysłał do naszego kraju 13 tys. ton artykułów pierwszej potrzeby, wartości 36 mln marek. *Caritas* zaopatrzył w żywność 80 tys. uczestników letnich akcji młodzieżowych w Polsce, organizowanych przez organizacje kościelne. ■ *Poznański Instytut Zachodni* wydał książkę Antoniego W. Walczaka pt. *Dylematy i obsesje jedności i podziału Rzeszy XIX-XX wieku. Polityka ogólnoniemiecka 1949-1969*. Str. 403. ■ Erwin Axer i Ewa Starowiejska (scenografia) zrealizowali sztukę Strindberga *Do Damaszku* w *Bayerisches Staatsschauspielhaus* w Monachium; Kazimierz Dejmek reżyserował *Łaźnię* Majakowskiego w *Theater der Stadt* w Essen; Jerzy Jarocki przygotowywał *Rewizora* Gogola w *Wuppertales Bühnen*; Henryk Baranowski sprawuje od połowy marca br. kierownictwo artystyczne zachodniobrzeżnego ośrodka *Transformtheater* i pozostawać będzie na tym stanowisku do marca 1984. Baranowski realizuje obecnie *Ulissesa* według Joyce'a i *Totenhorn* według Truchanowskiego. Scenografię do obu spektakli przygotowuje Andrzej Woroniec. ■ Na różnych budowach w RFN zatrudnionych jest 950 wykwalifikowanych polskich robotników, wysłanych do tego kraju przez firmę *Budimex*. ■ We wrocławskim *Ossolineum* ukazała się *Historia Niemiec*. Autorami interesującej syntezy są historycy z kręgu wrocławskiego Władysław Czapliński, Adam Galos i Wacław Korta. Trzech historyków poświęciło wiele uwagi stosunkom niemiecko-polskim i niemiecko-słowiańskim na przestrzeni dziejów. Liczne ilustracje i mapy, tablice i indeksy. ■ Firma

*Oetker* z Bielefeld (koncentraty spożywcze) otworzy w Polsce razem z *Pewexem* trzy dalsze punkty sprzedaży za twarde waluty (Gdańsk, Opole i Łódź). ■ Według informacji dziennika *Die Welt* niektóre oddziały wschodniemieckiej policji przechodzą przeszkolenie pod katem ewentualnego przyścia z pomocą *ZOMO*. Funkcjonariusze mają przechodzić kurs języka polskiego i brać udział w akcjach (po cywilnemu) przeciwko „siłom kontrrewolucyjnym” w PRL. Podaną wiadomość należy traktować bardzo ostrożnie. ■ Wartościowa praca Andrzeja J. Kamińskiego, profesora najnowszej historii na wuppertalskim uniwersytecie, pt. *Konzentrationslager 1896 — bis heute (Obozy koncentracyjne od 1896 po dzień dzisiejszy)*, ukazała się w wielkim wydawnictwie *Kohlhammer Verlag* (Stuttgart 1982, str. 292). ■ Chór chłopięcy i męski *Filharmonii Państwowej* w Poznaniu, znany powszechnie pod nazwą *Słowików Poznańskich* (87 osób), koncertował w Kolonii, Düren, Bocholt, Helmstedt i Getyndze. Pochlebne krytyki ukazały się w czolowych dziennikach. ■ W pierwszym programie zachodniemieckiej *TV* wyświetlona została ośmioczęściowa seria filmowa pt. *Skrawek nieba (Ein Stück Himmel)*, oparta na dwutomowej autobiografii Janiny David (Dawidowicz), w której autorka opisuje swoje dzieciństwo i młodość w latach 1939-1945. Film inscenizował Franz Peter Wirth; autorem scenariusza jest Leo Lehmann. Obydwa pierwsze tomy autobiografii — *Skrawek nieba* oraz *Skrawek ziemi (Ein Stück Erde)* — zostały wydane nakładem monachijskiej oficyny *Hanser Verlag*. ■ *Przekuć miecze na lemiesz* — takie jest hasło NRD-owskiego ruchu na rzecz pokoju. Spontaniczna fala nastrojów antymilitarystycznych wśród młodzieży Wschodnich Niemiec wywołała szereg kontraktacji reżymu. Zabroniono publicznego noszenia znaczka symbolizującego miecz przekuwany na lemiesz. Kilku dziesięciu przywódców ruchu zostało aresztowanych. ■ Monachijaska *Süddeutsche Zeitung* podkreśla, że dla Polski „konieczne są dobre stosunki z Sowietami, ale przecież dopuszczalne powinno być zastanawianie się nad formą i treścią tych stosunków”... ■ Na polskim szelfie Morza Bałtyckiego, polsko-enerdowsko-sowiecka załoga platformy wiertniczej *Petrobaltic* odkryła jakoby nowe złoża gazu ziemnego. Platforma ma przejść dla wykonania kolejnego otworu na sowiecki szelf bałtycki. ■ W Dortmund-Eving zmarł Stefan F. Kaczmarek, nauczyciel, długoletni przewodniczący finansowanej przez władze niemieckie *Polskiej Macierzy Szkolnej*. Żył lat 81. ■ 120 polskich restauratorów jest zatrudnionych obecnie przy konserwacji różnych zabytków w RFN. ■ Z apelem o natychmiastowe zwolnienie prof. Leszka Nowaka, filozofa z Poznania, internowanego w kacieci *WRON-y* w Ostrowie Wielkopolskim, wystąpili wybitni naukowcy zachodniemieccy, m.in.: Iring Fetscher, Ludwig von Friedeburg, Jürgen Habermas i Dieter Mans. Leszek Nowak wykładał w 1980 roku na *Uniwersytecie im. J.W. Goethego* we Frankfurcie n/Menem filozofię marksizmu. Po powrocie do Polski wystąpił z *PZPR*. Publikował swoje prace w niezależnych wydawnictwach krajowych. ■ Gotthold Rhode przedstawił zmiany w *PZPR (Partei im raschen Wandel)* w gruntownej analizie opublikowanej na łamach miesięcznika *Osteuropa* (nry 4, 5, 6/1982); ostatnie zjazdy *PZPR* przebiegały w atmosferze „bezradności i braku koncepcji”. ■ Esej Jana Józefa Lipskiego — *Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy (uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków)* ukazał się w formie specjalnej broszury nakładem niemieckiego kwartalnika *Kontinent*, ze wstępem i objaśnieniami Gottholda Rhode. Esej Lipskiego tłumaczyła na język niemiecki Edda Werfel. ■ Niezwykłym powodzeniem cieszył się wernisaż grafik Heleny Szackiej i monotypii Jarosława Markiewicza w zachodniobrzeżnej *Galerie Kleines Kra*. ■ Prywatne ogródki działkowe odgrywają dużą rolę w gospodarce wschodniemieckiej; ogródków takich jest obecnie 670 tysięcy. Zajmują one niecały jeden procent powierzchni rolnej, ale produkują 50 % wszystkich owoców, wytwarzają 140 tys. ton warzyw, czyli po-

nad jedną czwartą produkcji ogólnej. ■ Pod hasłem *Aby myśl o narodzie polskim pozostała w naszym mieście żywa* otwarta została w pomieszczeniach Biblioteki Miejskiej w Getyndze wystawa książek o tematyce polskiej. ■ Opatrzony fotografiami obszerny reportaż o działalności Rządu R.P. w Londynie zamieścił dziennik boński *Die Welt*. ■ Według danych *Frankfurter Rundschau* Amerykanie dostarczyli w ub. roku ok. 43% węgla importowanego przez RFN, zaś dostawy polskie wyniosły zaledwie 9,5%. „Polska luka” z lat 1980-1981 zostanie w całości wypełniona w następnych latach przez USA i kilka innych krajów zachodnich. ■ *Hamburski Instytut Badań Gospodarki Światowej (HWWA)* przewiduje, że zadłużenie Polski na Zachodzie wyniesie w 1985 roku 40,2 mld dolarów. ■ W serii zeszytów *Dokumentation Ostmitteleuropa*, wydawanych przez *Johann-Gottfried-Herder-Institut* w Marburgu, ukazała się zbiorowa praca — *Die deutsche Sprache in Polen nach 1945 (Język niemiecki w Polsce po roku 1945)*. ■ Józef Robakowski prezentował w Kolonii swoje filmy — *Construction in process* i *Witkacy*. ■ *Uniwersytet w Wuppertalu* wystawił w *Galerie in der Hochschule* obrazy olejne i pastele Krystyny Żywulskiej (Düsseldorf). ■ W 1981 roku ze stypendiów *Fundacji im. Alexandra von Humboldta* korzystało 137 Polaków. ■ W Kolonii odbył się międzynarodowy kongres pisarzy *INTERLIT '82*, którego jednym z głównych tematów była rola środowiska literackiego „w walce o pokój”. Inicjatorami kolonijskiego spotkania byli: „rządowy” poeta z NRD Stephan Hermlin i komunizujący pisarz zachodnoniemiecki Bert Engelmann. Polskę reprezentowali literacy kolaboranci: Jan Dobraczyński, Jan Koprowski (podpora *Tu i Teraz*) i Michał Misiorny (kierownik działu kulturalnego *Trybuny Ludu*). Żarliwi obrońcy junty wojskowej w PRL występowali w Kolonii na rzecz pokoju. Okazała się delegacja pisarzy sowieckich: Wasilij Bykow, Jewgienij Jewtuszenko, Sergiej Michałkow, Edward Mieżalajtis, Władimir Staszenski, Valentin Rasputin i Aleksander Czakowski. Podczas gdy Czakowski malował w najczarniejszych barwach obraz USA i nakłaniał pisarzy europejskich do tworzenia wspólnego frontu przeciwko Reaganowi (czyżby jeszcze nie istniał?) — Jewtuszenko dla odmiany wygłosił monolog pt. *Podróż z miasta „da” do miasta „nie”*. Wyrażnie czuło się, że poeta jest zafascynowany... Orwellem. Heinrich Böll przeszedł wszelkie oczekiwania. Jego zdaniem „kolebką antykomunizmu jest właśnie Związek Sowiecki”, który posiada dwa oblicza: „na zewnątrz imperialistyczne, na wewnątrz feudalne; trzeba się zastanowić nad używaniem słowa *komunizm*, skoro oznacza ono zagrożenie”. Sowieccy pisarze mieli okazję zapoznać się z listem zaadresowanym do nich, który jeszcze w czasie trwania *INTERLIT-82* dotarł z Rosji do Kolonii. Autorem listu-apelu, w którym przedstawiono losy prześladowanych pisarzy w Sowietach był anonimowy działacz ruchu na rzecz obrony praw człowieka. Tekst został rozpowszechniony w prasie przez redakcję niemieckiego kwartalnika *Kontinent*. ■ W sprawozdaniu z konferencji prasowej w Bonn, zorganizowanej przez chadecki *Związek Studentów RCDS*, ogłoszonym na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* poinformowano, że DGB zaledwie symbolicznie wspomaga finansowo *Biuro Informacyjne Solidarności* w Bremie. Natomiast *Grupy Robotnicze Solidarności* działające w Berlinie Zachodnim, Hamburgu, Hanowerze, Düsseldorfie, Monachium, Saarbrücken i Augsburgu są pozbawione jakiegokolwiek pomocy. Na terenie RFN przebywa obecnie 180 działaczy *Solidarności*. Większość z nich korzysta z minimalnych zasiłków socjalnych.

Andrzej J. CHILECKI

Carlsberg, 11 sierpnia 1982.

### Do Redakcji Kultury

W dziale „Kronika Niemiecka” numeru 7/8 (1982) *Kultury* znalazła się notatka treści następującej: „Diakonia Ruchu Światło-Życie w RFN rozpoczęła działalność w polskim ośrodku Marianum w Carlsberg pod kierownictwem ks. Franciszka Blachnickiego (6719 Carlsberg, Kreuzweg 28). Cieszymy się, że ks. Blachnickiemu — duchownemu z Kraju — udało się uratować polski ośrodek w Carlsbergu doprowadzony do upadku na skutek obojętności Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech”.

Uważam, że drugie zdanie tej notatki jest nieprawdziwe i krzywdzące. Polska Misja Katolicka w Niemczech poprzez specjalnie do tego powołany Komitet zawsze troszczyła się o ośrodek Marianum w Carlsberg, a kiedy w październiku ub. roku prowadzony tam przez Caritas w Mannheim Dom Dziecka z powodu braku odpowiedniej ilości dzieci musiał zostać rozwiązany, wyżej wspomniany Komitet czynił wszystko, co było w jego mocy, aby uratować ten ośrodek dla duszpasterstwa polskiego.

Wyrazem tej troski zaś było m.in. prowadzenie rozmów i pertraktacji ze mną na temat przejęcia Marianum dla celów ruchu oazowego i w końcu przekazanie mi odpowiedzialności za ten ośrodek, kiedy w związku z wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce mogłem na dłuższy czas zatrzymać się w RFN i podjąć się tego zadania.

Uprzejmie więc proszę o umieszczenie w następnej Kronice Niemieckiej powyższego sprostowania i uzupełnienia.

Z wyrazami szacunku,

Ks. dr habil. Franciszek BLACHNICKI

Do wiadomości otrzymuje:

Ks. Prałat Stefan Leciejewski,

Rektor Misji Polskiej w Niemczech.

## Kronika litewska

Kler i wierni Litwy wysłali do Papieża wzruszające pismo dziękczynne za głoszone słowa prawdy i miłości i wszystko co uczynił dla Litwy. Wyrażają też nadzieję, że będą mogli powitać Papieża w Ostrej Bramie na 600-lecie chrztu Litwy, przypadające w roku 1987. ■ *Kronika Kościoła Katolickiego Litwy* obchodziła swe 10-lecie — wyszedł jej 51 numer. Za współpracę z tym pismem zostało skazanych 14 osób i znacznie więcej nie bezpośrednio z nim związanych. ■ Protest wierzących Litwy do sekretarza Litewskiej kompartii Kriškevičiausa, w związku z prześladowaniami młodzieży, datowany dn. 19.3.82 zaopatrzony jest w 18.344 podpisy. Cytowane są tam wypadki aresztów, pobicia, znęcania się nad pielgrzymującymi do Szydłowa oraz nad uczestnikami zebrań młodzieży. Zwraca uwagę mała ilość podpisów z Wileńszczyzny, a wielka ze Żmudzi i Suwalszczyzny. ■ W Nadbałtyce zarejestrowano przywiezienie zwłok 600 żołnierzy poległych

w Afganistanie. Podobno większość wysyłanych tam wojsk stanowią nierosjanie. Dla uniknięcia rozgłosu zaprzestano repatriowania zwłok z Afganistanu. ■ Na Łotwie nawet mąka wydawana jest jedynie na kartki i to tylko w soboty, po długim czekaniu w kolejkach. Funt kawy kosztuje \$15. Próba jednogodzinnego strajku 1.12.82 w Estonii jednak drogo kosztowała. Aresztowano 150 osób, z czego 40 jeszcze w kwietniu czekało na wyroki. ■ Statystyki podają, że w roku 1979 małżeństwa zawarte na Litwie były w 18,4% mieszane narodowo, najliczniej w małych grupach narodowych: ukraińskiej — 89%, białoruskiej — 86%, polskiej — 38%, rosyjskiej — 50%. Natomiast w roku 1978 w samym Wilnie, wśród zawieranych małżeństw mieszanych, litewskich było 20%, polskich — 49%, rosyjskich — 47%, białoruskich — 82%, ukraińskich — 94% i żydowskich — 40%. Można wnosić, że w Wilnie, gdzie jest około 100.000 Polaków i 50.000 Białorusinów (przeważnie katolików) łączą się oni w jedną grupę. Wielką ilość małżeństw mieszanych w grupie rosyjskiej może na chybą tłumaczyć tym, że przyjeżdżają tu rodziny i samotni Rosjanie, którzy łączą się przede wszystkim z grupami o rosyjskiej kulturze. ■ Litwa odbiera audycje *Liberty* z Niemiec, *Głosu Ameryki* z Waszyngtonu, króciutkie audycje litewskiej emigracji z Chicago oraz z Rzymu, Watykanu i Madrytu. Najbardziej są zagłuszane *Głos Ameryki* i *Liberty*, a mniej Watykan. Madryt jest słabo słyszalny. Ponadto audycji w języku litewskim jest: 17 w USA, 3 w Kanadzie, 4 w Australii i po jednej w Argentynie i Brazylii. ■ Przywódca litewskiej emigracji politycznej dr K. Bobelis, objeżdżający litewskie skupiska w Australii, w czasie uroczystego bankietu doręczył wydawcy *Wiadomości Polskich* w Sydney, redaktorowi J. Dunin-Karwickiemu, plakietę-odznaczenie za zasługi w krzewieniu przyjaźni litewsko-polskiej. To wyróżnienie przez Naczelny Komitet Wyzwolenia Litwy (VLIK) jest pierwszym odznaczeniem udzielonym przez Litwinów Polakowi, gdyż redaktor Dunin-Karwicki jest pierwszym polskim działaczem, który uznaje litewskie prawa do historycznej stolicy, Wilna. Dr Bobelis oświadczył, że jedynym polskim czasopismem, które popiera i podziela — w wielu sprawach — litewskie dążenia jest paryska *Kultura*. Następnie w swym sprawozdaniu z działalności powiedział, że VLIK utrzymuje stosunki z rządem polskim w Londynie, w dziedzinie akcji wywoleńczej, nie poruszając spraw spornych, zaś z Kongresem Polonii Amerykańskiej ma dobre stosunki i bliską współpracę. ■ Litwini w Sydney zebrali pół tony odzieży, przeważnie wełnianej, i za pośrednictwem miejscowej organizacji „Solidarność” przesłali do Polski. Na workach z odzieżą był apel, by przy rozdziale darów nie byli pominięci Litwini zamieszkali w Polsce. ■ Miesięcznik litewsko-amerykański *Akiračiai* zamieszcza dyskusję na temat stosunków polsko-litewskich w wypadku rozkładu Związku Sowieckiego i unieważnienia układów jałtańskich i w Poczdamie. Pesymista powiada, że decydujące będzie nastawienie polskich mas i nacjonalistycznego Kościoła, który nie idzie na kompromisy, nawet w Sejnach, nie zaś intelektualistów takich jak Miłosz i *Kultura*. Nie jest rozsądne jednak podtrzymywanie skostniałej wrogości. Z Polakami trzeba rozmawiać, wykazywać dobrą wolę, nie zapominając o zachowaniu *status quo* i o tym, że Wilno staje się coraz bardziej litewskie i że czas gra na korzyść Litwinów. W dalszej dyskusji stwierdzono, że za czasów Piłsudskiego Polacy nie zdawali sobie sprawy z odrębności etnicznej Litwinów i ich aspiracji do niepodległości. Odnosili się do nich tak samo, jak Litwini odnieśli się do dążeń separatystycznych np. Żmudzi. Przez ubiegłe dziesięciolecie większość Polaków zdała sobie jednak sprawę z odrębności Litwinów i nauczyła się ją szanować. W latach 1980/81, gdy w Polsce można było pisać co się chce, nie było głosów wypowiadających się za odzyskaniem Wilna — poza prowokacyjnymi ulotkami ubeków. Polskim masom bardziej odpowiada program intelektualistów i *Kultury* niż dawne hasła nacjonalistów. W kilku

wypadkach polscy dysydenci wyrażali się z sympatią o Litwie. Polski Kościół jest nacjonalistyczny, ale i on ulega wpływom intelektualistów. Konflikt w Sejnach nie powinien nam zaciemniać spraw ważniejszych. Być może, że w tym lokalnym konflikcie komuniści rzeczywiście maczają palce. Chociaż w poszczególnych okręgach Wileńszczyzny jest przewaga ludności mówiącej po polsku, jednak w wypadku rozpadu Związku Sowieckiego nie będzie chyba plebiscytu w poszczególnych gminach. Można to załatwić przez wymianę ludności i korektę granic. Polacy w Wileńszczyźnie powinni mieć swe szkoły i pomoc w rozwoju kulturalnym. Nie można tępić śladów polskiej kultury, ani też gwałtem ich litwinizować, gdyż może to wywołać konflikty. Rozsądne postępowanie bez okazywania wrogości może odsunąć niebezpieczeństwo wojny. ■ W biuletynie T-wa Studiów Bałtyckich Czesław Miłosz na pytanie, jaki wpływ mogą mieć kraje bałtyckie na kulturę europejską, odpowiedział: „Polski poeta musi pochodzić z Litwy, by stać się wielkim i znanym poetą. Podobnie jest w Anglii, gdzie poważni pisarze pochodzą z Irlandii. W Polsce panuje przekonanie, że na Litwie są jeszcze pogańskie bożkowię i dają natchnienie poetom. A więc z polskiego punktu widzenia wpływ Litwy na literaturę polską jest bezsprzeczny. Poeta Adam Mickiewicz pochodzi z Litwy, chociaż miał więcej wspólnego z terenami białoruskimi. Uniwersytet Wileński ma w Polsce swoją legendę. Nie można sobie wyobrazić polskiej kultury bez mitu wileńskiego. Około roku 1820 tu zrodził się kierunek polskiego romantyzmu i rozkwit literatury”.

E. ŻAGIELL

## Kronika białoruska

W BSSR i na białoruskich podsowieckich ziemiach etnicznych poza jej granicami ucisk religijny trwa nadal ze wzmożoną siłą. W Smoleńsku urządzano do niedawna seminaria prawosławne, na które uczęszczała młodzież i inteligencja. Kierowniczką zajęć seminaryjnych, nauczycielką francuskiego Tatiana Sčypko, po zwolnieniu z pracy w szkole została skazana przez sąd na 3 lata łagrów. Edward Bułach, inżynier-mechanik lotnictwa, który był zwolniony z pracy w Instytucie Politechnicznym w Mińsku za przynależność do zrzeczenia religijnego pięćdziesiętników (zielonoświątkowców) i osadzony w więzieniu psychiatrycznym został niedawno skazany przez sąd w Wilnie, gdzie zamieszkiwał wraz z rodziną bez zezwolenia władz, na rok więzienia za „naruszenie regulaminu paszportowego”. Inż. Bułach od czterech lat ubiega się bezskutecznie o zezwolenie na wyjazd za granicę. Przeszło 4 lata władze odmawiają pięćdziesiętnicze Tamarze Bojarowskiej zezwolenia na wyjazd do jej stryja Michała Bojarowskiego w Anglii. Kiedy ją także zwolniono z pracy i pozbawiono prawa mieszkania w Wilnie, wraz z 10-ma innymi pięćdziesiętniczkami wzięła udział w demonstracji przed gmachem Prezydium Rady Najwyższej ZSSR w Moskwie, domagając się zezwolenia na wyjazd z ZSSR i zaprzestania przesładowań religijnych. Wszystkie one zostały aresztowane.

Z Białorusi doszły na Zachód wieści, że sowieccy funkcjonariusze państwowi skupują Pismo Święte u ludności, płacąc 50 rubli za egzemplarz. ■ Metropolita miński i „całej Białorusi” Filaret, kierownik Wydziału Kontaktów Zagranicznych Patriarchatu Moskiewskiego, biorąc udział w konferencji zwierzchników Kościołów chrześcijańskich i niechrześcijańskich zrze-

szeń religijnych, zwołanej z inicjatywy arcybiskupa Canterbury w lutym bież. roku w Jerolimie w celu „zjednoczenia walki o pokój”, poinformował zebranych, że on sam „pozyskał” 480-ciu przedstawicieli wszystkich wyznań religijnych ze 125-ciu krajów do współpracy w „ruchu pokojowym”. Uczestnicy konferencji entuzjastycznie przyjęli do wiadomości informację metropolity Filareta i postanowili zwołać Światowy Kongres w celu powzięcia decyzji o „wspólnych wysiłkach wszystkich przedstawicieli religijnych, zmierzających do uchronienia świętego daru życia ludzkiego przed katastrofą atomową”. Zachęcony tą pacyfistyczną rezolucją „ruchu pokojowego”, metropolita Filaret wysunął w imieniu Patriarchatu Moskiewskiego propozycję zwołania Światowego Kongresu w Moskwie w dniach 10-14 maja br., która została chętnie przyjęta, a ponadto zaprosił na ten kongres słynnego amerykańskiego ewangelicznego kaznodzieję Billy Grahama, którego nazwał „pulemiotczykom Boga” (cekaemistą Boga). Pochlebiony tym epitetem Billy Graham, który niejednokrotnie przedtem ubiegał się bezskutecznie o zezwolenie na wjazd do ZSSR, z radością przyjął zaproszenie. Nie zważając na perswazje prezydenta Reagana i wiceprezydenta Busha, by zrezygnował z wyjazdu do Moskwy, Billy Graham — oświadczywszy, że jego „wcale nie obchodzą polityczne cele Kongresu”, że w Moskwie będzie „głosicielem Ewangelii Chrystusa”, do Moskwy pojechał i wziął udział w Kongresie. Po wzięciu udziału w nabożeństwie, celebrowanym przez patriarchę moskiewskiego Pimena w Jelochowskim soborze, i w jedy-nym w Moskwie kościele baptystycznym, Billy Graham 12 maja br. powiedział, że w Związku Sowieckim istnieje swoboda religii i że on „nie widział oznak prześladowań religijnych” (!). ■ Białoruski sowiecki tygodnik *Litatura i Mastactwa* (Literatura i Sztuka) podał niedawno, że w Mołodecznie, na ścianie budynku, w którym przed wojną mieściła się komenda powiatowa polskiej policji państwowej, umieszczono tablicę pamiątkową z napisem, że w tym budynku w czasie sześciotygodniowego śledztwa więziony był poeta białoruski Valencin Taułaj. ■ Nowojorska *Bielarus* w nrze 299-ym podaje: „Białorusini w 100-lecie urodzin Kupaty i Kołasa i w 60-lecie stworzenia BSSR otrzymali od partii 'jubileuszowy' prezent: zmniejszone od początku br. nakłady białoruskich czasopism literackich: *Polymia* (Płomień), *Maładość* (Młodość) i *Bielarus* (Białorus)”. Natomiast nakład czasopisma w języku rosyjskim *Nieman* został powiększony. *Bielarus* upatruje w tym wzmożenie rusyfikacji na Białorusi. ■ W wydawnictwie Mikołaja Pruskiego w Grand Rapids, Michigan, USA, wyszedł zbiór wspomnień kilku autorów o Kupale i Kołasie pod redakcją Auhiena Kałuboviča. W odróżnieniu od podobnych wspomnień wydanych w BSSR, w których wiele faktów z ich życia jest przemilczanych, autorzy zbioru ukazują obu poetów w prawdziwym świetle. ■ O braku podstawowych artykułów żywnościowych na Białorusi świadczy artykuł sekretarza mińskiego miejskiego komitetu partii N. Nierada w nrze 6-tym z bież. roku moskiewskiego czasopisma *Ogoniok*. Brakuje nawet chleba. Nierad pisze: „Miasto uczy się oszczędzać. By lepiej uchronić chleb, ludzie trzymają go w polietylenowych pokrowcach, ściślej jest kontrolowane podawanie chleba w stołówkach, wywieszane są recepty sporządzania dań z czerstwego chleba”. ■ W maju bież. roku w wydawnictwie Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku wyszedł zbiór utworów zmarłego w 1978 roku w Australii poety białoruskiego Alesia Saławieja (Alfreda Radziuka) pt. „Niatusknaja krasa” (Nieblaknące piękno).

Włodzimierz BRYLEWSKI

## Sprawy i troski

### Slawistyka nierosyjska w USA

Słowem „slawistyka” będę tutaj nazywała nie tylko studia literatur słowiańskich, ale i studia historyczne, ekonomiczne i politologiczne, dotyczące krajów słowiańskich. Używam tej szerokiej definicji dlatego, że studia nad krajami słowiańskimi (z wyjątkiem Rosji) zajmują tak mikroskopijne miejsce w hierarchii studiów uniwersyteckich w Stanach Zjednoczonych, że nie ma sensu rozdzielanie ich na część literacką i nieliteracką.

Sytuację slawistyki w USA i jej możliwości określa do pewnego stopnia specyfika życia akademickiego w tym kraju. Po pierwsze, ilość wyższych uczelni przekracza tu dwa tysiące. Poziomy i tendencje tych uczelni są również niesłychanie zróżnicowane. Z tych dwóch tysięcy nie więcej jak trzysta posiada wykładawcę języka rosyjskiego i (lub) wykładawcę historii Rosji i ZSSR. Nie więcej jak dwadzieścia posiada wykładawcę języka polskiego. Z tych dwudziestu nie więcej jak pięć posiada program, w którym studia nad polską literaturą i językiem są obsadzone więcej niż jednym pełnym etatem i w którym i język i literatura ofiarowywane są studentom regularnie, tzn. co roku. Podobne fakty można przytoczyć i o innych językach słowiańskich. Na wielu uniwersytetach języki polski, czeski, serbo-chorwacki i bułgarski prowadzą życie mityczne, tzn. umieszczone są w katalogach uniwersyteckich, ale wykłada się je rzadko. Wykładawca polskiego i rosyjskiego, lub czeskiego i rosyjskiego, to często jedna i ta sama osoba, której pełny etat składa się z rusycystyki (80 %) i polonistyki (20 %). Co do studiów historycznych, ekonomicznych i politologicznych, specjalistów od spraw polskich i kursy na temat spraw polskich (czeskich, serbo-chorwackich, bułgarskich) można by policzyć na palcach obu rąk. Z reguły studenci, chodzący na kursy historii europejskiej, nigdy nie słyszają słowa „Polska” na wykładach. Profesor Piotr Wandycz jest tutaj samotną latarnią w egipskich nieomal ciemnościach.



Tak więc nawet rosyjska slawistyka zajmuje podrzędne miejsce na uniwersytetach amerykańskich; pozostałe studia słowiańskie można określić jako podgrupę mało liczebną w grupie mało liczebnej. Nie należy się więc dziwić, że polski punkt widzenia i polska kultura nie grają, praktycznie rzecz biorąc, żadnej roli w kształceniu inteligencji amerykańskiej i formowaniu jej poglądów. Długofalowym rezultatem tego jest względna obojętność społeczeństwa i rządu amerykańskiego na sytuację Polski, jak również błędna interpretacja wydarzeń w Europie Wschodniej na łamach prasy amerykańskiej.

Innym czynnikiem, wpływającym na sytuację slawistyki w Stanach, jest obowiązująca tu zasada „publikuj albo gin” (*publish or perish*). Oznacza to, że wykładowca uniwersytecki, który w pierwszych latach swej pracy zawodowej nie wyprodukuje przynajmniej jednej książki i tuzina artykułów, musi swój zawód opuścić. Nie dostanie on bowiem *tenure*, tzn. pisemnej obietnicy stałego zatrudnienia od uniwersytetu, na którym pracuje. Z drugiej strony, jeżeli po uzyskaniu *tenure* wykładowca nie kontynuuje wydawania książek i artykułów, jego prestiż zawodowy szybko spada do zera. Duża część wykładowców slawistyki w Stanach to imigranci pochodzenia słowiańskiego, nieprzyzwyczajeni do takiego morderczego współzawodnictwa: w kulturze europejskiej, a zwłaszcza słowiańskiej, tradycje uniwersyteckie są inne. Odpadają więc oni po drodze, a ci, co uzyskują *tenure*, przestają zwykle publikować wkrótce po jej uzyskaniu, i w rezultacie tracą szansę na uczestniczenie w polityce uniwersyteckiej. Do tego należy dorzucić dyskryminację Słowian, a zwłaszcza Polaków, na wyższych uczelniach Stanów Zjednoczonych. Przykładem tej dyskryminacji jest przemilczanie książek o Europie Wschodniej, napisanych przez slawistów pochodzenia słowiańskiego. Książki takie rzadko pojawiają się w bibliografiach i przypisach innych książek i są rzadko cytowane w artykułach naukowych. Na przykład wzmiankę o *Poland in the Twentieth Century* K. M. Dziewanowskiego trudno jest znaleźć w książkach na zbliżone tematy, mimo że wydała ją prestiżowe wydawnictwo *Columbia University Press*.

Trzecim czynnikiem, wpływającym na stan i możliwości slawistyki amerykańskiej, jest specyfika życia społecznego Stanów Zjednoczonych i związane z nią trudności dotarcia do opinii publicznej tego kraju. USA jest prawdopodobnie jedynym krajem świata, w którym nie tylko obywatel, ale i cudzoziemiec może publicznie wyrażać wszelkie poglądy na wszelkie tematy. Sęk w tym, aby go ktoś zechciał wysłuchać. Środki masowego i niemassowego przekazu w Stanach przypominają przeładowany obwód elektryczny. Bez zgody i aktywnej współpracy osób i instytucji, będących właścicielami i kierownikami tego obwodu, nie da się tam prawie nic wpakować (wyjątki, jak wiadomo, potwierdzają regułę). Większość slawistów nie ma żadnych „chodów” wśród osób, które mogą sprawy Europy Wschodniej włączyć do tego obiegu. Niecierpliwość nie pozwala im zdać sobie

sprawy, że aby uzyskać do niego dostęp, należy przez wiele lat cierpliwie nad tym pracować. Rezultatem jest to, że nawet dobre książki i opracowania o Europie Wschodniej nie docierają na ogół do szerszych warstw społeczeństwa amerykańskiego. Przykładem jest wspomniała książka Leszka Kołakowskiego *Główne nurty marksizmu*. Gdyby każdy wykładowca uniwersytecki pochodzenia polskiego w Stanach postawił sobie za zadanie wprowadzenie tej książki do obiegu, czy to przez użycie jej jako tekstu w jakimś kursie, czy przez wygłoszenie o niej wykładu, czy przez napisanie recenzji, czy wreszcie przez przypomnienie o niej kolegom z innych wydziałów, weszłaby ona może w krąg najpopularniejszych prac o marksizmie. Na razie jednak jest ona skrupulatnie omijana przez większość politologów amerykańskich; recenzje z niej nie pojawiają się w czasopismach slawistycznych i mimo prestiżowego wydawnictwa (*Oxford University Press*) i grupki gorących wielbicieli nie jest ona jeszcze włączona w obieg uniwersytecki.

Czwartym czynnikiem, wpływającym na stan slawistyki amerykańskiej, jest tradycja. W slawistyce amerykańskiej, a stąd i w społeczeństwie, żyje wciąż wizja Europy Wschodniej, którą narzucili uczeni i politycy o proniemieckim, imperialnym punkcie widzenia jeszcze w dziewiętnastym wieku. Według niej narody Europy Wschodniej nie potrafią się same rządzić i należy im narzucić albo rządy niemieckie, albo rosyjskie (gdyż Rosja powoli zdobyła sobie pewną ilość zwolenników w kręgach akademickich, politycznych, ekonomicznych i nawet religijnych). Ten punkt widzenia popularny jest zwłaszcza wśród amerykańskich historyków. Rezultatem jest to, że nie mówi się nigdy o patriotyzmie mieszkańców Europy Wschodniej, lecz zawsze o ich wstrętnym „nacjonalizmie”, który identyfikuje się z antysemityzmem. W wyobrażeniach dużej części politologów i socjologów amerykańskich i ich studentów kultura wschodnioeuropejska to kultura chłopska, Wschodnia Europa zaś to niejasno określona równina, którą należy przyłączyć albo do prężnej narodowości niemieckiej, albo do rosyjskiej. Na równinie tej barbarzyńscy chłopcy zajmowali się w ciągu ostatnich paru stuleci „robieniem kłopotów” swoim sąsiadom oraz prześladowaniem Żydów. Wśród nielicznych książek o polskiej historii i życiu społecznym, które ukazały się w Stanach w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat, niewiele jest takich, które by nie wspomniały o rzekomym nagminnym polskim antysemityzmie. Pogłoski o polskim antysemityzmie, którymi publiczność akademicka i nieakademicka w Stanach były karmione w 1956, 1968 i nawet w 1980 roku, wyrządziły amerykańskiej polonistyce, i w ogóle sprawie polskiej w USA, niepowetowaną szkodę.

Jak się to wszystko wyraża w konkretnych instytucjach i programach? Zrzeszenia akademickie, do których należą slawisci, są następujące: *American Association for the Advancement of Slavic Studies* (skupiające literaturoznawców, lingwistów, politologów, historyków, ekonomistów i socjologów, słowem wszyst-

kich tych, którzy się sprawami Europy Wschodniej w jakiś sposób interesują. Prym w tej organizacji dźwierzają oczywiście rusycyści; *American Association of Teachers of Slavic and East European Languages*, skupiające nauczycieli literatury i języka. W bardzo małym procencie *American Historical Association*, skupiające historyków; *American Political Science Association*, skupiające politologów, i *American Economical Association*, skupiające ekonomistów. Zrzeszenia te organizują kongresy i zjazdy naukowe, wydają kwartalniki i książki. Na przykład AATSEEL organizuje zjazd w Chicago w grudniu 1982 roku, na który zaplanowano przeszło czterdzieści panelów. Nie ma wśród nich ani jednego, poświęconego literaturze lub językowi polskiemu, czeskiemu, serbo-chorwackiemu czy bułgarskiemu. Jest parę panelów „słowiańskich”, ale oznacza to zwykle, że jeden referat będzie tam na tematy nierosyjskie, a trzy na rosyjskie. Zjazd AATSEEL-u jest typowy: na amerykańskich zjazdach naukowych nikt nie kwapi się organizować paneli na tematy polskie. Przyczyną jest nie tyle dyskryminacja, ile bierność slawistów amerykańskich pochodzenia polskiego.

Należy dodać, że na tym samym zjeździe AATSEEL-u będą dwa panele na temat literatury ukraińskiej. Ze wszystkich mniejszości słowiańskich w Stanach Ukraińcy są najaktywniejsi. Ufundowali oni Instytut Studiów Ukraińskich przy uniwersytecie Harvard i mimo uśmiezków i dąsów tamtejszego wydziału slawistyki, prowadzą prężną i dobrze zorganizowaną politykę faktu dokonanego: wydają książki i broszury, organizują kursy wakacyjne, czuwają nad tym, aby panele ukraińskie pojawiały się na zjazdach i kongresach. Niestety Polski Instytut Naukowy niczego takiego nie robi.

Nikłość prac naukowych na tematy Europy Wschodniej (z wyjątkiem Rosji) odzwierciedlają bibliografie, publikowane co roku przez różne zrzeszenia naukowe. Na przykład bibliografia studiów literacko-lingwistycznych dotyczących Polski w roczniku PMLA (*Publications of the Modern Language Association of America*) obejmuje osiem stron. Ta sama bibliografia ma trzydzieści siedem stron poświęconych literaturze rosyjskiej, cztery literaturze czeskiej, osiem serbo-chorwackiej i dwadzieścia siedem ukraińskiej. Bibliografia zaś dysertacji doktorskich w latach 1980-1981 (opublikowana w *Slavic Review*, t. 40, nr 4) przedstawia się następująco. Na uniwersytetach amerykańskich i kanadyjskich prac poświęconych Rosji jest przeszło dwieście, prac poświęconych Polsce czternaście. Bułgaria ma dwie. Czechosłowacja czternaście, Jugosławia osiem. Na uniwersytetach brytyjskich kontrast jest mniejszy: czterdzieści dwie o Rosji i ZSSR, sześć o Polsce i mniej więcej po tyle samo o innych krajach słowiańskich.

A teraz parę przykładów bardzo już szczegółowych. Niedawno jeden z największych uniwersytetów amerykańskich, liczący nieomal sześćdziesiąt tysięcy studentów, zniósł (jakoby czasowo) nauczanie języka polskiego (nie mówiąc już o literaturze). Uni-

wersytet ten znajduje się w stanie, gdzie mieszka wiele osób polskiego pochodzenia. Przyczyna — brak zainteresowania studentów: w roku poprzedzającym rok zniesienia polskiego zapisało się na kurs tylko trzech czy czterech studentów. Nawiasem mówiąc, kierownik wydziału, który wydał polecenie zniesienia polskiego, jest polskiego pochodzenia. Wykładowca zaś, szczerzy polski patriota, przypłacił ten incydent chorobą. Nie przyszło mu jednak do głowy, że w jego sytuacji najlepszym wyjściem byłoby zaoferowanie wykładania polskiego za darmo, jako trzeciego czy czwartego kursu, dla jednego czy dwóch studentów, którzy się na ten kurs zgłosili. Dla kontrastu podam, że na tym samym uniwersytecie język rumuński studiuje przeszło pięćdziesięciu studentów.

Inny przykład: parę lat temu na jednym z północno-wschodnich uniwersytetów stanowych postanowiono znieść slawistykę (rusycystykę i polonistykę). Przyczyna: nieopłacalność i konieczność obcinania tych programów, na które jest małe zapotrzebowanie. Przedsiębiorczy wykładowca zorganizował zbiórkę podpisów pod petycją do władz ustawodawczych stanu, domagającą się zachowania slawistyki. Mowa w niej była o dziedzictwie przodków, pochodzeniu, tradycji itd. Petycję podpisało parę tysięcy Amerykanów polskiego pochodzenia, których akurat dużo mieszkało w tym stanie. Amerykanów pochodzenia rosyjskiego było, oczywiście, niewiele.

Przedsiębiorczy wykładowca wygrał: slawistykę utrzymano. Tylko... wyklada się tam teraz nieomal wyłącznie język rosyjski. Polski zepchnięto do istnienia mitycznego, tzn. katalogowego. Praktyczny wykładowca zdaje sobie sprawę, że wybić się zawodowo wykładając polski nie można; przerzucił się on nieomal całkowicie na rusycystykę, chociaż jego doktorat i wczesne prace miały związek z polonistyką. A Polacy z tego stanu dali się po prostu użyć do celów osobistych tego wykładowcy, sami na tym nic nie korzystając.

Na jeszcze innym, bardzo prestiżowym uniwersytecie, i język i literaturę wykladał znany naukowiec. Profesora tego jednak nie interesowali studenci, lecz jego własna praca naukowa. W sposób typowy dla wykładowców z Europy Wschodniej, uważał on siebie za literaturoznawcę raczej niż krzewiciela kultury polskiej. Rezultatem były lekcje polskiego, które można nazwać parodią raczej niż lekcjami. Profesor ten pisał w pewnym okresie pracę o pewnym polskim poecie: studenci jego wiedzieli, że wystarczy nauczenie się na pamięć jednego wiersza tego poety, aby uzyskać zaliczenie kursu. Znam byłych studentów tego profesora. Nie tylko nie znają ani polskiego języka, ani polskiej literatury, ale i nie mają żadnej sympatii do polskiej kultury. W obronie tego profesora należy jednak powiedzieć, że przynajmniej zdołał utrzymać swój prestiż naukowy i napisać parę prac.

Tego rodzaju sytuacji odzwierciedlają również czasopisma slawistyczne. Są w Stanach dwa takie czasopisma: *Slavic and East European Journal* i *Slavic Review* (jest również kilka pism

poświęconych wyłącznie kulturze rosyjskiej). Pierwsze zajmuje się literaturą i lingwistyką, drugie wszystkimi dziedzinami nauki, mającymi jakikolwiek związek z krajami słowiańskimi. W skład zespołu redakcyjnego *Slavic Review* wchodzi 38 osób. Jest wśród nich jeden Polak. Nic dziwnego, że o sprawach polskich rzadko się w tym piśmie słyszy. A jeżeli się i słyszy, to z punktu widzenia germanofilskiego lub rusofilskiego. *Slavic Review* jest pismem, dbającym wielce o solidność i dokładność przypisów, i dumnym z wysokiej swojej pod tym względem jakości. W tej dziedzinie czasopisma polskie, zarówno krajowe jak i emigracyjne, wielu rzeczy mogłyby się od *Slavic Review* nauczyć. Ale jest to również pismo sterylne, przyczynkarskie, chemicznie wyprane z tego intelektualnego podniecenia, którego dostarcza bezinteresownie prowadzona praca naukowa.

W *Slavic and East European Journal* obecność Polaków jest nieco bardziej widoczna. W zespole redakcyjnym jest tylko jedna Polka, ale artykułów dotyczących Polski jest tam więcej, niż w *Slavic Review*. Ale to pismo dociera do znacznie mniejszej ilości czytelników.

Nieco lepiej przedstawia się sytuacja, jeżeli chodzi o Czechosłowację i Jugosławię. Oba kraje zdołały sobie zaskarbić pewną ilość obrońców i popleczników niesłowiańskiego pochodzenia. Natomiast jeżeli chodzi o kulturę ukraińską, to nie zdołała ona jeszcze tego dokonać na łamach *Slavic Review*.

Można zapytać: dlaczego nie piszę o Instytucie Polskim w Nowym Jorku i innych miastach; o *Studium Spraw Polskich* Andrzeja Ehrenkreutz; o *Alliance College* w Pensylwanii, prowadzonym przez polską organizację *Polish National Alliance*; o *American Association for the Advancement of Polish Studies*, organizacji akademickiej wzorującej się na AAASS? Odpowiem. *Studium* jest godne wysokich pochwał, ale to kropla w morzu. Zarząd Instytutu Polskiego, i do pewnego stopnia jego członkowie, grzeszą tymi samymi grzechami, które w tym artykule opisałam: nieumiejętnością lub niechęcią do agresywnego angażowania się w propagowanie spraw polskich na amerykańskich uniwersytetach. I dlatego prestiż Instytutu jest niewielki. AAAPS prowadzi życie mityczne raczej niż realne. O *Alliance College* delikatność i miłosierdzie nie pozwalają mi pisać. Powiem tylko, że żadnego wpływu na życie akademickie w Stanach college ten nie wywiera. Niedawno mianowano tam nowego rektora, który ma doktorat z „oświaty” (*education*). Ten typ doktoratu jest traktowany z lekceważeniem nawet przez bardzo przeciętnych wykładowców uniwersyteckich w Stanach. Gdyby wróg jakiś chciał *Alliance College* zaszkodzić perfidną radą, nie mógłby nic lepszego zrobić, niż doradzić powiernikom uniwersytetu, aby mianowali prezydentem doktoranta z „oświaty”.

pozytywnym zjawiskiem jest natomiast SANA, pierwsza organizacja słowiańska typu politycznego w USA. Aczkolwiek nie jest to organizacja akademicka, pewna jej część to ludzie z doktoratami, lub przynajmniej ze studiami uniwersyteckimi. Przez

tę organizację można będzie powoli zacząć wywierać wpływ na ustawodawstwo stanowe, na szkoły i uniwersytety. Jeden z członków SANA'y zajmuje się obecnie studiowaniem podręczników historii dla szkół średnich i podstawowych i wyławianiem najbardziej rażących zniekształceń historii w tych podręcznikach. Prym w tej organizacji, nawiasem mówiąc, dźwierzają Ukraińcy.

W powyższych uwagach starałam się wyjaśnić mechanizm, przy pomocy którego „ucina się” sprawy polskie z programów uniwersytetów amerykańskich. Mechanizm ten wyjaśnia w pewnym stopniu również obojętność prasy amerykańskiej, a więc i opinii publicznej, w stosunku do brutalnego stłumienia Solidarności. Dużo się słyszy w środkach masowego przekazu i na uniwersytetach (które kształcą pracowników prasy i telewizji) o nieludzkich metodach walki z prokomunistycznymi powstańcami w Salwadorze, ale nikt się zbytnio nie obraża, gdy likwidowano Solidarność. Nie było „spontanicznych” uniwersyteckich wieców; radykalni profesorowie nie biegali po korytarzach, zbierając podpisy pod listami protestacyjnymi. Polaków mieszkających w Stanach to oczywiście bardzo boli. Zamiast jednak oddawać się bólowi lub szeptać o „antypolskiej konspiracji”, proponuje poświęcenie pewnej ilości czasu na analizę sytuacji i podjęcie decyzji „docelowej” (w odróżnieniu od „rozproszonej”, tzn. bez wizji konkretnego celu) pracy nad polepszeniem istniejącego stanu rzeczy.

Wydaje mi się, że w podjęciu takiej decyzji przeszkadza często sławistom słowiańskiego pochodzenia zwyczaj, który amerykański socjolog M. Le Boeuf określa nazwą „oczekiwania sprawiedliwości”. Pisze on w książce *Imagineering*:

„Od dzieciństwa niektórzy ludzie przyzwyczajeni są do oczekiwania sprawiedliwości. Sęk w tym, że życie nie jest sprawiedliwe, i nigdy nim nie będzie. Człowiek, który podświadomie wciąż oczekuje sprawiedliwości, wpada w pułapkę, która przeszkadza mu w osiągnięciu czegokolwiek. Każde nieszczęście i każde niepowodzenie osłabia jego zdolność uniknięcia przyszłych nieszczęść, jak również umiejętność korzystania z okazji, które w życiu ciągle się pojawiają”.

Sławomir Mrozek wyraził to inaczej. W opowiadaniu „Moniza Clavier” pisze on o bezzębnym Polaku-patriocie na *coctail party* na Zachodzie. Polak ten chodzi od grupki do grupki, wskazując na swe bezzębne usta i mówiąc „Wybili, panie, wybili!”.

Wydaje mi się, że każdy slawista polskiego pochodzenia, czy nawet każdy naukowiec polskiego pochodzenia, powinien przynajmniej raz w życiu napisać książkę, związaną w jakiś sposób z Polską. Gdzie to wydawać, powiecie? Trzeba po prostu napisać ze sto listów, proponujących tę książkę różnym wydawnictwom. Tak jest, że sto, i do tego wcale nie jest potrzebna sekretarka.

Należy również przybrać postawę bardziej agresywną w stosunku do zarządów organizacji slawistycznych. Przewertowanie listy członków tych organizacji ukazuje, że procent osób pocho-

dzenia słowiańskiego jest w nich bardzo duży; dlaczego więc grają oni tak nikłą rolę w zarządzaniu nimi? Ale i tutaj, jak w każdej innej dziedzinie, potrzebna jest samodzielność działania. Niech każdy robi coś na własną rękę, nie czekając na czyjąś inicjatywę — czy będzie to pisanie listów do zarządów organizacji, czy pisanie artykułów i książek. Ale, powtarzam, trzeba się zabrać do pisania listów. Nieśmiałość Polaków w podejmowaniu inicjatyw w społeczeństwie amerykańskim musi się skończyć.

Należy również wyrzucić presję na organizacje polskie w Stanach, aby organizowały stanowe *lobby*, domagające się wprowadzenia lub rozszerzenia nauki języka i literatury polskiej na uniwersytetach stanowych. Presja na kongresmenów jest bardzo ważna. Ale i tu nie należy czekać na czyjeś kierownictwo, lecz samemu się zabrać do pisania listów. Nieśmiałość Polaków w podejmowaniu inicjatyw w społeczeństwie amerykańskim musi się skończyć.

Sally BOSS

## Pisma i Biuletyny «Solidarności» na Zachodzie

### FRANCJA

1. *Biuletyn Informacyjny* (po polsku i po francusku). (Wyd. Komitet Korodynacyjny Solidarności we Francji). Redaktor Seweryn Blumsztajn. Adres red.: 10, Passage des Deux Sœurs, 75009 Paris, section Information. Tel.: 247-76-59. Abonament: 25 numerów — 125 F.; 50 numerów — 250 F. Czeki należy wystawiać na konto Solidarité Pologne-Publications.
2. *Biuletyn informacyjny*. (Wyd. NZS we Francji). Adres NZS: Université de Paris VII, Tour Centrale, pièce 407. 2, Place Jussieu, 75005 Paris. Tel.: 336-25-25 poste 5653.
3. *Solidarność hebdomadaire* (po polsku). (Wyd. Andrzej Kowalczyk). Adres: 17ter, rue du Val, 92190 Meudon. Tel.: 626-18-32. Abonament: roczny — 185 F.; półroczny — 95 F.; 3 miesiące — 50 F.
4. *Pol-Press* (po francusku). Red. Andrzej Bukowski. Adres red.: Pol-Press, Beaulieu D9, 38420 Domène. Tel.: (76) 77-20-89. Abonament: roczny — 500 F.
5. *CFDT avec Solidarność* — Bulletin d'information (po francusku). (Wyd. Union regionale de la CFDT d'Ile-de-France). Adres: 67, rue de Dunkerque, 75009 Paris. Tel.: 285-81-44.

6. *Kontakt* (miesięcznik redagowany przez członków i współpracowników NSZZ „Solidarność”). Warunki prenumeraty: Francja: poj. egz. — 25 F., pren. 1/2-roczna — 130 F., pren. roczna — 250 F. Do czasu uzyskania numeru konta bankowego należy przesyłać czeki na nazwisko: Mirosław Chojecki — KONTAKT. Adres: 31 rue Dauphine, 75006 Paris, France.

### SZWECJA

1. *Biuletyn informacyjny*. (Wyd. Biuro Informacyjne Solidarności w Szwecji). Adres red.: Västmangatan 9 III, 11124 Stockholm. Tel.: (08) 21-25-16 lub (08) 21-55-07; Telex 19145. Nr konta bankowego PK 32052009922. Warunki prenumeraty: rocznie: Szwecja — 100 KS, pozostałe kraje — 40 \$ US.
2. *Sprzeciw* — miesięcznik społeczno-polityczny. (Wyd. Niezależna Oficyna Młodych). Redaktor: Aleksander Świejkowski. Adres red.: Box 47 104, 40258 Göteborg. Tel.: (031) 48-20-03. Abonament: Europa: roczny — 18 \$, półroczny — 10 \$; pozostałe kraje: roczny — 22 \$, półroczny — 11 \$.
3. *Słowo* (Miesięcznik Kongresu Polaków w Szwecji). Adres red.: Polska Kongressen i Sverige Östermalmsgatan 75, S-11450 Stockholm. Redagują: A. Leśniak, R. Nowak, J. Piotrowski, L. Pompa, S. Sobolewski. Abonament: roczny — 95 KS, półroczny — 60 KS, z wysyłką za granicę — 30 \$ US.
4. *Komunikaty Prasowe*. (Wyd. Komitet Poparcia Solidarności w Południowej Szwecji). Redagują: Józef Lebenbaum i Jan Axel Stoltz. Tel. resp.: 046/13-20-54 oraz 046/12-91-50. Warunki prenumeraty nie podane.

### STANY ZJEDNOCZONE

1. *Biuletyn Informacyjny* (po polsku i po angielsku). (Wyd. Komitet Pomocy Solidarności w Nowym Jorku). Adres red.: 275 Seventh Ave., 25th Floor, New York, N.Y. 10001. Tel.: 212/989-09-09 lub 212/929-69-66. Warunki prenumeraty nie podane.
2. *Bulletin Solidarność* (po angielsku). (Published jointly by the Committee in Support of Solidarity, the League for Industrial Democracy, and the Polish Workers Task Force). Cena poj. numeru — 1 \$ US. Czeki wystawiać na: Polish Workers Task Force. Adres red.: 275 Seventh Ave., 25th Floor, New York, N.Y. 10001.

### KANADA

1. *Information Bulletin* (po angielsku). (Wyd. Solidarity Information Office in Canada). Adres red.: c/o Canadian Labour Congress, 15 Gervais Dr., Don Mills, Ont. M3C 1Y8. Tel.: 416/441-37-14. Warunki prenumeraty nie podane.
2. *Odpowiedź* — Biuletyn Solidarność. (Wyd. jak wyżej). Adres red.: jak wyżej. Warunki prenumeraty nie podane.
3. *Informacja* (miesięcznik). (Wyd. Grupa Działania na Rzecz NSZZ Solidarność). Adres red.: Station postale La Cité, C.P. 523, Montreal Que. H2X 3M0. Warunki prenumeraty nie podane.

4. *Friends of Solidarity* (po angielsku). (Wyd. „Friends of Solidarity”). Adres red.: No 1604 9903 104 st., Edmonton, Alberta T5K 0E4. Warunki prenumeraty nie podane.
5. *Komunikat* (po polsku). (Wyd. Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata). Adres red.: 288 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont., Canada M6R 2M4. Warunki prenumeraty nie podane.

## AUSTRIA

1. *Polen-Information* (tygodnik — w języku niemieckim). Wyd. Komitet Działania „Solidarność z Solidarnością” w Wiedniu. Red.: Heinz Laubreuter. Adres red.: 1180 Wien, Kreuzgasse 34/18. Abonament: miesięcznie — 10 szylingów.
2. *Polskie wiadomości* (tygodnik — w języku polskim). Redagują: S. Delko, M. Olender, P. Porajski, J. Sieniawa, M. Sieniawa, W. Stempkowski, P. Zatorski. Adres red.: 1030 Wien, Kölblgasse 33/3. Tel.: 783-00-62. Warunki prenumeraty nie podane.
3. *Polnische Rundschau* (w języku niemieckim). Adres red.: A-1090 Wien, Postfach 150. Abonament: roczny — 280 szylingów.

## NIEMCY

1. *Biuletyn Polskich organizacji Niepodległościowych w RFN*. Adres red.: Hamburg, Moorkmap 5. Redaktor odpowiedzialny: M. Pele.
2. *Suplement* (periodyk informacyjny). Redaktor: A. Polarek. Adres red.: 8000 München 90, Unterbergstrasse 84/X. Tel.: 089/692-34-90.
3. *Przekazy — Biuletyn Informacyjny* (miesięcznik). (Wyd. Grupa Robocza Solidarność w Berlinie Zachodnim). *Tymczasowy adres red.*: Strasse d. 17. Juni 135, T.U. Zimmer H.2137-38, 1000 Berlin. Cena pojedynczego numeru 1,50 DM. Warunki prenumeraty nie podane.
4. *Wolna myśl*. (Wydawnictwo przedstawicielstwa „Pomostu” w Berlinie Zachodnim). Adres red.: R. Piórkowski, Roedernallee 168, 1000 Berlin 51. Warunki prenumeraty nie podane.

## WIELKA BRYTANIA

1. *Polish Solidarity Campaign News*. (Wyd. Polish Solidarity Campaign). Adres red.: PSC, 69 Edinburgh Road, London E13.
2. *Voice of Solidarność* (tygodnik). (Wyd. Solidarity Trade Union Working Group in the U.K.). Adres red.: 64, Philbeach Gardens, London SW5. Tel.: 373-34-92. Abonament: 3 miesiące — 5 £.
3. *Szczyt*. (Okólnik Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich w Wielkiej Brytanii). Redaktor: Nick Sekunda. Adres red.: 5, The Hill, Glapwell, Chesterfield S44 5LX.

## BELGIA

1. *Solidarność i wytrwałość*. (Serwis informacyjny Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność za granicą). Adres: B.P. 112, 1040 Bruxelles. Tel.: 32/2/735-60-50 wew. 117 lub 640-49-58. Warunki prenumeraty nie podane.
2. *D'ici — d'Est*. (Wyd. Comité du premier mai pour les libertés démocratiques et les droits des travailleurs dans les pays de l'Est). Redaktor odpowiedzialny: Elie Gross. Adres red.: 16, Av. du Bois de la Cambre, 1170 Bruxelles.

## WŁOCHY

1. *Prawda — Wyzwolenie* (miesięcznik — w języku polskim). Adres red.: Verita — Liberazione, Casella postale 6245, 00195 Roma. Warunki prenumeraty nie podane.

MICHEL HELLER

SOUS LE REGARD DE MOSCOU :  
POLOGNE (1980-1982)

Pierwsze opracowanie wydarzeń w Polsce, widzianych oczami Moskwy.

Na książkę składają się felietony drukowane regularnie w *Kulturze* pod tytułem „W sowieckiej prasie”, podpisane pseudonimem Michała Hellera: Adam Kruczek.

Wyd. Calmann-Lévy, Paryż 1982, str. 214. Cena F. 55.

Książka ta jest doskonałym prezentem dla przyjaciół-Francuzów lub sowietologów zachodnich, znających język francuski.

W Bibliotece „Kultury” ukazała się uprzednio książka Michała Hellera pt. „Świat Obozów Koncentracyjnych a Literatura Sowiecka” (wyczerpana).

## Kronika kulturalna

### Roman Jakobson (1896-1982)

Dnia 18 lipca 1982 roku zmarł w bostońskim szpitalu Roman Jakobson, uczonego, którego nazwisko jest w dziedzinie językoznawstwa i poetyki tym samym czym, powiedzmy, Niels Bohr dla fizyki albo Jacques Monod dla genetyki: symbolem epoki. Jego pionierskie idee, twórcza wyobraźnia, wielostronność zainteresowań i niebywała wręcz pracowitość sprawiły, że trudno byłoby wskazać dziedzinę wiedzy związaną choćby najluźniej z językiem ludzkim, która nie podlegałaby w jakiejś mierze wpływowi myśli wielkiego uczonego.

Roman Jakobson urodził się 11 października 1896 w Moskwie. Zdolnościami lingwistycznymi i skłonnością do naukowego nowatorstwa błysnął wyjątkowo wcześnie. Już w roku 1915, jako student Instytutu Języków Wschodnich, staje się współorganizatorem Moskiewskiego Koła Lingwistycznego: słynny później *krużok* miał w najbliższych latach dokonać prawdziwej rewolucji w językoznawstwie i poetyce, działając pod nazwą tzw. rosyjskiej szkoły formalnej. Podstawy pod doktrynę teoretyczną tej szkoły kładzie m.in. właśnie młody Jakobson swoimi głosnymi pracami „Nowiejszaja russkaja poezja” (1921) i „O czeszskom stichie” (1923).

W roku 1920 Jakobson opuszcza Związek Sowiecki i przenosi się do Czechosłowacji. Tutaj ok. roku 1926 staje się współłożycielem kolejnej grupy naukowej, wyznaczającej wyższy stopień nowej świadomości teoretycznej badaczy języka i literatury: mowa o Praskim Kole Lingwistycznym, zwanym też praską szkołą strukturalną. Jakobson doktoryzuje się w Pradze w roku 1930 i obejmuje katedrę filologii rosyjskiej w Brnie.

Rok 1939 zmusza uczonego do kolejnej emigracji. W ucieczce przed nazistami przenosi się do Skandynawii, gdzie przebywa kolejno w Danii, Norwegii i Szwecji. Nareszcie w roku 1941 osiedla się na stałe w USA, zaproszony przez nowojorski „University in Exile”, na którym wykłada gościnnie przez kilka lat.

W 1941 Jakobson obejmuje katedrę literatury i języka czeskiego i słowackiego na Columbia University. W trzy lata później przenosi się na Harvard, gdzie wykłada języki i literatury słowiańskie oraz językoznawstwo ogólne. Od roku 1957, zachowując nadal swoje związki z Harvardem, wykłada również na czułej uczelni technicznej Stanów Zjednoczonych, Massachusetts Institute of Technology. Przechodzi na emeryturę w roku 1970, jego aktywność naukowa aż po ostatnie lata pozostaje jednak równie bujna jak zawsze: w samych tylko latach 1981-82 wydaje dwie nowe książki, we wrześniu bież. roku ma się zaś ukazać w księgarniach rzecz pt. „Dialogues”, składająca się z rozmów z żoną, prof. Krystyną Pomorską, i stanowiąca podsumowanie drogi życiowej i twórczej uczonego.

Dorobek Romana Jakobsona imponuje nie tylko rozmiarami (ok. 500 większych artykułów, nie mówiąc o książkach), ale i nieprawdopodobną rozpiętością zainteresowań. Można powiedzieć bez obawy błędu, że uczonego interesowało dosłownie wszystko, co służy ludziom do takiego czy innego komunikowania się między sobą: uprawiał więc naukę o języku rozumianą bardzo szeroko, i można by rzec również, że kładł podwaliny pod semiotykę czy semiologię — naukę o znakach i tekstach ludzkiego świata — wtedy, gdy nikt jeszcze nie wyobrażał sobie istnienia tych dyscyplin. Wśród prac Jakobsona znajdziemy rzeczy dotyczące teorii języka i literatury — tych jest najwięcej — ale również artykuły o filmie, malarstwie, teatrze, a nawet o semiotyce sztuki kulinarnej. Niewątpliwie jednak nazwisko Romana Jakobsona pozostanie w historii nauki jako nazwisko wielkiego teoretyka języka, zwłaszcza zaś pioniera fonologii, nauki o dźwiękach języka traktowanych jako strukturalny system (główne jego książki z tej dziedziny to „Remarques sur l'évolution phonologique du russe contemporain”, 1929, „Kindersprache, Aphasie und allgemeine Lautgesetze”, 1941, oraz „Fundamentals of Language”, 1956: ta ostatnia książka dotyczy już nie tylko fonologii, ale całego systemu językowego i jego strukturalnych praw). Wielką wagę posiadają prace Jakobsona z innych dziedzin językoznawstwa: morfologii, fonologii historycznej języków słowiańskich, geografii lingwistycznej, socjolingwistyki. W ścisłym wreszcie związku z teorią języka pozostaje trzecia, równie ważna z głównych dziedzin zainteresowań uczonego: teoria literatury, w jej ramach zaś zwłaszcza poetyka i wersyfikacja. Obok „suchej” teorii uprawiał Jakobson również studia nad np. słowiańską epiką ludową lub czeską poezją średniowieczną, pisywał też błyskotliwe interpretacje utworów poetyckich różnych języków i epok — nigdzie jednak wpływ jego doktryny nie był tak zasadniczy, jak w dziedzinie poetyki. Dysponując wiedzą lingwisty i wrażliwością krytyka literackiego, Jakobson starał się mianowicie odpowiedzieć na fundamentalne pytanie, wyrażone w tytule jednego z jego praskich esejów: „Czym jest poezja?”. Odpowiedzi udzielił przede wszystkim w słynnym artykule „Linguistics and Poetics” (w przekładzie polskim: „Poetyka

w świetle językoznawstwa”), opublikowanym w roku 1960, który wywarł zasadniczy wpływ na nowoczesne literaturoznawstwo. Co powoduje, że wypowiedź językowa staje się dziełem sztuki, że wiersz, dysponując tym samym przecież budulcem językowym, jest jednak czymś innym niż rozmowa w tramwaju albo rachunek z pralni? Jakobson, pogłębiając i rozszerzając teorię funkcji języka zarysowaną wcześniej przez Buhlera i Mukarovsky'ego, istotę „poetyckości” wypowiedzi językowej widzi w jej szczególnej funkcji „autotelicznej”: znak słowny, użyty dla celów poetyckich, „nastawiony” jest nie tyle na wyrażanie emocji, wywieranie na kogoś nacisku lub opisywanie rzeczywistości, ile na samego siebie, na swoją własną formę czy organizację. Inne funkcje języka w poezji również dochodzą do głosu: ta jednak zawsze dominuje.

Na szczególną uwagę zasługują związki Romana Jakobsona z Polską. Związki nie tylko poprzez osobę Żony (którą poznał na jednym z kongresów slawistycznych w Warszawie), ale i poprzez ściśle naukowe zainteresowania. Język polski był nie tylko jednym z 25 (słownie dwudziestu pięciu) języków, w których Jakobson czytał, ale był również językiem, którym uczony władał czynnie, w mowie i w piśmie. Choć zainteresowania teoretyczno-literackie i interpretacyjne Zmarłego koncentrowały się głównie na literaturze rosyjskiej i czeskiej, nie brak w jego twórczości artykułów poświęconych literaturze polskiej (jak choćby piękna interpretacja „Przeszłości” Norwida) i polskiej kulturze.

Niżej podpisany może tylko żałować, że nie zdążył poznać Romana Jakobsona osobiście. Kiedy pojawiłem się na Harvardzie w zeszłym roku, było już za późno na spotkanie: uczonego nękały choroby. Legenda Jakobsona była jednak żywa w tutejszych kręgach naukowych i niezliczone opowieści o jego barwnych wykładach i równie barwnej postaci uzupełniły w mojej świadomości tę legendę Jakobsona, którą wywoziłem z Polski, z krajowych środowisk humanistycznych, pozostających pod tak wielkim wpływem jego prac. W postaci Romana Jakobsona odchodzi nie szacowny zabytek przeszłości; odchodzi uczonego, którego wpływ pozostaje równie aktualny i żywy jak przed siedemdziesięciu prawie laty, w pionierskich i przełomowych czasach Moskiewskiego Kółka.

Stanisław BARAŃCZAK

## Nagroda im. Janiny Ławruk ze Starzyckich

Jury Nagrody w składzie: dr Bohdan Budurowicz, profesor Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich na Uniwersytecie

Toronto; Jerzy Giedroyc, redaktor *Kultury* w Paryżu; Benedykt Heydenkorn, były redaktor *Związkowca* w Toronto; Iwan Koszeliweć, były redaktor, obecnie członek kolegium redakcyjnego *Suczasnosti* w Monachium; dr Bohdan Ławruk, profesor Wydziału Matematyki na Uniwersytecie McGill w Montrealu — fundator, wybrało w roku bieżącym dr. Romana Szporluka, profesora Wydziału Historii na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor — za liczne prace i artykuły o problematyce polsko-ukraińskiej, oraz *Niezależne Pismo Młodych Katolików Spotkania*, które bardzo często i w sposób pozytywny poruszało na swoich łamach problematykę stosunków polsko-ukraińskich.

Jury przyznało prof. dr. R. Szporlukowi nagrodę \$ can. 1.000, a redakcji *Spotkań* nagrodę \$ can. 2.000.

Wręczenie nagród odbyło się za pośrednictwem Fundacji im. Adama Mickiewicza w Toronto.

Przyznawana co trzy lata w miesiącu maju Nagroda im. Janiny Ławruk ze Starzyckich przeznaczona jest dla osób zasłużonych dla idei zbliżenia polsko-ukraińskiego, która przyświecała śp. Janinie Ławruk w ciągu Jej życia. Nagroda ta wynosiła dotychczas \$ can. 1.500. Ufundował ją 1 maja 1976 roku dla uczczenia pamięci swej Matki — w trzecią rocznicę Jej śmierci — syn Bohdan Ławruk, na którego adres (3425 Stanley St., Apt 405 — Montreal, P.Q. H3A 1S2, Kanada) można kierować ewentualną korespondencję.

Dzięki ofiarności dr Stanisława Mariana Mazewskiego z Guelph, Ont., Kanada, który przyłączył się do tej Nagrody w 1980 roku, suma przeznaczona na nią została podwyższona o następne \$ can. 1.500 i wynosi obecnie \$ can. 3.000.

W 1976 roku Nagrodę im. Janiny Ławruk ze Starzyckich otrzymali Wadym Łesycz, Józef Łobodowski i Juliusz Mieroszewski, a w 1979 roku — prof. dr Petro Poticznyj oraz dr Ignacy Tokarczuk, biskup ordynariusz diecezji przemyskiej.

## NAGRODA PISARSKA SPK

Tegoroczną nagrodę pisarską Stowarzyszenia Kombatantów Polskich (Londyn) otrzymali: Józef Czapski za całokształt pracy pisarskiej i Józef Garliński za książkę *Swiss Corridor*.

Każda nagroda wynosi £ 200.

Tematycznie powieść Kowalskiej można by postawić obok *Trans-Atlantyku* Gombrowicza, *Katedry Sandwiczów* (stanowiącej pierwszą część *Turystów z bocianich gniazd*) Straszewicza czy pisanej w języku angielskim powieści Pietrkiewicza *Future to Let*. Wszystkie one drążą w jakimś stopniu, każda na swój sposób, problem polskości, polskich obciążeń, przywar i cnót, i wszystkie czynią to w zestawieniu z obcymi społecznościami, na obcej ziemi. Wszystkie zawierają elementy satyry, parodii i groteski.

Opowieść Kowalskiej różni się jednak zasadniczo od wyżej wymienionych utworów swoim charakterem realistyczno-dokumentaryjnym. Głównym bowiem celem autorki *Pogranicza* jest wierne odtworzenie życia typowej w swoim zakresie społeczności, osadzonej po burzach i wędrówkach wojennych na pograniczu Anglii i Walii, i podlegającej wstępnym procesom przystosowywania się i asymilacji.

Aby procesy te nakreślić, autorka musiała w jakimś stopniu scharakteryzować społeczeństwo tubylcze, i temu zadaniu poświęcone są spore partie książki. Składają się na nie opisy przyrody (świetne ekskursy o ogrodach, kwiatach i chmielu), zabytków kultury duchowej i materialnej oraz specyfiki gospodarczej rejonu, a także próba uchwycenia szczególnego ethosu anglo-walijskiego pogranicza (czyli marchii), z jego historią i legendami. Autorka była wyraźnie pod urokiem tego kraju, co znajduje wyraz w nadmiernym czasami liryzmie opisów i próbach mityzacji pewnych wątków, chociaż ma to także swoją funkcję w strukturze książki. Społeczność tubylczą poznajemy także w osobach tych jej przedstawicieli, którzy mają jakąś styczność z grupą polską z racji swoich funkcji, zainteresowań czy warunków społecznych. Należy tu przede wszystkim lokalny pastor, postać zarysowana najpełniej. Pastora cechuje ten rodzaj historyzmu, znany nam dobrze z naszego własnego podwórka, w którym patriotyzm, w wypadku pastora — walijski, idzie w parze z rzeczywistym umiłowaniem przeszłości i jej śladów w zabytkach, legendach i folklorze. Płaszczyzną zbliżenia z grupą polską poprzez „osobliwego amatora starożytnej mowy Celtów”, rotmistrza Wolniaka, jest w tym wypadku poszukiwanie zaginionego „w ciemnościach dziejów” pokrewieństwa Celtów i Słowian (w naszej książce opisaliśmy polskiego sędziego, który równie amatorsko oddawał się podobnym zainteresowaniom). Należą tu osoby stykające się z grupą polską z racji wykonywanego zawodu, a więc lekarz, listonosz i policjant, pracodawcy, tacy jak okoliczni farmerzy, i pracownicy na fermach czy w mieście. Należy ogrodnik opuszczonego i skazanego na zagładę pałacu i kilka Angielek, żon Polaków. Wreszcie na karty książki wkraça anglo-irlandzko-cygański lumpenproletariat i swoim niższym poziomem cywilizacyjnym, a już szczególnie nierzetelnością w uiszczaniu długów i spłat przyczynia się do tego, że akcje Polaków wyraźnie rosną w oczach osiadłych tubylców.

Kontakty i związki tych postaci z grupą polską uwypuklają

## Książki

## Wypisz, wymaluj

### PIONIERSKIE POCZĄTKI EMIGRACJI W ANGLII

Dlaczego mnie, przebywającemu od dwudziestu lat w odległym Vancouver, przypadło w udziale pisanie recenzji z książki Janiny Kowalskiej *Pogranicze\**, która jest sagą hostelowego życia Polaków w Anglii w latach 1951-54? Wypada zacząć od krótkiego wyjaśnienia, które równocześnie wprowadzi czytelnika w temat.

W roku 1958 rozpoczęliśmy z Bolesławem Sulikiem zbieranie materiałów do książki o Polakach w Wielkiej Brytanii. W książce tej, która ukazała się w roku 1961, znajduje się spory rozdział o hostelach. Rozdział, o ile dobrze pamiętam, pisał głównie Bolesław Sulik. Mój wkład w tym wypadku polegał na tym, że znałem życie hostelowe z autopsji: w roku 1948 przebywałem krótko aż w trzech hostelach, a w latach 1950-54 spędzałem po parę miesięcy rocznie w hostelu East Moor, koło Yorku, przyjeżdżając tam ze szkoły, a następnie z uniwersytetu na wakacje. W East Moor pracowałem z bracią hostelową na okolicznych fermach, uczęszczałem na imprezy kulturalno-polityczno-oświatowe, zacząłem nawet pisać rodzaj powieści hostelowej. Przeglądając rozdział o hostelach w naszej książce, znajduję w przypisku takie zdanie: „Jest rzeczą zadziwiającą, że życie w hostelach nie znalazło dotąd na emigracji swojego epika”. Otóż wreszcie znalazło, w autorce *Pogranicza*, która życie hostelowe poznała kiedyś bezpośrednio, a teraz, po latach, stworzyła o nim opowieść pełną humoru i realizmu zarazem. Wypisz, wymaluj, a tak właśnie było, i takie były te małe polskie społeczności jak opisywany w książce Kowalskiej Crowley (Foxley?), takie ich zabawy, spory i prace w one lata.

\* Janina Kowalska, *Pogranicze*, Instytut Literacki, Paryż 1980, str. 278.



kulturalne i duchowe różnice między obu społecznościami, jak i rodzaj pomostów, jakie przerzuca pomiędzy nimi życie i jego wymogi. Podobną rolę odgrywa charakterystyka stosunków w pracy, szkolnictwa, czy udziału w wydarzeniach lokalnych takich jak pogrzeb lub uroczystości miejskie z okazji koronacji. Proces asymilacji pokazany jest więc nie tylko jako proces adaptacji, ale także jako proces akceptacji. Kiedy bogaty farmer żeni się z córką hostellowców, kiedy grupa taneczna z hostelu zbiera huczne brawa na uroczystościach koronacyjnych, kiedy młodzież uczęszczająca do angielskich szkół i wypychana przez rodziców na studia zawodowe czy uniwersyteckie zaczyna mieć kłopoty z polszczyzną, a nawet kiedy para bliźniaków przyjeżdża na wieczną wigilijną wystrojona i u fryzowana na kompletnych *teddy boy'ów* (ku rozpaczy matki), granica dzieląca obie społeczności zaczyna być płynna; wtedy właśnie tworzy się rodzaj kulturalno-etnicznego pogranicza. Na tym pograniczu, a szczególnie w trakcie jego powstawania, pole do nieporozumień jest oczywiście duże, co autorka wykorzystuje do maksimum, stwarzając czy odtwarzając sytuacje pełne świetnego nieraz komizmu, groteski czy ironii. Czasami granica zamiast się upłynnić, zaostrza się, jak w wypadku nieudanego mieszanego małżeństwa (żony Angielki, szczególnie z pierwszego rzutu, to znaczy z okresu wojny, nie cieszą się w książce sympatią) czy innych przypadłości.

Nim nastąpi pełna asymilacja, a jest to dla większości proces długotrwały i rzadko niezakłócony czy nie powodujący wahań, nawrotów i rozszczepień wewnętrznych, społeczność napływowa żyje swoim własnym życiem, trzyma się swoich korzeni, kontynuuje to, co stanowi o jej tożsamości i odrębności, swoją wspólnotę tradycji, zwyczajów, cech pochodzeniowych, czy to w sensie klasowym, regionalnym czy narodowym, i broni wartości, które, jak zwykle w sytuacji zagrożenia i niepewności, muszą się wydawać wyższe czy lepsze, nawet w otoczeniu górującym cywilizacją materialną czy kulturą. A właśnie kontynuowaniu odziedziczonych wartości i cech sprzyjały hostele i osiedla, stanowiące rodzaj wiosek i zaścianków polskich tymczasowo osadzonych pośród obcych. Będąc fazą przejściową dla wielu, fazą której etapy wyznaczały tak ważne zmiany jak przejście z kuchni komunalnej na własną gospodarkę, a następnie wyczekiwanie na przenosiny do magistrackiego mieszkania czy domku w pobliskim mieście, lub na dalszą emigrację, hostele były równocześnie dla sporego procentu Polaków, nie znających i często niechętnie uczących się języka, rodzajem rezerwatu chroniącego ich przed obcym i dziwnym światem. Były też hostele ośrodkami życia politycznego, terenem konfliktów, sporów i przekształceń ideologii emigracyjnej, modyfikowanej przez procesy asymilacyjne i czysto ludzkie aspiracje.

Takimi właśnie mikrokosmosowi polskiej emigracji powojennej, jego życiu wewnętrznemu, poświęcona jest główna część książki Kowalskiej.

Jeżeli w charakterystyce ludności tubylczej autorka ograni-

czyła się do stosunkowo niewielkiej liczby postaci, to w charakterystyce wewnętrznego życia Crowleyu przedstawiła nam nader liczną galerię typów i jednostek, od grupki inteligencji po robotników i pracowników rolnych, od staruszek po młodzież i dziatwę, od członkiń kół różańcowych po dzikie żony, od niezłomnych patriotów po łapsów i zaprzańców, od monarchistów po mikołajczykowców. Na początku książki autorka wymienia liczbę 124 rodzin zamieszkujących Crowley, a także cztery panny na wydaniu, sześciu kawalerów oraz parę osób innych kategorii, łącznie z ks. mgr. Turkuciem. Przy pierwszym czytaniu odniosłem wrażenie, że autorka przedstawia nam wszystkich mieszkańców Crowleyu, jeżeli nie z nazwiska, to przynajmniej z imienia, tak dużo postaci przewija się przez karty jej opowieści. Żadna z tych kilkudziesięciu co najmniej postaci nie jest głównym bohaterem książki; większość z nich występuje epizodycznie, i jedynie niektóre otrzymują pełniejszą charakterystykę, a ich losy przedstawione są w sposób ciągły. Ma to swoje konsekwencje dla fabuły, która rozwija się poprzez sytuacje, epizody i wątki tematyczne, zamiast w sposób bardziej dla powieści typowy, jako dzieje jednego bohatera. Bohaterem książki jest bowiem cała społeczność Crowleyowska, jej historia, utkana z przeplatających się rwących i od nowa nawiązywanych wątków indywidualnych czy rodzinnych losów oraz wydarzeń, sytuacji i momentów tematycznych. Dlatego książkę Kowalskiej wolę określić terminem opowieść raczej niż powieść.

Nie jest to niezgodne z zamiarem autorki, o czym dodatkowo świadczy stylizacja na epos, tyle że w zasadzie heroikomicznej. W tle *Pogranicza* znajdują się bowiem (obok *Pod mlecznym lasem* Dylana Thomasa) dwa utwory polskie, a mianowicie *Pan Tadeusz* i *Chłopi*, oba o charakterze epickim. Z *Chłopów* bierze autorka podział opowieści według pór roku, zamykanie poszczególnych części lirycznymi epilogami, tendencję do podwyższania tonu. Z *Pana Tadeusza* bierze opisowość, przeplatanie fabuły lirycznymi wstawkami, dystans wobec opisywanej rzeczywistości i dobroduszy humor w traktowaniu postaci i ich spraw. Trzecim utworem, z którego autorka czerpie dla celów stylizacji jest Biblia. Rola tych stylizacji jest dwojaka. Z jednej strony służą one do umieszczenia opowieści w pewnej tradycji literackiej, odpowiedniej dla tematu (losów pewnej polskiej społeczności), podkreślającej jego swojskość i związane z tym sentymenty, z drugiej zaś służą satyrycznym zamiarom autorki, wprowadzając do opowieści elementy humoru i parodii. Ten pół-zartobliwy, parodystyczny charakter stylizacji wystąpi wyraźnie na przykładzie. Wiele swego czasu zachwyty wzbudzało początkowo zdanie jednego z rozdziałów *Popiołów* Żeromskiego, a mianowicie „Ogary poszły w las”. U Kowalskiej rozdział pt. „Królowa Crowleyu” zaczyna się „Pani Antoszkowa idzie do kur”.

Kiedy już mowa o stylu, warto zwrócić uwagę na parę innych cech stylistycznych *Pogranicza*, będących rezultatem dokumentarnego charakteru książki. Ponieważ większość mieszkańców

Crowleyu (tak jak większość Polaków w Anglii) pochodziła z Kresów, autorka nie tylko zachowuje pewne charakterystyczne wyrażenia, takie jak *chłastataś*, *barachto*, *marchwia*, *писаć na zeszytcie*, *kalikatura*, ale daje całe partie wypowiedzi w mowie regionalnej, a także fragmenty piosenek. Zachowuje także dla potomności, lingwistów i w celach realizmu spolonizowane angielszczyzny czy polangieliszczyny rodaków; należy tu *lejbik* czyli urząd pośrednictwa pracy (w East Moor jeden z kresowiaków spieścił *labour exchange* na *liebcię*), *edukejszyn* czyli oświatowy, *łanenseven* czy *mi łant dżob*\*. Z wyraźną satysfakcją wplata w dialog i w narrację wyrażenia idiomatyczne lub związane określenia, definiujące całe postawy lub odzwierciedlające głębokie procesy. Czytamy więc o zrzucaniu ludzi z ambony, o takich co to rzną wielkie państwo, o tym kto z kim żyje na psią łapę; pragniemy się dowiedzieć „co ją czeka, co być musi, i co serce zaspokoi”; przytakujemy, gdy jest mowa o zazdrości bezinteresownej cechującej rodaków (opinia to złośliwego inteligenta) i rozumiemy dobrze, co to znaczy być „ofiarą wojny” i jakie to daje moralne uprawnienia, a także dlaczego niektórzy mają satysfakcję, że „skończyło się wasze”. Autorka zadbała także o charakterystyczny dobór nazwisk: obok nazwisk inteligentkich czy ziemiańskich, takich jak Koziewicz (profesor gimnazjum, historyk i onże złośliwiec), Zawisza-Kwiczół (zdeklasowana sygnetowa ziemianka), Hildebrand („ponoć wychrzczony Izraelita”) czy babka Gąsowska (która na uroczystości koronacyjne przybyła „ubrana w swój pochówek”) występują nazwiska bardziej ludowe, Ambroź Pocałujko i Macioszko, Pomykała i Dyderko, Grajdył i Ciupka.

Danie przeglądu warstwy dokumentarno-tematycznej opowieści Kowalskiej zajęłoby zbyt dużo miejsca, tak wielka jest jej różnorodność, co stanowi o szczególnej wartości książki dla socjologa czy czytelnika zainteresowanego realiami i charakterem życia hostelowego, początkami emigracji polskiej w Anglii oraz charakterem polskości. Takie bogactwo wątków tematycznych nie byłoby zapewne możliwe, nawet gdyby autorka przyjęła dla swojego utworu inną formę, oznacza jednak, że żaden z wątków nie został dostatecznie pogłębiony, a żadna z postaci nie uzyskuje pełnej realności wewnętrznej, chociaż autorka próbę taką zrobiła w wypadku paru przynajmniej postaci, z których najciekawszą jest Kasia Jankowska, przypominająca swoją niesamowitością znany z literatury polskiej typ dziwnego, tkniętego dziecka. Przy tych ograniczeniach jest *Pogranicze* w swojej warstwie tematycznej osiągnięciem nie lada, tym bardziej że odbiega od ideologicznych stereotypów w kilku istotnych punktach.

Wiadomo, że emigracja polska w Anglii miała początkowo

\* Taką polangieliszczynę wciąż się spotyka wśród Polonii. Niedawno przysłuchiwałem się rozmowie po polsku, w której obficie występowały *tubafory* i *tubasiksy*. Chodziło o rozmiary deszczulek.

charakter przede wszystkim żołnierski i polityczny, i że ten właśnie charakter starały się jak najdłużej utrzymać centralne ośrodki polityczne w Londynie. Autorka nie pomija tego aspektu życia hostelowego, przedstawiając na przykład nurtujący wówczas emigrację konflikt między mikołajczykowcami a rządem na wygnaniu. Nie pomija też aspektu ideowo-ideologicznego, owego „Wrócimy Tam” z akademii rocznicowych, ani nawet studiów wojskowych („co nowego w polskich broniach jądrowych na użytek kawalerii”). Słusznie jednak traktuje te aspekty jako pewien margines, retoryczno-roznicowy dla większości, życia emigracyjnego. Nacisk pada nie na politykę, lecz na działalność zarobkowo-gospodarczą. Królową Crowleyu jest pani Antoszkowa, która „idzie do kur” — to zdanie lepiej charakteryzuje wartości i działania przeciętnego mieszkańca Crowleyu niż „Do kraju tego tęskno mi, Panie”. Stąd tyle w tej opowieści o kur-nikach, ciuchach, jedzeniu, *mebeli*, zarobkach i kształceniu młodzieży — a więc o urządzaniu się, zapuszczaniu korzeni, poszerzaniu horyzontów i zdobywaniu awansu materialno-społecznego, którego gład jest głównym motorem poczynań mieszkańców Crowleyu, w swojej większości ludzi ze wsi, prących do stałej pracy, do miasta, a jak najdalej od pracy na roli. Tymczasowość bytowania w obozie jest nie tyle tymczasowością emigrantów żyjących na walizkach w oczekiwaniu powrotu do ojczyzny, co tymczasowością okresu przejściowego: „za nimi ojczyzna — przed nimi Marchia”. Motywy są jasne: „Czy to ja dawniej myślała, że będę się cała oglądać w lustrach, stąpać po dywanach i grać na radiu muzyki”, zapytuje jedna z postaci. W Crowleyu emigracja żołniersko-polityczno-uchodźcza przekształca się więc w Polonię, co nie znaczy, że całkowicie zatracą poczucie swojej genezy czy antykomunistyczne nastawienie. Osoby bardziej światłe, takie jak profesor Koziewicz, są przekonane, że tak jest właśnie najlepiej, niech Polacy awansują, aby móc tym lepiej służyć sprawie polskiej w przyszłości.

Awans społeczno-gospodarczy nie przebiega jednak tak szeroko i optymalnie jakby mógł, i tu autorka gromadzi ciekawy zasób spostrzeżeń, składających się na rodzaj katalogu „wad narodowych”. Przeszkodą w szybszym i istotniejszym awansie i poszerzaniu horyzontów jest zarówno ogłupiająca fałszywa moralność, teren szczególnego oddziaływania Żywych Róż, jak i fałszywy patriotyzm („Bo ja tu siedzę od czterdziestego roku i ani słowa nie umiem [po angielsku]... Nie doczekają się, takie syny!”); jest nią tradycyjna niechęć do „fałszywej uczoneści”, podtrzymywana z ambony (groteskowo zobrazowana kazaniem przeciwko dzieciom w próbkach) i wąsko pojmowana ortodoksja, wzbraniająca posyłania dzieci do szkół „heretyckich”, choć katolickie (według złośliwca Koziewicza) uczą głównie po- bożności; jest nią nadmierna drażliwość na punkcie godności osobistej („Sznuj mnie pani, jestem żoną majora”) i wymieniona już bezinteresowna zazdrość, dzięki której porażki innych przyjmowane są z radością, a sukcesy przypisywane wszystkie-

mu, tylko nie czynnikiem obiektywnym, takim jak zdolności czy pracowitość; jest nią skłonność do mitomanii, szczególnie w dziedzinie motywacji, zarówno własnej jak cudzej, i nawet w pewnej mierze sam głód awansu pojmowanego krótkowzrocznie i nazbyt materialnie, lub też odwrotnie, w sposób zmistyfikowany. Natomiast powiązanie awansu społecznego z wykształceniem dzieci jest prawie powszechne i „w odróżnieniu od anglosaskiego ludu z farm i fabryk, który gwizdże sobie na te rzeczy, ma w pogardzie uczonych ludzi i ledwo się może doczekać, żeby młodzieży gruchnęła piętnastka by ją pognać do roboty, Słowianie z Crowleyu, podobnie jak Celtowie z Ercingu i samej Walii, nie wiem co by dali żeby ich dzieci uczyły się i wyrosły na coś lepszego”.

Zapytajmy teraz, jaką funkcję spełnia w książce postać niesamowitej Kasi, a sięgniemy do bodajże najgłębszej warstwy opowieści o Crowleyu. Bowiem Kasi, obok szyderycy Koziewicza, przypadło stanowić przeciwwagę typowej crowleyowskiej polskości.

Kasia nie posiada cech, które normalnie przyczyniają się do sukcesu życiowego. Jest ślamazarna, zagapiona, żyje w ciągłej grozie, że pójdzie do piekła (wpływ angielskiej szkoły katolickiej), z powodu swej nadwrażliwości przeżywa wszystko nadmiernie, obdarzona jest wyobraźnią (ona jedna widzi pokazującego się rzekomo w Crowleyowskim lesie ducha) i robi wrażenie pomyłonej. Ale niech tu przemówi autorka:

Słowiański Crowley krząta się koło swoich rozlicznych spraw, a rzadko ma czas i chętkę wyprostować kark, objąć szerokim wejrzeniem świat i rozeznąć szczegóły otoczenia, których na nic nie wykorzystasz. Tak jak zbieracze grzybów krążą ze wzrokiem wbitym w ziemię, i nie widzą piękności lasu — tak i nasi ludzie mają pole widzenia zwężone jak dorożkarski koń i to ich obchodzi, co się może przydać. A żeby wodzić wzrokiem po tej falistej linii, gdzie wzgórze schodzą się z niebem, to trzeba głupiego albo lenia. Albo Kasi Jankowskiej, która po to żyje, żeby się gapić, i Crowley ma ją za pomyłoną... Jakby kto spytał Słowian o Crowley, to by ich zaskoczył, ano nic, baraki, murawa... A spytasz jak to wszystko wygląda, to nie wiedzą, co rzec. Jest jak jest. Wspomną, że wzdłuż obozu jest las... pałac. Jaki? Ruszą ramionami. A pięknie w tym Crowleyu? Wtedy robi im się śmiesznie.

Jedynie Kasia, którą zamiast uczucia bezinteresownej zazdrości cechuje bezinteresowna ciekawość, jedynie ona ogląda wnętrza pałacu, zanim ten zostanie zburzony, i uzyskuje wstęp do starożytnego ogrodu. Intelktualny i duchowy dramat obozu, który jest równocześnie dramatem wartości, rozgrywa się więc między panią Antoszkową, herod babą Crowleyu, żyjącą dla swego „kurnika na sarkofagu” i uczt jajecznicowych, a Kasią, która wbrew opinii, że jest niespełna rozumu, zdaje egzaminy prowadzące na wyższe studia, a wałęsając się po okolicy być może snuje sobie w głowie przyszłą opowieść o Crowleyu.

W epilogu, zatytułowanym „Po latach”, autorka lustruje ślady

pozostałe po Crowleyu i jego dziwnej podkulturze, i wyławia niewiele więcej niż „dawne ozdoby ogródków”, „rumiany, floksy, malwy, lwie paszcze i złote kule”; konstatuje całkowiście prawie wyniszczenie dawnej wspaniałości sięgającej Normanów, pożartej przez „podłą chęć zysku” i „pazerność na szybki zarobek”; dopowiada do końca dzieje niektórych Crowleyowskich postaci; i przebiegając raz jeszcze w myślach główne wypadki życia osiedla, podsumowuje ich znaczenie z perspektywy czasu i osobistej nostalgii za bezpowrotnie minionym, które postarała się ocalić od zapomnienia:

Gromadziliśmy tę ikonografię gdy się to wszystko działo, nie przypuszczając, że po latach miłe pamiątki nabiorą wartości źródłowej, gdy dzieje Crowleyu objawią się nam jako raj utracony i marzenie o niewinnym dzieciństwie, oraz jako wycinek procesu historycznego, wielowarstwowego i pełnego znaczących szczegółów: osvajanie się Słowian z obcym światem, zapuszczanie korzeni i pierwsze wysuwanie macek ku ludom Pogranicza. Oraz towarzyszące powyższym, a w socjologii emigracyjnej ignorowane... zjawisko: spanienie i porastanie w piórka, o jakich w Ojczyźnie szkoda było marzyć... tychże Słowian, w przeważającej części osadników, policjantów, małomiasteczkowych funkcjonariuszy i pracowników Lasów Państwowych niskich szczebli, w zetknięciu z owocami cywilizacji przemysłowej... i na tym tle zmiana ich stosunku do coraz bardziej legendarnej Ojczyzny...

Ponieważ opowieść o Crowleyu ma charakter dokumentarnej sagi, autorka wymienia źródła, na jakich się oparła, pisane, ikonograficzne i własną pamięć, i użala się nad tym, że — jak pisze — czwarty rodzaj, dźwięk, uleciał bezpowrotnie. Przyznajmy, że jest czego żałować:

Na zawsze dla badaczy mowy polskiej została stracona ta bogata mieszanka intonacji, zaśpiewów, dialektów i neologizmów, z przewagą Kresów Wschodnich i z domieszką wyrazów oraz pojęć importowanych do Crowleyu z szerokiego świata: z Sybirokazachstanu, Indii, Afryki, Bliskiego Wschodu, Niemiec i Włoch, i coraz silniej wypierającym tamte elementem anglosaskim. Innym charakterystycznym dźwiękiem Crowleyu był przeraźliwie ostry śpiew pani Ciupkowej starszej: chyba już zanikłe na emigracji jarmarczne ballady o miłości i kryminale... oraz pobożne zawodzenia... Ale tym, nad utratą czego bolejemy szczególnie, jest wspaniały, staroświecki i chyba już doszczętnie wymarły wileński styl kabalarski babki Macioszkowej. Siadaliśmy u jej stóp, zafascynowani i przemienieni w jedno wielkie ucho, które chciało jak najwięcej wchłonąć i przyswoić. Prowokowaliśmy ją do nowych wysiłków, do rzucenia po raz dwudziesty, lewą ręką od serca, na prawdziwych i urojonych brunetów i blondynów, na fałszywe czarne baby i serea podeptane *pod nogi* — byleby nie zamilkła...

Poszerzmy zakres tego żalu. Z Crowleyami na ziemi brytyjskiej ginęła spora część rozproszona i tak specyficznej kultury polskich i nie całkiem polskich Kresów Wschodnich. Poza małą cząstką ludności polskiej i prawie polskiej, która utrzymała się w tym pasie tłumionego światła, od Wilna po Lwów i niżej, między etniczną Rosją a etniczną Polską, większość przebyła

długie, trudne i tragiczne wędrówki i dziś odchodzi w przeszłość w głębiach Rosji, na Ziemiach Odzyskanych, w okolicach Gdańska czy właśnie na ziemi brytyjskiej, a nawet tu, w Vancouver, gdzie piszę te słowa, jeszcze się odzywa okazynym programem lwowskiej fali w godzinie radiowej polskiego radia, lub też, jeśli przedłużymy linię wzdłuż wybrzeży Pacyfiku, uzyskuje trwałą pamięć w strofach wileńskiego poety, który „szafuje na czasy potomne i na ludzkie potrzeby oddaje mienie swoje, z wszystką puszcza do tej majętności należąca”.

Polecam więc opowieść Kowalskiej najpierw kresowiakom, jako część sagi dużo szerszej, jeszcze nie napisanej. Polecam ją młodzieży emigracyjnej, tej, która jeszcze czyta po polsku, gdyż wypada wiedzieć, z czego się wyrosło. Polecam ją także, i to usilnie, nowej emigracji, gdziekolwiek by się nie osiedlała, bo wiele tu pożytecznych spostrzeżeń, a i zwierciadło ciągle pod pewnymi względami aktualne, choć trochę krzywe, warto się przejrzeć, żeby taki czy inny szczegół we własnym odziedziczonym charakterze dostrzec, i dystans humoru wobec samego siebie uzyskać, który ratuje przed bolesną śmiesznością, a czasami czymś gorszym. Polecam im tę książkę dlatego także, by stykając się z już ustabilizowaną Polonią mieli zrozumienie dla jej pionierskich początków i żołniersko-politycznej genezy, oraz by uświadomiły im się pełniej różnice między ich emigracyjnym startem i bagażem doświadczeń i nastawień który wnoszą, a charakterem emigracji ówczesnej. Polecam ją wreszcie zwykłym czytelnikom dla samej przyjemności oglądania pani Antoszkowej, jak idzie do kur lub jak podkarmia swego synalka, Stasjuczka, czy pani Bielasowej, jak dźga w samo serce zazdrości bezinteresownej swoim gryfowym futrem, i to jeszcze w kościele, czy Felka, jak wypuszcza na bieżnię kota podczas wyścigu piesków, czy nóg pani prezesowej Sitakowej zdobywających palmę zwycięstwa na konkursie pięknych nówek dzięki przemysłowości męża. Jak się już rzekło, postaci tu, wątków, sytuacji i znaczących szczegółów co niemiara, a choć nie wszystko musi przypaść każdemu do gustu, każdy znajdzie w tej książce jakąś przyjemność i jakiś pożytek.

Bogdan CZAYKOWSKI

## Polonistka w mundurze

W literaturze dotyczącej spraw polskich podczas ostatniej wojny szkolnictwo poza krajem należy do najbardziej zaniedbanych dziedzin. Najliczniejszą rzeszę nim objętą stanowiły dzieci

i młodzież, która opuściła Rosję z armią gen. Andersa, a której ilość szacuje się, wraz z nauczycielstwem, na 18 tys.<sup>1</sup> Władze polskie stworzyły dla niej rozległą sieć szkolnictwa wojskowego i cywilnego w Persji, Palestynie, Egipcie, Libanie, Południowej i Wschodniej Afryce, Indiach, Nowej Zelandii i Meksyku. Szkoły te osiągnęły zdumiewający w warunkach wojennych poziom, który miał umożliwić ich wychowankom normalne dalsze kształcenie po powrocie do Polski. Zakończyły one swój byt w latach 1947-48 wskutek ewakuacji do Anglii 2-go Korpusu i Armii Polskiej na Wschodzie oraz przynależnych im rodzin rozproszonych po egzotycznych krajach. W Anglii młodzież ta walcie zasilila istniejące tu we wczesnych latach powojennych polskie szkoły średnie i inne uczelnie, bo zdobycie polskiej matury czy innych kwalifikacji ciągle jeszcze było pożądane wobec powszechnie oczekiwanej wojny i rychłego powrotu do kraju. Znakomicie utrudniło to i opóźniło pragnącym kształcić się dalej opanowanie angielskiego na odpowiednim poziomie i start na angielskich uczelniach, dało im jednak polski kręgosłup i uchroniło od wynarodowienia.

Mimo tak bogatego rozkwitu tego szkolnictwa dążącego, wedle ówczesnej pieśni, „do Polski przez cały świat”, srodze zawiódłby się ten, kto chciałby badać jego dzieje, stwierdziłby bowiem, że nawet w polskim Londynie z jego emigracyjnymi instytucjami naukowymi nikt bodajże nie wie, gdzie się podziały archiwa tych szkół. Z materiału dotyczącego szkół wojskowych jeszcze by się znalazło to i owo, a że przybyły one do Anglii z całym swym dobytkiem, można sobie wyobrazić, że archiwa ich zbutwiały wśród rupieciora porzuconego w obozach po demobilizacji. O archiwach szkół cywilnych (o ile zdołałam stwierdzić) nie wiadomo w ogóle nic, tak jak i o archiwach naszych władz cywilnych na Środkowym Wschodzie, w Indiach, Afryce i innych krajach rozproszonych. Przypuszczam, oby mylnie, że w chaosie ewakuacji zakończyły żywot na śmietnikach tych krajów. A może coś zawędrowało wśród licznych i mało znanych polskich archiwaliów do Instytutu Hoovera w Stanford? Byłoby niezmiernie ważne, gdyby świadkowie tamtych czasów, którzy mogliby rzucić światło na te sprawy, zechcieli przekazać dane do polskich instytucji naukowych, z redakcją *Zeszytów Historycznych* „Kultury” i Biblioteką Polską w Londynie na czele.

Z braku bezpośrednich danych wtórny materiał do dziejów tych szkół można znaleźć w bardzo rzadkiej i mało gdzie dostępnej prasie tamtych czasów, jak *Orzeł biały* z tych lat, *Gazeta polska* (Jerozolima 1941-47) i *Skaut* (*ibidem* 1942-46), *Junak* (Palestyna 1943-47) i *Kadet* (*ibidem* 1945-46), *Polak w Afryce* (Nairobi 1943-45) i *Głos polski* (*ibidem* 1945-48), *Polak w Iranie* (Teheran 1942-44), *Polak w Indiach* (Bombaj 1943-48) i *Polak w Mek-*

1. M. Gołowski, *Szkolnictwo polskie na obczyźnie (1939-1969)*. Referat w materiałach Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie. Londyn 1971.

syku (Leon - Santa Rosa, 1944-45). Całość zagadnienia podsumowuje pobieżnie i nie bez błędów cytowany już referat Michała Goławskiego.

Literatura wspominkowa też nie obrodziła. Do najważniejszych należą: ks. Łucjan Królikowski, *Skradzione dzieciństwo* (Londyn 1960) oraz Wacław Korabiewicz, *Gdzie stoń, a gdzie Polska* (Warszawa 1980 — obie o Afryce), Alfons Jacewicz, *Santa Rosa* (Londyn 1965 - Meksyk) i Janina Kowalska, *Moje uniwersytety* (Londyn 1971 - Ain Karem, Stowell Park). Szczególną wartość, w tym również ikonograficzną, mają księgi pamiątkowe wychowanków tych szkół: wydane w Londynie w latach 1970-tych księgi Junackiej Szkoły Kadetów i Szkoły Młodszych Ochotniczek. Planowanych jest parę innych, oby wyszły jak najszybciej i zostały rozprowadzone po wielkich bibliotekach, również krajów osiedlenia.

Do tych smętnych rozważań skłania mnie najnowszy przyczynek do literatury przedmiotu: pośmiertne wydanie papierów prof. Janiny Hobler w opracowaniu Z. S. Siemaszki, *Polonistka w mundurze* (Londyn, Oficyna Poetów i Malarzy, 1982). Książka interesuje mnie tym bardziej, że w latach 1948-50 byłam uczennicą i maturzystką „Hoblerki” (jak zwało ją sztabactwo) i opiewałam ją w wierszydkach tworzonych pod wpływem (jej ukochana wpływołogial) *Słówek*, a pobieżna z nią znajomość sięga zamierzchłych czasów palestyńskich.

Pani Profesor (1902-80) była lwowianką, córką sędziego. W roku 1918 wzięła udział w obronie Lwowa. W 1922-28 odbyła studia polonistyczne i historyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza i po zdobyciu kwalifikacji pedagogicznych uczyła w szkołach średnich we Lwowie i okolicy. Stąd zwykłą drogą „znalazła się” na Archipelagu Gułag, po „amnestii” przeszła piekło kołchozów Środkowej Azji i wiosną 1942 w mundurze ochotniczki wyjechała do Persji. Z postojami w Teheranie i Mosulu dotarła do Palestyny i tu, w listopadzie 1943, została odkomenderowana na stanowisko dyrektorki gimnazjum i liceum w Ain Karem pod Jerozolimą. Funkcję tę pełniła do końca roku 1944, gdy została przeniesiona do Szkoły Młodszych Ochotniczek w Nazarecie. Po przybyciu z nią do Anglii i demobilizacji uczyła w żeńskim gimnazjum i liceum w Stowell Park aż do jego likwidacji w roku 1954. Stąd na rok przeszła do polskiej szkoły technicznej w Lilford, a gdy i tę zamknęto, podjęła pracę w szkolnictwie angielskim jako nauczycielka historii i geografii. W roku 1968 wyszła na emeryturę i przez resztę życia mieszkała w Londynie.

Nasze drogi po raz pierwszy przecięły się w Ain Karem. Była to cywilna szkoła powszechna, gimnazjum i liceum dla dziewcząt i dla chłopców głównie w wieku przed-junackim. Wyznaję ze wstydem, że nie znam jej początków: przed napływem do Ziemi Świętej młodzieży z Archipelagu była tam już polska szkoła, bodajże w Tel Avivie, dla przybyłych przez Rumunię i Cypr. Gdy wiosną 1944 znalazłam się w Ain Karem, prof. Hobler była już

dyrektorką i uczyła „polskiego” w starszych klasach, które to nastroje laurowe i ciemne były niedostępne takiemu drobiazgowi jak ja. W końcu roku przeszła do Nazaretu, co było skutkiem vendetty między szkołą a internatem, którego kierownictwo aspirowało do roli równej a najmniej ciału pedagogicznemu. W rozgrywki te zaangażowała się młodzież i na przerwach toczyły się zajadłe pyskówki, w których „internatki” groziły mieszkającym z rodzinami że jak ich „Pani Komendantka” zostanie dyrektorką szkoły, to im „dopiero pokaże”. W tych bataliach odegrałam hałaśliwą rolę po stronie „Hoblerki”, choć nie miałam pojęcia o co chodzi i dopiero materiały zamieszczone w *Polonistce* pozwalają mi to zrozumieć. Apel nauczycielstwa o pozostawienie prof. Hobler w Ain Karem nic nie dał i musiała nas opuścić wbrew sprawiedliwości: w Stowell Park poznałam ją na tyle, by wiedzieć na pewno, że wywoływanie kwasów i awantur było obce jej naturze. Na pożegnanie otrzymała od nas laurkę (reprodukowaną w książce) z orłem w koronie za dużej o kilka numerów, siedzącym na stercie ksiąg, z wieńcem u stóp i gestem obrzydzenia odwracającym dziób od kopącego obok kagańca oświaty.

Jak powiedziałam, uczennicą „Hoblerki” zostałam dopiero w Anglii. Było to nauczanie czy raczej „przerabianie” tradycyjne i hiperpatriotyczne, z mesjanizmem jako centralnym dogmatem, w który musi się wierzyć pod grzechem ciężkim. Poczesną w nim rolę odgrywały dociekania „co autor chciał przez to powiedzieć” i który z ważnych pisarzy Zachodu na niego wpłynął, bo bez tego powstanie polskiego arcydzieła było nie do pomyslenia. Podejście to czasem osiągało wyniki przeciwne od zamierzonych i myśl o dobrowolnym czytaniu „przerobionych” dzieł, zwłaszcza romantyzmu, do dziś napawa mnie zgrozą. Co nie znaczy, że nauka ta była bez wartości, wyposażała bowiem moje pojęcie o literaturze ojczystej w solidny szkielet chronologiczno-faktyczny i niejaką świadomość jej europejskiego kontekstu, a przez wzbudzenie oporu wobec wmuszanych prawd wiary skłoniła mnie do późniejszego odkrywania jej na nowo w całkiem innym świetle.

Książka obejmuje materiał bardzo różny, wybrany z pokazanego zbioru papierów pozostawionych przez Panią Profesor i uzupełniony fotografiami ze szlaku, który przeszła. Najwartościowszą bodaj częścią są wspomnienia pisane w latach 1942-43 na szlaku Teheran - Mosul - Palestyna. Przeznaczone „do użytku wewnętrznego”, szczerze poruszają różne tematy, w tym również (rewelacyjne dla mnie) „sercowe” i doskonałe oddają osobowość swej autorki widoczną choćby z doboru przymiotników, w którym „miły” i „śliczny” grają poczesną rolę. Miły jest nawet sowiecki *śledziowiec* w Brygidkach, a kuchnia w obozie wojskowym też jest śliczna. A że oczekiwanie powrotu do Polski na wiosnę 1943 brzmi dziś naiwnie, to już całkiem inna sprawa.

Pokażną część książki zajmują bardzo niestety kiepskie wier-

sze, w których „miły” i „śliczny” mają należne miejsce, przy czym utwory refleksyjno-krajobrazowe z przejeżdżanych krajów Wschodu są pod rzeczywistym wpływem wschodniej poezji Wieszców. Druga część książki składa się z rozdziałów obejmujących bardzo różny materiał z Ain Karem, Nazaretu i Stowell Parku. W pierwszym z nich najciekawszy dla mnie materiał dotyczy rozgrywki z „internatem” (w tym frywolna „Sonata ain karemska b moll”, o autorstwo której podejrzewam profesora historii, St. Brochwicz-Lewińskiego) oraz wspomnienie Pani Prof. o Faderku („Father”): tajemniczym franciszkaninie, ponoć anglo-hinduskim arystokracie, który uczył nas angielskiego i bardzo się do szkoły przywiązał. Jest ono jeszcze jednym przyczynkiem do jej konwencjonalnie sentymentalnego widzenia rzeczy wbrew rzucającym się w oczy (i w uszy!) realiom: że na lekcjach ten łagodny i bezbronny, a przy tym rzeczywiście lubiany człowiek padał ofiarą najdzikszych wygłupów, które niechybnie przyspieszyły jego zgon. Mówię bom smutna i też pełna winy.

Rozdział ze Stowell Park zawiera prawdziwą niespodziankę: kilka listów od Sergiusza Piaseckiego z lat 1952-60, adresowanych przez „Ciapcusię” do „Kubusia”. Jak te osoby mogły znaleźć wspólny język jest wyższą tajemnicą, a tłem tej przyjaźni było, jak pisze Piasecki, to że „dla mnie już zwykła korekta gramatyczna będzie olbrzymią pomocą”. Jak widać, belferska solidność „Hoblerki” odegrała pewną rolę w literaturze na emigracji.

Materiały zawarte w książce są dla mnie często rewelacyjne i pokazują mi Panią Prof. w nowym świetle: przy wszystkich jej śmiesznościach (bo tylko te dostrzegałam onego czasu) jako osobę z gruntu szlachetną i idealistyczną i na swój sposób głęboko patriotyczną, i każą żałować mego sztubackiego dręczenia jej najświętszych uczuć, co dla złośliwej i ocytanej smarkuli było dziecinnie łatwe.

Książka pozostawia niedosyt: więcej chciałoby się wiedzieć o szkołach, stosunkach i nastrojach panujących wśród nauczycielstwa, a także o tym nieprawdopodobnym przejściu Polonistki w Mundurze żarliwie wyznającej mesjanizm do szkolnictwa angielskiego i przystosowaniu do nowych warunków. Niekoniecznie jest to zarzut pod adresem redaktora książki i zamieszczanego przezeń materiału, bo nie wiem co odrzucił, a odrzucić musiał dużo. W przedmowie pisze o „plikach” zgromadzonych przez Panią Prof. papierach i dodaje, że „p. Janka miała iście galicyjskie zamiłowanie do zbierania wszelkiego rodzaju dokumentów, referencji, wycinków z gazet, zdjęć, listów i wszelkiego rodzaju papierów”. Czy naprawdę nie można było ich dobrać w całości innych proporcjach, przede wszystkim ograniczając wiersze do kilku najmożliwszych i pomijając błahę listy od bliżej nieznanych przyjaciół z wojska, a za to pełniej zilustrować drogę, którą przebyła ze Lwowa do Londynu?

Hanna SWIDERSKA

## Rządy na wygnaniu

Praca Alicji Iwańskiej\* jest studium socjologicznym. Autorka nie daje oceny politycznej działalności rządów emigracyjnych polskiego i hiszpańskiego, natomiast dąży do określenia samej istoty tych rządów, rozpatrując je jako ruchy społeczne. Jak powstały te ruchy? Kto je popiera i dlaczego? Jak takie ruchy — autorka określa je jako utopijne — mogą istnieć w dzisiejszych niesłychanie skomplikowanych warunkach politycznych i gospodarczych? Znalezienie odpowiedzi na te i inne, podobne pytania wymaga przede wszystkim pewnego tła historycznego, naszkicowania stosunków istniejących w Hiszpanii i w Polsce w okresie międzywojennym. Wtedy to powstała w Polsce i w Hiszpanii, według terminologii autorki, „druga Rzeczypospolita”. Ruchy emigracyjne polski i hiszpański są produktem klęski organizacji państwowej tych narodów. Klęska w Hiszpanii nastąpiła wskutek zamachu stanu gen. Franco i następnie długiej i krwawej wojny domowej. Klęska drugiej Rzeczypospolitej polskiej była spowodowana agresją Niemiec hitlerowskich i Rosji sowieckiej. Powstanie i działalność tych dwu rządów emigracyjnych były więc protestem przeciw gwałtom popełnionym na narodach polskim i hiszpańskim.

W swej książce prof. Iwańska rozpatruje ideologię tych ruchów protestacyjnych, lecz szczególną uwagę poświęca innym sprawom. Interesuje ją przede wszystkim forma i struktura organizacyjna. Podkreśla ona, że rządy emigracyjne są tylko jedną z form protestu społecznego przeciw dyktaturze istniejącej w Polsce i, do niedawna, w Hiszpanii. Istniały też — i w wypadku Polski istnieją nadal — inne formy mniej lub bardziej zorganizowanego protestu.

Bardzo ważnym i trudnym aspektem działalności rządów i organizacji emigracyjnych jest sprawa utrzymywania kontaktu ze społeczeństwem w kraju. Prof. Iwańska pisze, że kontakty między Polską, będącą pod kontrolą Moskwy, a światem zachodnim były bardzo utrudnione i podlegały wielu ograniczeniom. Zimna wojna też wpływała na nie ujemnie. „W tym okresie — pisze autorka — bardzo niewielu Polaków mogło wyjeżdżać do krajów zachodnich. Oficjalne podróże były tolerowane tylko w rzadkich wypadkach, a ci, którym udało się wydostać na wolność, najczęściej zwracali się do Rządu Polskiego na wygnaniu. Częściej zwracali się do ambasad państw zachodnich albo też do

\* Alicja Iwańska, profesor socjologii i antropologii, Państwowy Uniwersytet Stanu Nowy Jork, Albany: *Exiled Government: Spanish and Polish. An Essay in Political Sociology*, Schenkman Publishing Co. Inc., Cambridge Massachusetts, USA.

Polskiej Rozgłośni Radia Wolna Europa w Monachium. Socjaliści zgłaszali się do kierownictwa PPS w Londynie, pisarze i naukowcy często próbowali nawiązać kontakt z małą lecz bardzo aktywną grupą działającą wokół emigracyjnego miesięcznika *Kultura* w Paryżu i instytutu wydawniczego tegoż pisma w nadziei, że uda im się opublikować swoje zabronione w Polsce rękopisy. Na czele tej grupy od trzydziestu lat stoi jej charyzmatyczny przywódca, człowiek mający niezależną postawę, poczucie swojej misji i konkretny program polityczny. Uważa on, że najpoważniejszą siłą działającą na rzecz zmian w Europie wschodniej jest inteligencja i w tym właśnie środowisku szukał on zarówno autorów jak i czytelników".

To jest tylko jeden przykład naświetlający stosunek autorki do różnych organizacji polskich i hiszpańskich, stojących poza rządami emigracyjnymi, chociaż niekiedy z nimi mniej lub bardziej współpracujących. Prof. Iwańska zajmuje stanowisko życzliwe i pozytywne wobec wszystkich organizacji społecznych na emigracji, nie wyłączając rządów emigracyjnych. Podkreśla niejednokrotnie, że ta różnorodność partii, komitetów, pism i kierunków jest raczej pożyteczna, pomimo ciągłych nieporozumień i konfliktów, które zdarzają się w sferach emigracyjnych. Prof. Iwańska stwierdza, że „większość hiszpańskich i polskich myślicieli i twórców wartości kulturowych woli działać niezależnie od rządów emigracyjnych nawet wtedy, gdy w zasadzie popierają legalizm. Zrzeszają się oni w mniejszych, bardziej giętkich grupach lub działają indywidualnie”.

Stąd wniosek końcowy:

„Można utrzymywać, że w pewnych okresach historycznych całkowite zjednoczenie emigracji (autorka używa zamiast emigracji określenia diaspora) może być bardziej szkodliwe niż pożyteczne dla tej wspólnej sprawy, której członkowie diaspory służą poprzez działalność różnych grup. Taka różnorodność grup i stylów w dążeniu do tego samego celu może być na dłuższą metę skuteczniejsza w naszych czasach nieprzewidywalnych przeszkód i możliwości”.

Książka prof. Iwańskiej, wydana w Ameryce w języku angielskim, jest najwyraźniej napisana dla cudzoziemców, którzy niewiele wiedzą o działalności emigracji polskiej i byłej emigracji hiszpańskiej. Odznacza się ona obiektywnością i erudycją, zasługuje więc na całkowite uznanie. Dla czytelnika polskiego, zwłaszcza niedawno przybyłego z kraju, praca ta ma inne znaczenie. Nakreśla teoretyczne ramy działania rządu emigracyjnego i usuwa, jak mi się wydaje, pewne złudzenia co do efektywności wysiłków wszelkich rządów emigracyjnych. Porównanie pracy dwu rządów emigracyjnych, polskiego i hiszpańskiego, wyjaśnia pewne problemy, ale nie dochodzi do sedna sprawy. Porównywać te dwa rządy można tylko strukturalnie, podkreślając elementy wspólne wszystkim emigracjom. Ale poza tymi wspólnymi elementami organizacyjnymi paralelizm nie działa. Losy tych dwu narodów, polskiego i hiszpańskiego, różnią się zasadniczo w jed-

nym podstawowym aspekcie. Dyktatura Franco była sprawą czysto wewnętrzną, hiszpańską, przynajmniej od zakończenia drugiej wojny światowej. Była to dyktatura czysto personalna, oparta o wojsko. Skończyła się wkrótce po śmierci dyktatora. Hiszpański rząd emigracyjny przestał istnieć, bo nie był już potrzebny. W Polsce mamy do czynienia z dyktaturą dwupiętrową: za jedną, partyjną dyktaturą stoi druga, obca, o wiele potężniejsza. Innymi słowy, sytuacja narodu polskiego jest o wiele trudniejsza, bardziej skomplikowana. Zadania i cele działania emigracji polskiej są bardzo specjalne, szersze, nie dające się porównać z celami emigracji hiszpańskiej. Sprawa polska była od samego początku sprawą międzynarodową. Działalność Solidarności jeszcze bardziej podkreśliła tę zasadniczą różnicę. Z tego punktu widzenia zwężenie tematu do porównywania dwu nie dających się porównać spraw może być szkodliwe, bo może doprowadzić do poważnych pomyłek politycznych.

Witold RYSER-SZYMAŃSKI

## Zofii Kozarynowej świat przełamany

„Ja tu chcę przybliżyć ten świat, przełamany przez wojny i rewolucje, wędrowni ludów i wysiedlenia. Nie z chęci przywracania go — a cóż byśmy z nim i w nim teraz poczęli? Ale uważam, że ciągłość, która nas trzyma, nie powinna być identyfikowana z niezmiennością\*”.

Świat przełamany to świat emigrantów, wysiedleńców, uciekinierów, ludzi, którzy to przełamanie odczuwają w sobie i którzy, nieustannie poszukujący, nigdy nie znajdują nasycenia. Ale książka Zofii Kozarynowej jest także książką o świecie najbardziej intymnym, przełamanym przez śmierć, a przybliżenie świata przełamanego dokonuje się poprzez bohaterkę „Stu Lat”, Antoinette Miłkowską — matkę autorki.

Postać Antoinette, urodzonej w Belgradzie córki emigranta politycznego Jeża-Miłkowskiego, wychowanej w Szwajcarii i wykształconej na paryskiej Sorbonie, emancypantki i entuzjastki, której ojczyzną była Europa, a miłością Polska symboliczna, przenika całą książkę.

Koniec życia Antoinette, córki, wnuczki, prawnuczki i babki

\* Zofia Kozarynowa, *Sto Lat, gawęda o kulturze środowiska*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982, str. 310.

powstańców, przypada na pierwsze dni Powstania Warszawskiego. Jest to także końcowa faza książki, a tytuł rozdziału „Po końcu” może oznaczać „po powstaniu”, a także „po utracie matki”, gdyż wszystko wtedy w życiu Zofii zmienia się, a ona sama jako narrator nie znajduje już punktu odniesienia i silnego *ego* matki, któremu podporządkowała przez cały bieg opowieści własne „ja”, schodząc zawsze na drugi plan. Miłość do matki i niepokodzenie się z jej utratą były motorem napisania książki. Była nim też, jak u większości pisarzy, samotność, która raz zasmakowana uczy sztuki sondowania samego siebie i wypowiedzania się przed sobą. Było nim także poczucie własnej niedoskonałości, zmuszające do niekończących się udoskonaleń, uważane czasem przez otoczenie za wyniosłość, a będące tylko spotęgowaną nieśmiałością wobec zamierzeń i wizji nieosiągalnych.

Samotna, z perspektywy długiego życia, autorka przywołuje matkę, a z nią całe tło obyczajowo-historyczne XIX wieku. Ojciec Zofii Kozarynowej, Rawita-Gawroński, który był i pozostał wygnańcem z ziemi ukraińskiej, jest nieco za mgłą, jakby teraz nawet trudno się było córce przybliżyć do człowieka, który poprzez swą wygnańczą inność pozostał osobnym światem.

Kilka zdań należy się samej autorce. Zofię Kozarynową poznałam w roku 1976 w Baltimore. Czytałam jej eseje i recenzje w *Wiadomościach* i byłam pod wrażeniem jej trafnych, nieraz suchych i otwarcie krytycznych spostrzeżeń, jej erudycji i świeżej bezpośredniości stylu. Pamiętam moje pierwsze wrażenie. Było to na wiosnę. „Pusia”, jak ją później nazywałam, bo spotkanie przerodziło się w przyjaźń, przyszła z pierwszą wizytą formalnie, wyprostowana i elegancka, szczupła, w obejściu raczej chłodna, ale chłodem nie odpychającym, a rześkim, który najlepiej wyraża się angielskim *crisp*. W dużych, ciemnych okularach, giętka i energiczna, wydawała mi się osobą w średnim wieku. Przyszła wtedy za swoją córką Niną i zięciem Zbyszkiem Szafrąnskim. Szła osobno, dając sobie doskonale radę z nierównością prowizorycznych schodków z kamieni, a kiedy chcieliśmy jej pomóc, grzecznie ale energicznie odsunęła wyciągnięte ręce. Dopiero później dowiedziałam się, że miała wtedy 86 lat, że niezależnie od pogody codziennie chodziła sama na długie, milowe spacery i że co rano uprawiała gimnastykę.

Siadłyśmy obok siebie i Zofia Kozarynowa zaczęła mówić. Zanim się zorientowałam, byłam już w toku jej opowieści, jakby przychwycona w treść rozwijającego się *roman fleuve*, opowiedanego z pedantyczną dokładnością szczegółów. Martwiła się wtedy i denerwowała, że POSK nie mógł pomyśleć o lokalu dla upadających już *Wiadomości*. O swojej znajomości literatury włoskiej i języka wspomniała, że przez 10 lat, od 1929 do 1939 roku była w Turynie. „Pojechałam tam — mówiła — właściwie dlatego, ażeby tłumaczyć 'Popioły'. Ale Zeromski nie wychodzi w obcym języku. Ani Sienkiewicz! A kiedy czytałam sienkiewiczowską Hanię w tłumaczeniu angielskim, to było mi wstyd. Taka szmira!”.

Kilka tych zdań o autorce może posłużyć za wstęp do książki. Pisana wartko, aż niecierpliwie, bo krótka przedmowa kończy się takim trzaśnięciem z bata: *A teraz jazda!*, książka jest próbą ratunku rozsypanego bogactwa dokonań intelektualnych i poświęceń dla „polskości”, która nie tylko przeszywa nas i wiąże, ale której jesteśmy niewolnikami. Książka jest świadectwem tragizmu nieustannego niszczenia najlepszych i urodzaju chwastów zarastających kwiaty. Nie ma tu rozczulań, tkliwości ani wzruszeń. Jest rzeczywistość. I jest spokojna, głęboka rozpacz nad miażdżącym jednostki i rodziny kołem przeznaczenia.

„Sto Lat” sięga poza Polskę, chociaż w nią się wplątuje i do niej wraca. Jest to powieść emigracyjna, łącząca emigracje wcześniejsze i obecną. Sama autorka jest emigrantką, córką, wnuczką, matką i babką emigrantów. Książka więc dotyka tego, co dla pisarza polskiego jest albo niedostępne, albo mało atrakcyjne, albo też tematem, z którym nie warto zaczynać, gdyż prowadzi do odkryć własnych słabości i upokorzeń. Niewiele wiemy o codziennych zmaganiach Wielkiej Emigracji, o stosunkach prywatnych, jakie w niej panowały, o jej życiu „od kuchni”. Do historii przeszli w romantycznych pelerynach, deklamujący poezje tęsknoty z wrokiem skierowanym na Polskę. Życie własne i życie ich najbliższych, życie przecież niepowtarzalne, całą obyczajowość współistnienia w otoczeniu kulturalnie innym uznali za mniej ważne, zostawiając potomnym trud „wskrzeszania” ich żywych, sami nie mogąc zdobyć się na współczesny im dokument utrwalający ich jako ludzi.

Zofia Kozarynowa poprzez portret matki ukazuje nam dzień powszedni emigracji. W tym widzę zaletę książki. Ale wartości tej „gawędy o kulturze środowiska” należy szukać głębiej, w sferach należących do wszystkich ludzi, w świecie najbardziej intymnym: związku matki z dzieckiem, którego bolesne zerwanie jest dramatem niezależnym od epoki historycznej, kultury środowiska i wieku pisarza.

Danuta MOSTWIN

## Kanadyjska książka o Polsce

„Les lilas fleurissent à Varsovie” Alice Parizeau (Pierre Tisseyre, Montreal 1981, str. 400) — to ważne wydarzenie literackie. Autorka podjęła się bowiem niezwykle trudnego zadania: jej napisana z epickim zacięciem powieść ma ukazać całą powojenną historię Polski od wkroczenia wojsk sowieckich do powstania Solidarności. Jest to pierwszy utwór na ten temat w języku francuskim. Żadne istotne wydarzenie nie zostało pominięte; prawie każda orientacja polityczna i każdy problem nur-



tujący Kraj doczekały się odnotowania. Nie brak nawet sporów ideowych między KPN a KOR.

Ale rzecz jest nie tylko o polityce. Losy trzech kolejnych pokoleń kobiet z jednej rodziny: Ireny, Heleny i Inki Stanowskich, które symbolizują łącznie los Polski podporządkowanej sobie gwałtem przez Związek Sowiecki ale zachowującej swą tożsamość i niezależność duchową, pozwalają na ukazanie wszystkich stron życia codziennego, jego trudności, a nawet — babskich i domowych kłopotów. Szkoda tylko, że bohaterkom tej realistycznej przecież powieści obciążenie funkcją symboliczną nie zawsze wychodzi na dobre. Bardziej wyraziście i przekonująco są niekiedy postacie z drugiego planu, jak np. Andrzej Rybicki, Razowa czy ksiądz Mariański. Niemniej jednak Helena, kluczowa osoba powieści łącząca przeszłość z przyszłością, wspomnienia z nadzieją, budzi w czytelniku żywą sympatię, a niektoóre sceny poruszają i wbijają się mocno w pamięć.

Prawie każdy Polak na obczyźnie, bez względu na środowisko, w jakim przebywa, styka się niekiedy z takim bezmiarem niewiedzy o Polsce, jej historii i teraźniejszości, że budzi się w nim przerażenie i chęć powiedzenia wszystkiego, wyjaśnienia raz na zawsze zarówno spraw elementarnych, jak wielkich problemów bytu narodowego. Uczucia te są wyczuwalne w podtekście książki p. Parizeau, która staje się chwilami swego rodzaju encyklopedią polską. Masa szczegółów, czasem niestety fantastycznych — w 1954 roku riksze już nie jeździły po Warszawie — sprawia, że aż trzeba było dodać chronologię ważniejszych wydarzeń, aby czytelnik zachodni, dla którego książka jest przeznaczona, mógł uporządkować swe wrażenia. Byłoby lepiej, gdyby dało się tego uniknąć, nawet za cenę zubożenia informacyjnych walorów powieści. To powiedziawszy, przesłanie jest najzupełniej jasne: Polska jest i będzie Polską. Pozostaje życzyć autorce, by znalazła jak najliczniejszych czytelników.

s.a.

## Nadesłane nowości wydawnicze

PASIERB (Janusz St.). *Światło i sól*. Str. 301 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1982).

MICEWSKI (Andrzej). *Kardynał Wyszyński — Prymas i mąż stanu*. Str. 465 i 7 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1982).

WYSZYŃSKI (Stefan kard.). *Zapiski więziennicze*. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1982).

*Księżki pięciu megilot*. Tłumaczył z hebrajskiego i greckiego Czesław Miłosz. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1982).

FICOWSKI (Jerzy). *Errata*. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Libra, Londyn 1982).

SIEMASZKO (S. Zbigniew). *Narodowe Siły Zbrojne*. Str. 262 i 2 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn 1982).

*Spojrzenie z drugiej strony. Relacja z Gdańska 1970*. Str. 33 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo GŁOS, Nowy Jork 1982 jako przedruk z krajowego wydania pozacenzuralnego GŁOSU z 1981 r.).

*Słowo*. Miesięcznik Kongresu Polaków w Szwecji nr 1. Str. 30. (Wyd. Kongres Polaków w Szwecji, Sztokholm, maj 1982).

GAWROŃSKI (Andrzej). *Do góry nogami*. Zbiór satyr. Str. 128. (Wyd. Contal Co., Melbourne 1982).

ŚCIBOR-RYLSKI (Aleksander). *Człowiek z marmuru. Człowiek z żelaza*. Str. 216 i 4 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1982).

TRUSZKOWSKA (Maria Angela). *Wybór pism*. Tom II: *Listy do O. Honorata Koźmińskiego i do różnych osób spoza Zgromadzenia*. Str. 389 i 3 nlb. Tom III: *Różne pisma*. Str. 277 i 3 nlb. (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym 1982).

KOZARYNOWA (Zofia). *Sto lat. Gawęda o kulturze środowiska*. Str. 310 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).

*Polonia francuska w hołdzie Janowi Kochanowskiemu*. Broszura. Str. 38. (Wyd. Club Culturel Franco-Polonais „Polonia”, Lille).

*Pamiętnik Literacki* tom IV. Str. 171 i 6 nlb. (Wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 1982).

*Janta — człowiek i pisarz*. Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego R. Krzyżanowskiego. Str. 363 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).

SENDOR (Leokadia). *Pamiętnik wiejskiej dziewczyny*. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).

BIENKOWSKI (Władysław). *Rachunek partyjnego sumienia*. BRATKOWSKI (Stefan). *Listy otwarte do członków partii i do społeczeństwa*. RAJSKI (Marian). *Wystąpienie na miejskiej konferencji partyjnej PZPR w Gdyni*. Str. 57 i 3 nlb. (Wyd. „Polonia”, Chicago, 1982).

*Prześcienie stale nas przepraszać...*

Zbiór wierszy powstałych i kolportowanych wśród strajkujących robotników Wyrzeża w 1980 roku. Przedruk z pozacenzuralnego wydania krajowego. (Wyd. „Polonia”, Chicago 1982).

RAKOWSKI (Janusz). *Zetowcy i pilsudzczycy*. *Nadbitka z Zeszytów Historycznych* nr 54/1980 oraz 55 i 56/1981. Str. 76 i 4 nlb.

GRYNBERG (Henryk). *Po zmarłych wstaniu*. *Wiersze*. Str. 8. (Wyd. SOWULA, Londyn 1982).

JAKUNIN (Gleb, O.). *Rosyjski Kościół prawosławny. Perspektywy religijnego odrodzenia Rosji*. Str. 34 i 6 nlb. (Wyd. Editions „Spotkania”, Paryż 1981).

LUBOMIRSKI (Eugeniusz). *Kartki z mego życia*. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).

*Puls*. *Nieregularny kwartalnik literacki*. Nr 14. Str. 131 i 3 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1982).

PORAY-BIERNACKI (Janusz). *Stan łaski. Kompozycje o zakochaniach i o miłości*. Str. 208 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1982).

*Biuletyn*. *Kwartalnik Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie*. Nry październik 1981 (str. 183) i marzec 1982 (str. 64). (Wyd. j.w., Toronto 1982 i 1982).

ALBERT (Andrzej). *Najnowsza historia Polski 1918-1939*. Str. 248 i 1 nlb. (Wyd. w Polsce poza cenzurą przez „Krag”, Warszawa 1982).

*Wezwanie*. *Niezależne pismo literackie*. Wiosna 1982. Str. 131. (Wyd. w Polsce poza cenzurą, bliższych danych brak).

*Une éducation pour la démocratie*. *Textes et projets de l'époque révolutionnaire*. Présenté par Bronisław BACZKO. Str. 526 i 2 nlb. (Wyd. Editions Garnier w serii „Les classiques de la politique”, Paryż 1982).

BROYELLE (Claudie et Jacques). *Les illusions retrouvées*. *Sartre a toujours raison contre Camus*.

- Str. 333 i 3 nlb. (Wyd. Grasset, Paryż 1982).
- GACKI (Stefan-Kordian). *Vers pour Irène et autres poèmes. Avant-propos et traduction du polonais de Lucienne Rey. Ilustr. Stanislas Piaskowski.* Str. 75 i 5 nlb. (Wyd. Arcam, Paryż 1982).
- Dictionnaire polonais-français et français-polonais.* Str. 514 i 12 nlb. oraz 485 i 7 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1982).
- DIENES (Laszlo). *Bibliographie des œuvres de Gaito Gazdanov.* Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1982).
- MAREK (Edmond). *Mickiewicz le catholique et son mirage voltairien.* Str. 20. (Wyd. w Lille, 1982).
- POLI (Bernard). *Le roman américain 1865-1917. Mythes de la Frontière et de la Ville.* Str. 269 i 3 nlb. (Wyd. Armand Colin, Paryż 1972).
- WYON (Lise). *La musique insolente. Powieść.* Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Lawrence, Rouen 1982).
- DIENES (Laszlo). *Russian Literature in Exile: The Life and Work of Gaito Gazdanov* (w: *Slawistische Beiträge*, Band 154, str. 224 + 4 nlb., wyd. Verlag Otto Sienger, Monachium 1982).
- KARPIŃSKI (Jakub). *Count-down. The Polish Upheavals of 1956, 1968, 1970, 1976, 1980...* Z polskiego przeł. Olga Amsterdamska i Gene M. Moore. Str. 214 i 4 nlb. (Wyd. Karz-Cohl, Nowy Jork 1982).
- Harvard Ukrainian Studies.* Vol. V, No 3, September 1981. Str. 413 i 3 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge Mass., USA).
- STEWART (Steven). *The Poles.* Str. 427 i 3 nlb. (Wyd. MacMillan, Nowy Jork 1982).
- POMIAN-SRZEDNICKI (Maciej). *Religious Change in Contemporary Poland: Secularization and Politics.* Str. 227 + 14 i 4 nlb. (Wyd. Routledge and Kegan Paul, London-Boston-Melbourne and Henley 1982).
- JEDRUCH (Jacek). *Constitutions, Elections and Legislatures of Poland, 1493-1977. A Guide to their History.* Str. 590 i 4 nlb. (Wyd. University Press of America, Waszyngton 1982).
- DZIEWANOWSKI (M. K.). *Leon Petrażycki: on the Fiftieth Anniversary of His Death.* Str. 3-20. (Nadbitka z *The Polish Review* nr 3/1981, vol. XXVI).
- HALICZ (Emanuel). *Polish National Liberation Struggles and the Genesis of the Modern Nation. Collected Papers.* Z polskiego przełożył Roger A. Clarke. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Odense University Press, Dania 1982).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Jerzy Andrzejewski's The Passion Week: A Holocaust Story.* (Nadbitka z *Poetica slavica*, Litterature comparee Nr 2, str. 93-104. Wyd. University of Ottawa Press, Ottawa 1982).
- PODGÓRECKI (Adam). *The Enigmas of Si-Tien.* Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1982).
- CHECINSKI (Michael). *Poland. Communism, Nationalism, Anti-Semitism.* Translated in part by Tadeusz Szafar. Str. 289 i 5 nlb. (Wyd. Karz-Cohl Publishing, Nowy Jork 1982).
- ROGOVIN-FRANKEL (Edith). *Nowy Mir. A Case Study in the Politics of Literature 1952-1958.* Str. 206 i 2 nlb. (Wyd. Cambridge University Press, 1982).
- Poland: A Chronology of Events August-December 1981.* Opracował R. Stefanowski. Str. 193 i XIII. (Wyd. Radio Free Europe Research, RFE-RL, Monachium 1982).
- CHADA (Joseph). *The Czechs in the United States.* Str. 292 i 2 nlb. (Wyd. SVU Press, USA 1981).
- BUCHHORN (Martin). *40 Tage in Kabul. Eine Reportage über Russen, Rebellen, Revolutionäre.* Str. 187 i 1 nlb. (Wyd. Beltz Verlag, Weinheim und Basel 1982).

- LAUB (Gabriel). *Das Recht recht zu haben. Vergrößerte Logik. Erlaubte Freiheiten. Aphorismen.* Str. 160. (Wyd. Bastei-Lübbe, RFN 1982).
- PUSYLEWICZ (Teresa). *Rechtsquellen zur gegenwärtigen Situation in Polen. In deutscher Übersetzung mit Einführung.* Str. 218 i 2 nlb. (Wyd. Institut für Recht, Politik und Gesellschaft der sozialistischen Staaten, Universität Polska vinter brev. Str. 40. (Wyd. Tryckeri AB Federativ, Sztokholm 1982). Historiska och Litteraturhistoriska Studier. Nr 57. Oprac. Torsten Steinby. Str. 343 i 1 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors 1982).
- BJÖRKLUND (Kristine). *Riki och den förtrollade vägen.* Studier i Oscar Parlands Berättarkonst. Str. 152 i 2 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors 1982).
- TISCHNER (Józef). *Solidariteit. De hoop van een nieuwe tijd.* Str. 143. (Wyd. „lannoo/tielt/bussum”, Belgia 1982).
- ZIELIŃSKI (Adam). *Ladislao Mickiewicz em Portugal.* Str. nlb. (Nadbitka z *Ocidente*, Portugalia 1982).
- DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Maria). *Atanasio Raczynski — 1788-1874. Um historiador de arte portuguesa.* Str. 70 i 8 nlb. (Nadbitka z *Belas-Artes*, wyd. Academia Nacional de Belas-Artes, Lizbona 1981).
- LEDERER (Jiří). *Me Polsko.* Str. 284 i 4 nlb. (Wyd. „Index”, RFN 1982).
- IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Stawa i chwała.* Przeł. Petar Vujičić. Tomy I/II. Str. 664 i 4 nlb. oraz 621 i 4 nlb. (Wyd. Proswieta, Belgrad 1982).
- ROZANOV (Vasilij V.). *Legenda o velikom Inkwizitoru F. M. Dostojevskog. Pokušaj kritičkog komentara.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 223 i 5 nlb. (Wyd. „Grafos”, Belgrad 1982).
- MAJOROV (Genadij G.). *Formiranje srednjovekovne filozofije. Latinska patristika.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 434 i 2 nlb. (Wyd. „Grafos”, Belgrad 1982).
- MIŁOŚ (Česlav). *Zemlja Ulro.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 320 i 3 nlb. (Wyd. Decje Novine, Gornji Milanovac 1982).
- ZINOWJEW (Aleksandr). *My i zapad. (Statji, interwju, vystuplenja 1979-1980 g.).* Str. 154 i 6 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1981).
- ZINOWIEW (Aleksandr). *Homo sovieticus.* Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. l'Age d'Homme, Lozanna 1982).
- MICHAJŁOW (Michajło). *Planetarnoje soznanije.* Str. 217 i 7 nlb. (Wyd. ARDIS, Michigan 1982).
- BEDRNYK (Oleś). *Prometej. Powieść.* Str. 255 i 3 nlb. (Wyd. Ukrajinske Wydawnictwo, Monachium 1981).
- RUDENKO (Mykoła). *Orłowa Baka. Powieść.* Str. 454 i 4 nlb. (Wyd. Smołoskyp, Toronto-Baltimore 1982).
- Dijałoh.* Nr 5-6 1982. Str. 144. (Wyd. Dijałoh, Toronto Ont., Kanada).
- TYCHYJ (Oleksij). *Rozdumy. Zbirnyk stattej, dokumentiw, spohadiw.* Oprac. O. Zinkewycz. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Smołoskyp, Baltimore-Toronto 1982).
- MELNYCZUK (Taras). *Iz-za hrat. Poezji.* Str. 83 i 1 nlb. (Wyd. Smołoskyp jako przedruk samizdatowego wydania z Ukrainy, Baltimore-Toronto 1982).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

17-6-82

Wiceprzewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów PRL, p. Jabłoński poinformował, że w końcu ub. roku w obiektach inwestycyjnych było zamrożonych 800 mld złotych, z czego 60 mld przypadało na zapasy maszyn i urządzeń z importu. Wobec braku możliwości dalszego realizowania wielu inwestycji rząd podjął decyzję o wstrzymaniu budowy około 1.500 obiektów. Zbierane są oferty dotyczące wykorzystania zamrożonych obiektów. Opracowano propozycję dla *krajów socjalistycznych* oraz firm polonijnych. ■ *Sztandar Młodych* podaje o fatalnym stanie nauki najnowszej historii w szkołach. Badania przeprowadzone wśród 2 tys. uczniów na Mazowszu stwierdziły, że aż 31% badanych nie potrafiło odpowiedzieć kim był Józef Cyrankiewicz, a 21% nie wiedziało co oznacza skrót Z.S.L. Rzeczywiście przerażająca ignorancja!

28-6-82

Zmarła w Warszawie w wieku 95 lat wybitna aktorka polska Seweryna Broniszówna.

1-7-82

Na początku bież. roku powstał komitet mający na celu odbudowanie szpitala ewangelickiego w Warszawie, który został spalony w czasie wojny przez Niemców. Ewangelicki szpital powstał w Warszawie 250 lat temu. Przewodniczącym Komitetu Odbudowy został prof. dr Jan Szczepański, wiceprzewodniczącym — ks. bp Janusz Narzyński, zwierzchnik Kościoła ewangelickiego w Polsce oraz prof. dr Witold Rudowski. ■ W PRL można obecnie kupować w eksporcie wewnętrznym samochody produkcji krajowej, płacąc połowę ceny w dewizach a połowę w złotych. Np. Polonez 1500, który dawniej kosztował \$ US 3.300 teraz można kupić wpłacając \$ US 1.650 plus zł 301.000. Większość samochodów zagranicznych będzie sprzedawana górnikom na podstawie tzw. asygnat.

2-7-82

Mały ruch graniczny między Polską a Czechosłowacją ustał zupełnie po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Już przedtem władze czeskie odbierały przepustki graniczne Polakom zamieszkałym na Zaolziu. W sklepach odmawiano Polakom, przybyłym z drugiej strony Olzy, sprzedaży artykułów żywnościowych. Teren Zaolzia został nasycony dużą ilością tajnej policji, która terroryzuje polską ludność.

7-7-82

*Literaturna Gazeta* drukuje artykuł kandydata nauk filozoficznych Sunjagina o „sowieckim eksperymencie z makulaturą”. Autor był w swoim czasie projektodawcą owego „eksperymentu”, który polegał na tym, że za zdawaną makulaturę można było w księgarniach bezpłatnie dostać książki rozrywkowe w rodzaju Dumasa i Simenona. Sunjagin proponuje teraz, by nie ograniczać się do literatury rozrywkowej, lecz umożliwić otrzymywanie, w zamian za zdawaną makulaturę, normalnych książek według upodobań i życzeń czytelnika. W PRL, począwszy od roku 1956, kilkakrotnie usiłowano zachęcić do zdawania makulatury, z niezbyt błyskotliwymi wynikami. Odbywało się to w formie skupu, przy czym do akcji starano się głównie wciągnąć szkoły i harcerstwo. W zeszłym roku zaofiarowano, w zamian za

zdawaną makulaturę, talony upoważniające do nabywania tomów ograniczonego wydania pełnego Mickiewicza. Z lepszym o wiele wynikiem, ale wprowadzenie stanu wojennego zatrzymało chwilowo całą imprezę. Zobaczymy na jak długo.

8-7-82

Deficyt budżetowy PRL na bież. rok był przewidziany na 368 mld złotych. Na skutek interwencji Sejmu został obniżony do 155 mld złotych. Deficyt budżetowy PRL stale wzrasta — w 1980 roku wynosił 26 mld złotych, a w 1981 — 124 mld.

9-7-82

W Warszawie podniesiono status stałego przedstawicielstwa OWP do rangi oficjalnego przedstawicielstwa Palestyńczyków w Warszawie.

16-7-82

Stocznia Szczecińska im. A. Warszawskiego buduje dla sowieckiego armatora 33 holowniki zaopatrzeniowo-dostawcze, przeznaczone do obsługi górnictwa morskiego. ■ Został wznowiony sezon przewozowy na szlaku Szczecin — porty Zatoki Hudson. Przewiduje się, że szczecińskie trampy przywiozą 300 tys. ton kanadyjskiego zboża.

18-7-82

Paxowski tygodnik *Kierunki* podaje, że w Polsce jest nadmiar jaj. Miesięcznie sprzedaje się 180-200 mln sztuk zamiast, jak dawniej, 300 mln. Dzieje się tak mimo obniżki cen detalicznych. Zapasy jaj sięgają już 260 mln i nadal rosną. Jak stwierdził jeden z pracowników „Zakłady jajczarskie nie mają żadnego obowiązku skupywania jaj od producentów i nie ma co nimi robić”.

1-8-82

PZPR, ZSL i SD wraz ze Stowarzyszeniem PAX, CHSS i PKZS uzgodniły zamiar powołania Tymczasowej Rady Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. ■ P. Halina Czerny-Stefańska, która jest bojkotowana za koncerty dla wojska po zamachu gen. Jaruzelskiego, oświadczyła na łamach *Trybuny Robotniczej*, że uważała to za swój patriotyczny obowiązek, jak również występowanie w telewizji. Przyznała, że występowała także przed Stalinem, ale „to rzecz normalna, że artysta występuje przed głowami koronowanymi i przed mężami stanu”.

3-8-82

W Warszawie zarejestrowano Stowarzyszenie Autorów im. Bolesława Prusa. Jest to organizacja „twórczo-zawodowa” skupiająca autorów książek naukowych i popularyzatorów różnych dziedzin wiedzy. Mimo niewinnej nazwy jest to wstęp do likwidacji Stowarzyszenia Literatów Polskich.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

6-6-82

W Londynie odbył się V Centralny Zjazd Stronnictwa Narodowego. Prezesem Stronnictwa został p. Antoni Dargas. Centralny Wydział Wykonawczy ukonstytuował się w składzie: pp. Stefan Brewka, dr Wacław S. Całus, Wojciech Danielak, inż. Władysław Dworak, L. Jasińczyk-Krajewski, Wacław Netter, inż. Mieczysław Sergot, dr Mieczysław Szamocki.

7-6-82

Znane pismo specjalistyczne *Pipeline Digest* donosi, że Bechtel Petroleum (oddział Bechtel Group, którego członkiem był do niedawna nowy amerykański Sekretarz Stanu, Shultz) opracowało projekt budowy gazociągu nigeryjskiego i przedłożyło go w listopadzie ub. roku rządowi nigeryjskiemu. Koszt gazociągu, długości dwa i pół tysiąca mil, wyniósłby dziewięć miliardów dolarów (nie licząc samego przebiecia przez Morze Śródziemne). Z Nigerii gazociąg szedłby nad Morze Śródziemne, z trzema odnogami: do Włoch, do Hiszpanii, w okolice Gibraltaru. Projekt gazociągu nigeryjskiego dowodzi (podobnie jak wiercenia dna Morza Północnego), że co najmniej problematyczna jest celowość budowy gazociągu syberyjskiego dla Europy, która rzuciła ostatnio tak poważny cień na stosunki Europy ze Stanami Zjednoczonymi.

20-6-82

Zmarł w Londynie w wieku 89 lat gen. Zygmunt Bohusz-Szyszko. W 1940 roku był dowódcą Brygady Podhalańskiej w Norwegii, w latach 1943-45 zastępcą dowódcy Drugiego Korpusu. Od 1976 roku był w Rządzie R.P. na Emigracji Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych oraz jednym z powierników Polskiej Fundacji Kulturalnej.

24-6-82

Zmarła w Madrycie w wieku 76 lat Wanda Borkowska, która przez 50 lat była bibliotekarką Biblioteki Polskiej w Paryżu. Położyła specjalne zasługi w uruchomieniu po wojnie zdewastowanej przez hitlerowców Biblioteki Polskiej i w odzyskaniu jej zbiorów, wywiezionych do Niemiec.

1-7-82

Stanisław Merło w Belgii złożył dymisję ze stanowiska delegata Polsko-Amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego (PAIRC) Benelux w Brukseli oraz tłumacza przysięgłego w Urzędzie dla Cudzoziemców i w sądach w Brukseli. P. Stanisław Merło zdecydował się po 26 latach intensywnej pracy przejść na emeryturę, pozostał jednak nadal prezesem S.P.K. w Belgii. ■ Lubomir Fieński, znany architekt w dziedzinie planowania urbanistycznego, został mianowany sekretarzem do spraw rozwoju municypów w rządzie stanu Parana w Brazylii.

7-7-82

Jury Związku Pisarzy w Londynie przyznało jednorazową Nagrodę im. śp. Wincentego Rapackiego (wnuka) dla polskiego propagatora książki polskiej na obczyźnie Jerzemu Kulczyckiemu, który prowadzi firmę wydawniczą „Odnova” i księgarnię Orbis Books (London). Nagroda wynosi £ 200.00, została ufundowana przez p. Władę Majewską.

20-7-82

Wybrany na 56-tym walnym zjeździe delegatów zarząd Związku Polaków w Argentynie ukonstytuował się następująco: prezes Stanisław Farkas, trzech wiceprezesów — Witold Ptasznik, Wiktoria Arasiewicz-Machnikowa, Zdzisław D. Biały, sekretarz generalny — Marian E. Bogusławiewicz.

1-8-82

Po śmierci Andrzeja Stypułkowskiego kierownikiem wydawnictwa Polonia Book Fund w Londynie został Jan Chodakowski, dotychczasowy redaktor i wydawca londyńskiej edycji *Pulsu* oraz jego „Biblioteki”. ■ Prasa szwajcarska podaje, że ZSSR sprzedał w 1981 roku 300 ton złota, a w 1980 roku tylko 90 ton.

4-8-82

Zmarł w Londynie dr Witold Czerwiński, znany działacz społeczny, m.in. dyrektor wydawnictwa *Dziennika Polskiego*, dyrektor Polskiej Fundacji Kulturalnej, długoletni przewodniczący zarządu Fundacji Domu Pisarza.

8-8-82

W Comblain La Tour w Belgii odbył się 3-ci Światowy Zlot Harcerstwa Polskiego na Zachodzie.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

1. 7. br. Wayne State University Press w Detroit zapowiada wydanie książki Jana Nowaka „Courier from Warsaw” z przedmową Zbigniewa Brzezińskiego. ■ 4. 6. br. odbył się w Buffalo tzw. Teleton — kilkugodzinna audycja w telewizji, zorganizowana przez tamtejszą Polonię i miejscowych amerykańskich działaczy politycznych. W czasie tej audycji zwracano się o pomoc dla Polski jeśli chodzi o leki i żywność. Zebrano około 200 tys. dolarów. ■ 19. 6. br. odbył się w Kalamazoo Western Michigan University drugi walny zjazd Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich. Przewodniczącym zarządu został p. Stanisław Bask-Mostwin, wiceprzewodniczącymi: dr Jerzy Wojciechowski i dr Wacław Rzeszotarski, sekretarzem Stanisław Jaworski, skarbnikiem Elżbieta Wasutyńska, oraz członkami zarządu — dr Jan Morelewski, dr Juliusz Łukasiewicz i Jerzy Gonerko. ■ Jury Towarzystwa Krzewienia Nadziei przyznało czwartą z kolei nagrodę literacką (\$ 500) pisarzowi polskiemu, tworzącemu na emigracji. Tym razem otrzymał ją Leszek Szymański z Los Angeles, Ca. za monografię „Kazimierz Pułaski in America”. ■ 5. 6. br. zmarł dr Wolf Szmuness, który zyskał światową sławę, pracując nad szczepionką „Hepatis B”, chroniącą przed zakaźną żółtaczką, atakującą wątrobę. Dr Wolf Szmuness przed wyjazdem z Polski w roku 1968 był profesorem na Uniwersytecie Lubelskim. Badania dr. Szmunessa, które wymagały dalszych prac, nie zostały ukończone. Zmarł w 62 roku życia. ■ 17. 6. br. Irena Lasota i Eric Chenoveth w czasie rozbrojeniowej sesji w ONZ po zakończeniu przemówienia Gromyki, rozwinięli dwumetrowy, biały transparent z angielskim napisem: *Disarm Jaruzelski* — „Rozbroić Jaruzelskiego”. Niezwykle czynna w czasie przemówienia delegata sowieckiego straż ONZ w ciągu kilku sekund wyrwała obydwójgu demonstrantom transparent. Wystarczyło to jednak, żeby zobaczyli go dziennikarze i Gromyko. PP. Lasota i Chenoveth zostali ukarani dożywotnim zakazem wstępu na teren ONZ. Obwinieni nie okazali skruchy. ■ Prezydent Reagan przedłużył dostawy zboża do ZSSR na dalszy rok, odmawiając zawarcia 5-letniego kontraktu, czego domagało się „Lobby” farmerskie w Kongresie. Odmowę administracja motywowała tym, że represje w Polsce nie uległy złagodzeniu. Z drugiej strony, nasuwa się pytanie dlaczego dostawy zboża zostały przedłużone skoro można je było w ogóle przerwać. Najwidoczniej prezydent Reagan bardziej się obawia amerykańskich farmerów niż sowieckich czołgów. Sprawa amerykańskich dostaw zbożowych dyskutowana jest stale przez amerykańskie *mass media* w kontekście sprzeciwu administracji waszyngtońskiej w uczestniczeniu firm amerykańskich w budowie gazociągu. Amerykańskie *mass media* na ogół sympatyzują ze stanowiskiem rządów EWG, atakujących ostro Reagana za jego próby storpedowania budowy gazociągu. Ameryce zarzuca się raz — hipokryzję, drugi raz — że traktuje kraje Europy jak bananowe republiki, którym próbuje wydawać polecenia i zakazy. Tymczasem pomiędzy dostawą zboża dla Rosjan a budową rurociągu gazowego istnieją co najmniej dwie podstawowe różnice. Za zboże

amerykańskie Sowiety muszą płacić, za gaz — odwrotnie, będą dostawać grube miliardy dolarów od chwili gdy gaz zaczął pompować. Na co pójdą te miliardy — wiadomo. Prawdopodobnie Europa Zachodnia odczuje je na swojej skórze. Zachodnioeuropejszy politycy oraz niektórzy kongresmani i dziennikarze, którzy zarzucają Waszyngtonowi, że przeszkadzając Europie w budowie rurociągu, sami handlują z Sowietami zbożem wiedząc, że: 1) wystarczające moce produkcyjne do wytworzenia turbin o ogromnej mocy i kolosalnej ilości obrotów, na miarę silników wielkich samolotów odrzutowych, posiada tylko Ameryka. Francja, Anglia i Włochy potrafią przy wielkim wysiłku wykonać rocznie kilkanaście turbin podczas gdy „General Electric” — kilkadziesiąt. Twierdzenie jakoby w sytuacji zakazu, obejmującego firmy amerykańskie, produkcja rurociągu uległa tylko nieznacznemu opóźnieniu jest nieprawdą. Ulegnie kilkuletniemu opóźnieniu. A te kilka lat w okresie ciężkich kłopotów finansowych ZSSR są bardzo ważne. 2) Żaden kraj nie jest w stanie zastąpić Stanów Zjednoczonych jeśli idzie o dostawę turbin. Jako dostawcę zboża — zastąpią je niezwłocznie Kanada, Australia i Argentyna. ■ Jedną z przyczyn obecnej recesji w Stanach Zjednoczonych było niepotrzebne a nawet wysoce szkodliwe obniżenie podatków. Jeśli chodzi o warstwy średnie, to nie przyczyniły się one w sposób widoczny do zwiększenia siły nabywczej na rynku, mającej z kolei zmoczyć wytwórczość przemysłową. Zniżki podatkowe w skali indywidualnej były zbyt małe, żeby zaktywizować koniunkturę gospodarczą. Jeśli zaś chodzi o ulgi podatkowe, które proporcjonalnie u warstw zamożnych były wysokie, to nie wywołały również bodźców inwestycyjnych, ponieważ przy wysokiej stopie procentowej, jakie oferowały swoim klientom rozmaite instytucje kredytowo-pożyczkowe jak również Federalny Bank Rezerw, można było lokować kapitały zarówno małe jak i duże bez ryzyka jakże zwykle towarzyszą inwestycjom. W rezultacie recesja coraz bardziej się pogłębiała, bezrobocie rosło, a deficyt skarbowy wzrastał z każdym rokiem. Ostatecznie prezydent Reagan zmuszony był pomyśleć o podniesieniu podatków, nie przyznając się do tego, że jego dotychczasowa polityka podatkowa była fatalnym błędem. W ciągu 1983, 1984 i 1985 roku przewiduje się wzrost podatków o łączną sumę 98 mld.

Z. B.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELADZKA

Liczbę przybyłych do Australii polskich uchodźców i emigrantów, w ostatnich trzech latach (do czerwca br.), oblicza się w przybliżeniu na 15 tys., co podnosi ogólną liczbę australijskiej Polonii do około 150 tys., w tym 1/3 stanowią Polacy przybyli po 1956 roku, kiedy władze PRL złagodziły ograniczenia emigracyjne. Australia staje się więc krajem o stosunkowo dużej liczbie osób z najnowszej emigracji. ■ W hostelach rządowych w Australii znajdowało się w czerwcu br. około 2 tysięcy niedawno przybyłych polskich uchodźców, głównie z Austrii, najwięcej w hostelach w Melbourne — około 800. Nie pracujący uchodźcy oraz emigranci z prawem pobytu, otrzymują zapomogę rządową dla bezrobotnych w wysokości około 60 dolarów tygodniowo na osobę oraz dodatki miesięczne na dzieci; mają bezpłatną opiekę zdrowotną (lekarz, szpital i ambulans) przez okres 6 miesięcy oraz bezpłatne kursy języka angielskiego. Uchodźcom rząd australijski pokrywa koszty przelotu z Europy do Australii, pobyt na okres kilku miesięcy w hostelu (koszt wyżywienia potrącany jest z otrzymywanego za-

siłku), mieszkanie jest bezpłatne, ale tylko dla niepracujących. ■ Polskie Biura Opieki Społecznej, istniejące we wszystkich prawie stolicach stanowych, finansowane są przez rząd federalny, który opłaca kierownika i koszty utrzymania Biura; reszta personelu to bezpłatni polscy pracownicy społeczni. Doraźne subwencje przydzielane są przez rządy (federalny i stanowe). Wpływają także fundusze od polskich organizacji. Wymienione Biura koncentrują się w swojej działalności głównie na dwóch grupach osób — uchodźcach i nowych emigrantach (legalnie przyjeżdżających z Polski lub turystach nie wracających do kraju) oraz lokalnych emerytach. Uchodźcom i nowym emigrantom Biura udzielają ogólnych informacji oraz w miarę potrzeby załatwiają pomoc lekarską, przez polskich lekarzy, pomoc prawną przez polskich adwokatów oraz sprawy związane z pracą, mieszkaniem i brakiem znajomości języka angielskiego. ■ Powstały w listopadzie ub. roku, z inicjatywy Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Ogólnaustralijski Komitet Pomocy dla Polski pod patronatem premiera Australii Malcolma Frasera, przekazał już przez Komisję Charytatywną Polskiego Episkopatu, pomoc wartości około półtora miliona dolarów. Do końca bież. roku wartość pomocy dojdzie prawdopodobnie do dwóch milionów dolarów. Komitet, oprócz pomocy dla kraju w przesyłaniu żywności, lekarstw, wyposażenia medycznego, środków sanitarnych, ma rozpocząć na większą skalę zbiórkę odzieży. Dary ze zbiórki w Australii wysyłane są bezpłatnie polskimi statkami do Gdyni. ■ Według otrzymanych orientacyjnych danych m.in. od polonijnych firm wysyłkowych, wartość ogólnej pomocy indywidualnej od Polaków w Australii dla rodzin i przyjaciół w kraju, podniosła się obecnie w skali rocznej do około ośmiu milionów dolarów. Kwota ta obejmuje paczki PKO i inne oraz bony dolarowe. ■ Zamieszkała w Canberze Krystyna Skwarko, autorka książki „Osiedlenie dzieci polskich w Nowej Zelandii”, jest także autorką wydanej w tym roku w Londynie przez Oficynę Poetów i Malarzy, publikacji pt. „W obronie ojczyzny i honoru”. Są to wspomnienia i noty biograficzne dotyczące znanych autorki, pochodzących z Wilenszczyzny. Słowo wstępne napisał Lech Paszkowski. ■ W kwietniu i maju bież. roku przebywali w Australii z pierwszą oficjalną wizytą przedstawiciele Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: prorektor do spraw studentów ks. dr Henryk Damian Wojtyśka i pracownik rektoratu ks. dr Leon Pietroni. Celem wizyty było zapoznanie australijskiej Polonii z osiągnięciami i problemami uczelni oraz utworzenie w Australii Towarzystwa Sympatyków KUL-u. ■ Z serią koncertów wystąpiła w różnych miastach Australii znakomita polska skrzypczka Wanda Wiłkomirska, która w wywiadzie dla prasy australijskiej powiedziała, że wobec wprowadzenia stanu wojennego w kraju, zdecydowała, że pozostanie „artystką na wygnaniu” i osiedli się w Niemczech Zachodnich. ■ Ślady pierwszej polskiej emigracji do Nowej Zelandii sięgają drugiej połowy ub. wieku, kiedy — głównie w 1876 roku — przybyło tu około półtora tysiąca Polaków z zaboru pruskiego, w większości osiedlając się w miejscowości Taranaki koło New Plymouth. Z tego okresu pozostały tylko znikome ślady polskości. Historię pierwszego osiedlenia się Polaków w Nowej Zelandii opisał po angielsku znany działacz polonijny w Wellingtonie Jerzy Pobóg-Malinowski, w broszurze pt. „Polish Settlers in Taranaki”. ■ Życie w dwóch miastach, w stolicy Wellington oraz w Auckland. Kontakty i współpraca z ośrodkami polonijnymi w innych krajach, łącznie z najbliższą Australią, są raczej sporadyczne i niewystarczające; wynika to z izolacji geograficznej Nowej Zelandii. Wysuwane projekty połączenia organizacyjnego z australijską Polonią (przez utworzenie Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii i Nowej Zelandii) nie znalazły dotychczas szerszego poparcia wśród zorganizowanej polskiej społeczności w Australii i Nowej Zelandii. ■ Z istniejących w Nowej Zelandii polskich organizacji największe jest Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii, obejmujące

swoim zasięgiem stolicę Nowej Zelandii Wellington oraz południową część północnej części wyspy. Stowarzyszenie ma własny Dom Polski i wydaje w nakładzie 350 egzemplarzy biuletynu (bez przerwy od 1950 roku) oraz prowadzi polskie szkoły sobotnie i polskie audycje radiowe w ramach stacji Access Radio. Istnieje także niedawno założony Zespół Pieśni i Tańca „Lublin” oraz Koło Młodzieży (90 członków) posiadające drużynę sportowe. ■ Krajowe Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Nowej Zelandii, z siedzibą zarządu w Wellingtonie, działa w powiązaniu ze Światową Federacją SPK i przyjaźnie współpracuje z nowozelandzkimi organizacjami kombatantkimi. ■ W Auckland, największym mieście Nowej Zelandii, mieszka obecnie około 400 Polaków. Od 1950 roku działa tu Stowarzyszenie Polaków w Auckland (około 150 członków), posiada ono również własny Dom Polski. ■ Z okazji setnej rocznicy przybycia pierwszych polskich emigrantów do Nowej Zelandii (1876-1976), w styczniu 1977 roku, w Taranaki koło New Plymouth, odbyły się uroczyste obchody, które stały się początkiem powstania Polish Taranaki Social Club, którego członkami są Nowozelandczycy, potomkowie polskich pionierów-osadników z drugiej połowy ub. wieku. Klub ten współpracuje z ośrodkiem polonijnym w Wellingtonie, językiem porozumiewania się jest angielski. ■ Opiekę duszpasterską nad Polonią nowozelandzką sprawują księża chrystusowcy, podlegli rektorowi Polskiej Misji Katolickiej w Australii i Nowej Zelandii, z siedzibą w Sydney (Australia). Posiadają oni własny Dom Zgromadzenia w Wellingtonie. Polscy księża obsługują polonijne ośrodki w Wellington, Auckland, Hamilton, Rotorua, New Plymouth (na północnej wyspie) i Christchurch (na południowej). ■ W okresie czterech miesięcy w drugiej połowie ub. roku, w wyniku akcji zbiórkowej na rzecz kraju, pod hasłem „Food for Poland Appeal”, prowadzonej pod patronatem Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii i Nowozelandzkiego Czerwonego Krzyża, zakupiono i przesłano do Polski żywność wartości 170 tysięcy nowozelandzkich dolarów. ■ W końcu ub. roku rząd Nowej Zelandii przyjął 100 polskich uchodźców z Austrii, osiedlając po 50 osób w Wellingtonie i Auckland. Opieką, znalezieniem mieszkań i pracy zajęły się Stowarzyszenia Polaków w tych miastach, które czynią starania o dalsze sprowadzenie polskich uchodźców z Austrii.

Jerzy GROT-KWASNIEWSKI

## KRONIKA KANADYJSKA

Przyjmowanie uchodźców polskich, znajdujących się w Austrii oraz innych państwach zachodnioeuropejskich, jest najistotniejszym zagadnieniem, jeśli chodzi o oficjalne — i chyba nie tylko — czynniki polonijne w Kanadzie. Sprawa to trudna i skomplikowana. Rząd Federalny formalnie wyznaczył limit tylko w stosunku do osób sprowadzanych w ramach własnego programu, który to limit wynosi około 6.000 osób na 1982 rok, z tym iż nie ogranicza liczby osób sprowadzanych przez rodziny, organizacje społeczne, kościoły itp. Wszystkie te osoby czy organizacje przyjmują roczne gwarancje wobec sprowadzanych, co oznacza, że mają im zapewnić mieszkanie, utrzymanie i starać się o zatrudnienie, podczas gdy imigranci przybywający w ramach rządowego programu (limitu) otrzymują tygodniowy zasiłek na utrzymanie, opłacenie komornego, umeblowanie (rodziny) i bezpłatne kursy języka angielskiego względnie francuskiego w prowincji Quebec. Uczęszczanie na kursy jest obowiązkowe w ciągu 5 miesięcy, a zaniebywanie kursów powoduje utratę zasiłków. Ta grupa otrzymuje pomoc rządową do czasu znalezienia odpowiedniej pracy. Rozwinięta szeroko akcja sponsorowania nie dała natomiast, jak dotąd, oczekiwanych wyników. Przed-

stawiciele Kongresu Polonii Kanadyjskiej z prezesem Zarządu Głównego Janem Kaszubą na czele 25 czerwea spotkali się w Winnipegu z p. Lloyd Axworthy, ministrem Zatrudnienia i Imigracji na specjalnej konferencji, podczas której przedstawili mu bolączki imigracyjne. Starali się przede wszystkim nakłonić Rząd Federalny do zaopiekowania się również imigrantami sprowadzanymi przez rodziny, kościoły i organizacje, co spowodowałoby wzrost sponsorowanych indywidualnie. Prosilili o przyznanie im bezpłatnych kursów języka angielskiego względnie francuskiego, dalej o pomoc w sprowadzeniu 44 marynarzy polskich znajdujących się w obozach w Panamie, o wyrażenie zgody na wyjazd do Austrii przedstawiciela Kongresu Polonii Kanadyjskiej celem zwiedzenia obozów uchodźców, a wreszcie o uregulowanie statusu znajdujących się tutaj na podstawie rocznych zezwoleń. Minister Axworthy zakomunikował, iż wszystkie, którzy otrzymali roczne zezwolenia pobytu nie muszą opuszczać Kanady, aby zabiegać o wizy na stały pobyt, lecz mogą składać takie wnioski na miejscu. Uzyskawszy status imigrantów mogą również starać się o sprowadzenie członków swoich rodzin i uzyskają wszystkie uprawnienia stałych mieszkańców. Rząd nie ma zastrzeżeń jeśli chodzi o wyjazd delegata Kongresu do Austrii, lecz wizyty takiej nie będzie finansował. Inne sugestie Kongresu będą zbadane. Kongres przedstawił propozycje, które przedyskutowano na zebraniu roboczym z wyższymi urzędnikami resortu. Załatwiona została tylko jedna sprawa, a mianowicie osób na czasowych zezwoleniach pobytu. Zarządzeniem tym zostali również objęci podobni przybysze z Libanu i Salwadoru. Mimo bardzo wielkiej akcji propagandowej, apeli Kongresu, lokalnych organizacji, prasy nie sprowadzono nawet, jak dotychczas, owych 44 marynarzy z Panamy. Ogólna ilość sponsorowanych jest w dalszym ciągu zdumiewająco niska na co wpływa niewątpliwie pogarszająca się sytuacja gospodarcza, wzrost bezrobocia i cen. Przyływ polskich imigrantów odbywa się więc raczej w bardzo trudnych warunkach. Widoki na rychłe wejście ich na rynek pracy są niepomyślne. ■ Imigracja z Polski zaczęła wzrastać w 1979 roku, kiedy to przybyło 1.045 osób podczas gdy w roku poprzedzającym — 753 osoby. Ale chyba od 1980 roku, kiedy rozpoczął się exodus z Polski, do Kanady przybyło 1.185 imigrantów. Liberalizacja przepisów imigracyjnych wraz z szeroką interpretacją terminu „uchodźca” spowodowały, że w 1981 roku przybyło tu 3.834 obywateli polskich, a do maja bież. roku — 2.535. Jeśli więc to tempo utrzyma się to w 1982 roku przybędzie około 6.000 polskich obywateli, imigrantów znajdujących się w Austrii i innych państwach zachodniej Europy. ■ Główny Urząd Statystyczny — Statistics Canada — opublikował dane dotyczące języka macierzystego uzyskane w spisie powszechnym z dnia 1 czerwca 1981 roku. Odnośne pytanie w formularzu brzmiało: „Jakim był twój pierwszy język, który dotychczas rozumiesz?”. Język polski jako macierzysty podało 127.970 osób podczas gdy w spisie z 1976 roku 99.840. Ten wzrost jest wprost zaskakujący. W ciągu pięciolecia 1976-1981 przybyło do Kanady ogółem 4.800 imigrantów z Polski, a przyrost naturalny grupy polskiej w tym okresie wyniósł około 4.000. Przyrost o 8.800 byłyby statystycznie jasny, ale skąd nadwyżka około 20.000? Otóż spis wykazuje wahania niemal we wszystkich grupach etnicznych; zaznaczył się spadek angielskiego jako języka macierzystego. Jeśli chodzi o grupę polską to tak wielki wzrost języka macierzystego należy prawdopodobnie przypisać następującym wydarzeniom: wybór Polaka, kardynała Wojtyły, na Papieża, wypadki w Polsce, które doprowadziły do powstania „Solidarności” i ruchy opozycyjne wobec systemu, a chyba również nagroda literacka Nobla dla Czesława Miłozza. Między narodowa popularność Polski spowodowała, iż znaczna ilość osób pochodzenia polskiego odeszła od języka angielskiego, zadeklarowanego w 1976 roku, i podała w 1981 roku język polski. Spadek języka angielskiego i wzrost języka macierzystego w wielu grupach etnicznych jest następstwem polityki

wielokulturowości. Ze spisu wynika, że polska grupa językowa skupia się w 6 prowincjach: Ontario, Quebec, Alberta, Manitoba, Brytyjska Kolumbia i Saskatchewan, z tym iż na Ontario przypada 73.760 osób, czyli 58 %.

■ W większych ośrodkach polonijnych działają komitety pomocy nowoprzybyłym, które załatwiają im różne sprawy wymagające zarówno interwencji u władz jak i natury osobistej. Odgrywają one szczególną rolę w znajdowaniu miejsc pracy. Organizacje polonijne dostarczają wolontariuszy, a rząd opłaca pracowników etatowych. W parafiach i poszczególnych organizacjach zbiera się odzież, meble i sprzęt gospodarski dla nowoprzybyłych rodzin. ■ Towarzystwo Kultury Polskiej w Edmontonie (prezes Karol Krótki, prof. University of Alberta) jest wielce aktywne i rozwija działalność mającą na celu nie tylko utrzymanie dorobku kultury polskiej w Polsce, ale zapoznanie z nią innych. Towarzystwo urządza więc wystawy, organizuje odczyty, spotkania dyskusyjne z innymi grupami etnicznymi i publikuje biuletyn organizacyjny „Okólnik”. Zespół młodych z Polonii Edmontońskiej przystąpił do wydawania miesięcznika społeczno-kulturalnego pn. *Rozmaitości Polonijne*. Ukazały się trzy numery, ostatni, lipiec 1982 r., liczy — wraz z okładką i 4 stronami „Okólnika” — 16 stron. Na treść składają się zarówno lokalne informacje polonijne jak i krajowe, artykuły, reportaż i wiersze. W ostatnim numerze debiutuje niedawno przybyły z Polski poeta Jerzy Ryszard Heyduk. ■ W London, Ontario, stowarzyszenie pod nazwą *Klub Dyskusyjny* obchodzi swoje 10-lecie. Klub, który powstał z inicjatywy Floriana Śmieji — profesora w miejscowym uniwersytecie, poety, pisarza i tłumacza z grupy „Kontynenty” — jest organizacją dość oryginalną: nie posiada żadnego statutu, nie ma opłat członkowskich, nie ma oczywiście własnego lokalu. Spotkania odbywają się w domach prywatnych zazwyczaj raz w miesiącu. Frekwencja na odczytach dochodzi do 80 osób. Występowali w Klubie zarówno prelegenci kanadyjscy: politycy, uczeni, działacze, wśród nich naturalnie i Polacy, oraz goście z Polski (Jerzy Turowicz, Stefan Kisielewski, Aleksandra Ziółkowska), czy ze Stanów Zjednoczonych (Wincenty Chrypiński, Anna Frajlich). Do Klubu należą zarówno dawno osiedli w Kanadzie imigranci z pierwszej fali powojennej, jak i przybyli w ostatnim dziesięcioleciu.

B. H.

## Z OSTATNIEJ CHWILI

Dnia 20 sierpnia 1982 zmarł w Warszawie w wieku 82 lata Ożjasz Szechter. Przed wojną członek KPZU, więzień polityczny — po wojnie redaktor *Dzięk Marksa*; wystąpił z partii w roku 1968. Uczestnik głośnej protestacyjnej w kościele Św. Marcina w Warszawie w 1977, ojciec Adama Michnika, internowanego obecnie w Białolecie.

## Listy do Redakcji

Londyn, 7 lipca 1982.

Szanowny Panie Redaktorze,

W zeszyte czerwcowym *Kultury* w „Kronice Kanadyjskiej” (str. 156) znalazłem smutną wiadomość o śmierci naszego przyjaciela, dra Bronisława Jedlewskiego.

Jego zmienione nazwisko było Dale (nie „Dal”). „Jała” skłoniła go do emigracji i zaprzestania politycznej działalności polskiej, ale utrzymywał do końca łączność z przyjaciółmi z „Zespołu” (1942-47) i z Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja” (skrót: PRW NiD). Przez kolegów lekarzy wytrwale pomagał szpitalnictwu w Polsce.

Urodzony w Londynie syn Bronisława Jedlewskiego-Dale i Marii ze Swinarskich, Roman Dale, jest lekarzem w Kanadzie; ożenił się z lekarką z rodziny ukraińsko-polskiej, dr Dianą Loginsky.

Jedlewski nie mógł być „świadkiem ostatniej rozmowy” prezydenta Raczkiewicza z gen. Andersem, „w wyniku której na następcę desygnowany został August Zaleski, w miejsce Tomasza Arciszewskiego” (cytuje „Kronikę”); uważał tę zmianę za zamach pałacowy, w którym udziału nie brał, a zmiana była jego zdaniem wymuszona na chorym Prezydencie.

Z poważaniem,

S. GROCHOLSKI

Londyn, 11 sierpnia 1982.

Do Redakcji *Kultury*.

P. Barbara Szubska w swym liście do *Kultury* (nr 7/8) przypisuje mi zasługi, których nie mam. Nie ja ogłosiłam w *Wiadomościach* apel Koła Przyjaciół Twórczości Józefa Mackiewicza, nie ja prowadziłam w tej sprawie korespondencję i nie dzięki mnie współpraca *Wiadomości* z Kołem „świetnie funkcjonowała”. P. Szubska nie podaje żadnych dat, ale ze wspomnień Kazimierza Zamorskiego (w nr. 4 *Kultury*) dowiedziałam się, że apel Koła ukazał się w *Wiadomościach* 27 września 1970\*. Od stycznia 1969 redagowałam *Wiadomości* na zmianę z chorującym Michałem Chmielowcem. Po jednej z przerw wrócił do redakcji 13 sierpnia 1970 i apel Koła ukazał się w czasie mojej nieobecności w Anglii (od początku września do połowy października). Musiała być jednak przedtem o nim mowa

\* *Nota bene*. Podanie przez p. Zamorskiego wśród „zmarłych” sygnatariuszy apelu nazwiska Jana Badeniego, który szczęśliwie żyje i któremu ta wzmianka wróży długie życie, podważa nieco zaufanie i do innych informacji „resercera” Wolnej Europy.

w mojej obecności, gdy pamiętam, że wyrażałam — naiwnie, jak się okazało — wątpliwość, czy Mackiewicz będzie zadowolony z publicznego ogłoszenia składowki i czy jego przyjaciele nie woleliby przyjść mu z pomocą dyskretnie, bez rozgłaszania tego w prasie.

P. Szubska nie zdradza, kiedy i w jakiej formie ukazało się w *Wiadomościach* zawiadomienie, że nie będą się więcej zajmować sprawą Koła. Nie zamierzam tracić czasu na wertowanie roczników pisma, by znaleźć tę notatkę („umywanie rąk” jakoś nie wygląda mi na styl *Wiadomości*). Chcę tylko wyjaśnić p. Szubskiej, że ani Chmielowiec ani ja nie zajmowaliśmy się sprawami administracyjno-finansowymi, do których należały tego rodzaju apele. Załatwił je śp. Juliusz Sakowski z ówczesnym administratorem *Wiadomości* Piotrem Borkowskim. Dopiero po śmierci Sakowskiego w roku 1977 musiałyśmy przejąć te sprawy.

Nie pamiętam takiej notatki, ale jeśli rzeczywiście się ukazała, mogę się domyślić, że stało się ze względu na trudności techniczne (buchalteria, korespondencja, skomplikowane manipulacje bankowe z powodu przekazów zagranicznych i związane z tym koszty). Jeśli Koło, złożone z zamożnych osób, nie mogło podołać tym obowiązkom (nawet powielaniu listy wpłat!) — jak pisze p. Szubska — chyba jeszcze trudniej było pozwolić sobie na to pismu o minimalnym personalu i jeszcze mniejszych zasobach pieniężnych. Nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego członkowie Koła nie mogli sami zorganizować przekazywania pieniędzy wprost Mackiewiczowi, co — zgodnie z informacją p. Szubskiej — podobno proponowały *Wiadomości*. Czyżby najważniejsze dla nich było ogłaszanie w piśmie ich nazwisk?

„Wraże” siły, działające przeciwko Mackiewiczowi należą do znanej mitologii jego przyjaciół, którą trudno brać poważnie, jak i oskarżenia o „posługiwanie się terrorem i szantażem finansowym”.

Brak kurtuazji i dobrych manier, jaki mi zarzuca p. Szubska nie przeszkodził miłemu i kulturalnemu Alfonsowi, za każdym pobycem w Londynie odwiedzać redakcję *Wiadomości* i spędzać w niej długie chwile na pogawędkach przy kawie czy kieliszku wina. Ani on ani Józef Mackiewicz, z którym widywałam się, gdy przyjeżdżał do Londynu na jury nagrody *Wiadomości* i który korespondował ze mną przyjaźnie nawet po tym, gdy przestał pisać do *Wiadomości*, nigdy nie wspomnieli o żadnych pretensjach do mnie z powodu Apelu.

Dlaczego p. Szubska, która też ze mną korespondowała, nie wystąpiła ze swymi zarzutami wcześniej, gdy jeszcze istniały *Wiadomości* i gdy mogłam jej od razu wyjaśnić nieporozumienie, mając pod ręką całą dokumentację? Nie marnowałybyśmy cennego miejsca w *Kulturze* na niesprawdzone zarzuty i konieczną wobec nich obronę.

Stefania KOSSOWSKA

Londyn, 25 czerwca 1982.

Szanowna Redakcjo,

Nie jestem wprawdzie krytykiem literackim z zawodu, lecz jako zwykły odbiorca literatury pozwolę sobie na kilka uwag na marginesie polemiki wywołanej przez doskonały artykuł p. K. Zawrata „Próba remanentu” (*Kultura* nr 7-8/1981).

Autor „Próby remanentu” zarzuca współczesnej prozie polskiej w sposób bardzo wymowny i niedwuznaczny brak umiejętności obserwacyjno-kompozycyjnych oraz niezdolność stworzenia świata fikcyjnego na „miarę wartości uniwersalnych”, a więc na miarę „światowości” powieści polskiej. Zapewne nie brak współczesnej prozie polskiej bardzo dobrych pozycji — ma ona świetną eseistykę, pamiętniki, prozę dokumentalno-filozoficzną itp. — nie wydaje się jednak obfitować w gatunek dobrej powieści *sensu stricto*,

tn. prozy fikcyjnej z tymi wszystkimi pierwiastkami kompozycyjno-fabularnymi, które stanowią o głębokim i wszechstronnym humanizmie prozy np. anglosaskiej, czy też ujmującym liryzmie prozy czeskiej. Wydaje mi się, że doskonale rozumiałem, do czego „nawołuje” autor „Próby remanentu”, a byłoby skrajną nieuczciwością posądzenie go o „atak” na współczesną prozę polską w ogólnym tego słowa znaczeniu.

Niemaló zdziwiły mnie więc dość pochopne słowa krytyki pióra pani Janiny Katz Hewetson. Odniosłem wrażenie, że chodzi tu chyba o przykre nieporozumienie (art. „O krwisty befsztyk prozy”, *Kultura* nr 12/1981). Przyznaje przecież autorka, że „proza polska nie ma Bellowa, nie ma Singera...”, a nawet ma „głębokie pretensje, że nie ma Milana Kundery”. Ależ to właśnie osiągnięcia współczesnej beletrystyki czeskiej są najlepszym i jaskrawym zaprzeczeniem tezy o „uwarunkowaniu” społeczno-politycznym dla powstania dobrej powieści. Warunki twórcze w powojennej Czechosłowacji na pewno nie były i nie są „sielankowe”, a jednak współczesna proza czeska potrafiła nawiązać do świetnych tradycji powieści przedwojennej Karola Čapka w postaci szeregu „inżynierów dusz ludzkich”\* (M. Kundera, J. Škvorecký, K. Pecka, E. Kanturkova — żeby wymienić tylko kilku). Nie bardzo więc rozumiem, o co właściwie chodzi autorce krytyki „Próby remanentu”. O ile określenia typu „krwisty befsztyk” oraz „soczysta fikcja” mają oznaczać sensacyjno-fabularny, tani gatunek baniuluków literackich, to z pewnością nie o to chodziło autorowi „Próby remanentu”. Zresztą w bardzo jasny i klarowny sposób postawił on sprawę w swej odpowiedzi „Polemika z panią J. Katz Hewetson” (*Kultura* nr 6/1982):

„Książki czytamy również po to, żeby rozpoznać swój los, po to wreszcie, aby siebie przez czytanie odkryć, zrozumieć... to niebagatelna funkcja literatury, zaś jej niedostrzeżenie jest wyrazem pogardy zarówno wobec pisarza, jak wobec czytelników”.

Przyznaję, że nie każdy musi odczuwać potrzebę rzeczywiście dobrej powieści (choćby niekoniecznie „soczystej”), w każdym razie jest jednak „o co się spierać”... i czekać, że może jednak coś „Pan Bóg da”.

Łączę wyrazy poważania,

Janusz MONDRY

Sydney, 25 czerwca 1982.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Władysław Jaworski w bardzo ciekawym artykule o poecie Stanisławie Rogowskim, zamieszczonym w nr. 6/417 *Kultury*, podaje, że w „Polsce o nim глуcho od wielu lat”.

Otóż w 10 tomie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN wydanym w 1967 znajduje się skromna wzmianka:

ROGOWSKI Stanisław, ur. 1910 w Czortkowie (Podole), zm. 1940 w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, poeta; współpracował z tygodnikiem „Sygnały” uprawiał lirykę osnutą wokół motywów krajo-brazowych i lud. (zbiory Panny leśne 1936, Wiersze oczekujących 1937).

Jednak o nim nie zapomniano.

Z poważaniem,

Adam POŁOWIEC

\* Parafraza tytułu jednej z powieści J. Škvoreckiego (J. Škvorecký: *Prběh inženýra lidských duši*).



Londyn, 19 czerwca 1982.

Do Redakcji *Kultury*.

Pragnąłbym sprostować przedstawienie w zapisie bibliograficznym mojej adaptacji sztuki „Under Milk Wood” (*Kultura* nr 6/17, str. 136). Zapis traktuje imię autora tego niepospolitego utworu (Dylan), jako nazwisko, a nazwisko rodowe Thomas — występujące kilkakrotnie w literaturze angielskiej — jako imię chrzestne. To przedstawienie jest o tyle nieobojętne, że polska adaptacja odtworzona w Londynie w ub. roku pięciokrotnie, nosi z uzasadnionych względów odmienny tytuł: „Pod Mleczną Drogą”.

Z przyjaznym pozdrowieniem,

Tymon TERLECKI

## PULS 14

### NIEREGULARNY KWARTALNIK LITERACKI

(wiosna 1982)

W numerze m.in.: Szymon ASKENAZY — *O woli narodowej*. Stawomir MROZEK — *Trzy tysiące dziewięćset siedem*. KRZYWOUSTY — *Normalizacja?* Bolesław SULIK — *Śladem noża*. Miklos HARASZTI — *Kadaryzm*. — *Głosy pisarzy brytyjskich*. — *Poezja czasu wojny*. PULS 81 — *List Jana Nowaka*. Henryk GRYNBERG — *Życie jako dezintegracja*. Jerzy HORZELSKI — *Dwa oblicza rzeczywistości*. Arthur KOESTLER — *Wieża kontrolna* oraz *dziaty Sylwetki* — *Archiwum emigracyjne* — *Wywiad PULS-u* — *Z frontu*.

Cena prenumeraty rocznej PULS-u: pocztą zwykłą — £ 15 lub równowartość; pocztą lotniczą — £ 19 lub równowartość.

Cena pojedynczego egzemplarza: pocztą zwykłą — £ 3.75 lub równowartość; pocztą lotniczą — £ 4.75 lub równowartość.

Tadeusz Chrobak, Hamilton, Ont. (Kanada) — \$ can. 50,00	F. 260,00
Henryk Czajkowski, Hamilton, Ont. (Kanada) — \$ can. 100,00	F. 520,00
Antoni Czerechowicz, Hamilton, Ont. (Kanada) — \$ can. 20,00	F. 104,00
Władysław Czerucki, Lailly-en-Val (Francja) .....	F. 100,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada) — na pomoc dla walczących i internowanych — \$ can. 116,10 .....	F. 605,00
Zbigniew Jodłowski, Saxon (Austria) — Szyl. A. 100,00 (gotówką) .....	F. 40,00
K. L. Lidingo (Szwecja) — na pomoc uwięzionym i ich rodzinom w Polsce .....	F. 500,00
Antoni Kryowski, New Haven, CT (USA) — zamiast kwiatów dla zamordowanych przez UB i zmarłych uczestników Ruchu Oporu młodzieży szkolnej — na wolną działalność wydawniczą w Kraju — \$ 60,00 .....	F. 420,00
Józef Kunc i Przemysław Hauderowicz, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samopomocy Społecznej, po raz 5-ty, 6-ty i 7-my po \$ 50,00 — \$ 150,00 .....	F. 1.050,00
Leopold Mironowicz, Hamilton, Ont. (Kanada) — £ can. 20,00	F. 104,00
Eugenia i Jerzy Piórkowscy, New York — zamiast kwiatów na grób zmarłego przyjaciela śp. Aleksandra Markowskiego — \$ 20,00 .....	F. 140,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Tadeusza Bentkowskiego, zmarłego w Warszawie 9 czerwca 1982 roku — \$ 25,00 .....	F. 175,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — F. 500,00 i \$ US 100,00 .....	F. 1.200,00
Jerzy i Pearl Pujdakowie, Santa Barbara, CA (USA) — jako jeden z prezentów dla A.P. — \$ 25,00 .....	F. 175,00
Gena Renaissance, Los Angeles, CA (USA) — \$ 50,00 .....	F. 350,00
Witali Rymsha, Maywood, CA (USA) — \$ 50,00 .....	F. 350,00
W. Szwed, Melbourne — \$ A. 20,00 .....	F. 159,00
Ks. Franciszek Wołoszyk, Detroit, Mich. (USA) — \$ 21,00 ..	F. 110,00
J. Wiśniewski, Toronto, Ont. (Kanada) — na pomoc dla opozycji w Polsce — \$ can. 20,00 (gotówką) .....	F. 100,00
Paweł Wiśniewski, New Haven, CT (USA) .....	F. 301,03
W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli na pomoc dla rodzin uwięzionych: Z. Pirog, J. Harasiuk i A. Nowicki ze Stevens Point po \$ 10,00 oraz S. Billok z New Britain — \$ 5,00 — razem: \$ 35,00 .....	F. 245,00
Z okazji pożegnania, koledzy — prawnicy z Federalnej Prokuraturii Generalnej, Toronto, Ont. (Kanada) — nadesłał dr A. Wcisło — \$ can. 100,00 .....	F. 520,00

### WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Heidelbergu (RFN) — DM 100,00 .....	F. 290,00
Jean-Pierre Billon, Garches (Francja) .....	F. 100,00

Zofia i Franciszek Chruslicy, (Francja) — na pomoc dla rodzin internowanych członków „Solidarności” — ku uczczeniu pamięci śp. Wandy Borkowskiej .....	F. 143,00
Zbigniew Gross, Strasbourg (Francja) — zamiast kwiatów na grób śp. Zofii Tuszowskiej, artystki malarki, zmarłej 20 kwietnia 1982 roku w Strasbourg — od kolegów Jej córki .....	F. 500,00
H. Sz. z Paryża .....	F. 100,00
Alina Koziół-Starcewska, Washington — \$ US 100,00 .....	F. 700,00
Janusz Mondry, Kenton, Mdx (Anglia) .....	F. 200,00
Polish Canadian Action Group, Toronto, Ont. (Kanada) ....	F. 1.000,00
Prof. dr Gotthold Rhode, Mainz (RFN) — sumę zebraną podczas amerykańsko-niemieckiej konferencji na temat Europy Środkowej przez uczestników w większości pochodzących z Niemiec Wsch. i Europy Wsch. — DM 200,00 .....	F. 540,00
Bronisław Rośtoniec, Uppsala (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób zmarłej w Warszawie Ewy Brojan .....	F. 111,00
Irena Zadarnowska, Zurych — na pomoc dla uwięzionych i internowanych z uwzględnieniem milicjantów, którzy byli w „Solidarności” .....	F. 316,46
Na apel „Konfederacji 76” w USA, na pomoc dla ukrywających się członków „Solidarności” wpłacili: T. Dziekanowski z Newark — \$ 50,00, R. Konopka z Brooklynu — \$ 20,00, W. Evans z Newark — \$ 15,00, P. Pilecki i Bezimiennie z Newark — po \$ 10,00, E. Jaszyn z Westfield — \$ 9,00 oraz Z. Pirog i A. Nowicki ze Stevens Point — po \$ 5,00 — razem: \$ 129,00 .....	F. 900,00
◆	
Na apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili na Studencki Ruch Oporu NZS: W. Evans i B. Pilecki z N.J., Konopka z Brooklynu — \$ 8,00 i M. Pilecka z N.J. — \$ 3,00 — razem: \$ 31,00 .....	F. 216,00
◆	
Jan Zalewski (Londyn) — na pomoc przesładowanym w Polsce członkom K.P.N. — £ 10,00 .....	F. 118,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1982.

Imprimé en France



PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria. 0181 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013 .....	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien 1, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 .....	F.B. 225,00	F.B. 1200,00	F.B. 2350,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vliessen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl h 12,00	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Kruski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuszczanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. « Zwiakzowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 6,00	\$ Can. 35,00	\$ Can. 60,00
NIEMCY: St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 .....	DM 12,00	DM 60,00	DM 110,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel (08) 60-15 70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel 475-8886. Ada Dziełowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis 53211. T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel 284-6271, Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554. Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store 5347 Chene Street, Detroit, Mich 48211; Szwede Slavic Books 2233 El Camino Real Palo Alto Cal. 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia „Nowego Dziennika”, 21 West 38-th Str., New York, N.Y., 10018, Tel. (212) 354-0492 .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5 ORD Tel (01) 370 2210 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.260; półroczna — F.135.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 358 — ZESZYTY HISTORYCZNE

# ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera m.in. opracowania: M. Piłki — *Deformacje w wykładzie historii w podręcznikach dla szkół średnich*; Grażyny Pomian — *Reżym — Dziennikarze — Solidarność*; B. Baczki — *Pisać listy z Hameryki*; T. Gorczańskiego — *Najnowsze dzieje Opolszczyzny*; St. Korbońskiego — *Polskie Państwo Podziemne*; W. Chudego — *W sowieckim więzieniu w Brześciu n/Bugiem*; W. Wąsowicz i Ł. Sochy — *Z archiwum Bolesława Bieruta*; J. Lewandowskiego — *Memoriał Józefa Gieyszтора*; J. Ciechanowskiego — *Zeszyt ewidencyjny gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego* oraz *Działy: KSIĄŻKI, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

F. 50,00.



TOM 359 — MAREK TARNIEWSKI

# PŁONIE KOMITET

(grudzień 1970 - czerwiec 1976)

z odniesieniami do ostatnich wydarzeń w Polsce  
Str. 200. F. 65,00.



Na przelomie września i października ukazą się dalsze  
wznowienia foto-offsetowe „Dzieł Zebranych”

WITOLDA GOMBROWICZA

FERDYDURKE, str. 296 — F. 55,00,

PORNOGRAFIA — F. 40,00,

WSPOMNIENIA POLSKIE — WĘDRÓWKI PO  
ARGENTYNI — F. 50,00.